

Ross Macdonald



SPRAWA

GALTONIA

---

**Ross Macdonald**

**Sprawa Galtona**

Przełożył Waław Niekokólczycki



ISKRY · WARSZAWA · 1980

Tytuł oryginału  
THE GALTON CASE

Opracowanie graficzne  
KAZIMIERZ HAŁAJKIEWICZ

ISBN 83-207-0149-X

Copyright © 1959 by Ross Macdonald  
For the Polish edition copyright © by Państwowe  
Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1980

## Rozdział 1

Biuro adwokackie spółki „Wellesley i Sable” mieściło się przy głównej ulicy Santa Teresa, nad kasą oszczędności. Ze skromnego hallu prywatna winda spółki wznosiła człowieka w atmosferę prostoty i elegancji. Stwarzało to wrażenie, że po latach zmagania z losem zostaje się bez najmniejszego wysiłku wyniesionym na właściwy sobie poziom, poziom wybrańców losu.

Zwrócona twarzą do drzwi windy kobieta o starannie ufarbowanych rudych włosach bawiła się klawiaturą elektrycznej maszyny do pisania. Przed nią, na biurku, stała waza pełna pływających w wodzie begonii. Ich barwy, przechwycone przez reprodukcje obrazów Audubona, rozkładały się dyskretnie na dębowej boazerii ścian. W jednym z rogów pokoju stało od niechcenia siedemnastowieczne trójkątne krzesło.

Usiadłem na nim i w dobrze pojętym interesie własnym wziąłem ze stolika świeży numer Wall Street Journal. Najwidoczniej postąpiłem tak, jak należało. Ruda sekretarka przestała bowiem pisać na maszynie i łaskawie mnie zauważyła.

- Chce pan się z kimś widzieć?
- Jestem umówiony z panem Sable.
- Czy pan jest może pan Archer?
- Tak.

Wyzbyła się oficjalnego tonu - w końcu nie należałem do wybrańców losu - i przedstawiła mi się jako pani Haines.

- Pana Sable nie będzie dziś w biurze, ale prosił, żebym zapytała, czy nie mógłby się pan pofatygować do niego do domu.

- Chętnie. - Wstałem z antyku. Czuję się przepędzony.
- Zdaję sobie sprawę, że to dla pana kłopot - powiedziała ze współczuciem. - Wie pan, jak tam trafić?

- Czy nadal mieszka w tym domku nad morzem?

- Nie, po ślubie się wyprowadził. Państwo Sable zbudowali sobie dom za miastem.

- Nie wiedziałem, że Sable się ożenił.

- Prawie dwa lata temu. To nie żarty.

Figlarna nutka w jej głosie kazała mi się zastanowić, czy ona sama jest zamężna. Choć bowiem przedstawiła mi się jako pani Haines, zachowywała się jak kobieta, która owdowiała albo się rozwiodła i szuka następcy męża. Schyliła się ku mnie z nagłą zażyłością.

- Pan jest detektywem, prawda?

Przyznałem, że owszem.

- Czy pan Sable angażuje pana prywatnie, w swojej własnej sprawie? Pytam, bo nic mi o tym nie mówił.

Powód był oczywisty.

- Mnie też - odparłem. - Więc gdzie on teraz mieszka?

- W Arroyo Park. Lepiej pokażę panu na mapie.

Odbyliśmy krótką sesję nad mapą.

- Tuż przed tym rozwidleniem - wyjaśniła - zjedzie pan z autostrady, a potem, przy Szkole Diennej Arroyo Country, skręci pan na prawo. Następnie przejedzie pan z pół mili wzdłuż jeziora i zaraz zobaczy pan skrzynkę na listy Sable'ów.

Odnalazłem ową skrzynkę w dwadzieścia minut później. Stała pod dębem u wylotu prywatnej drogi. Droga ta pięła się lesistym zboczem i wiodła do domu o bardzo wielu oknach pod nawisem płaskiego zielonego dachu.

Drzwi frontowe otworzyły się, jeszcze nim zdążyłem do nich dojść. Przez trawnik wyszedł mi na spotkanie mężczyzna o niskim czole i przetkanych siwizną włosach. Był w białej kurtce służącego, ale nawet w tej barwie ochronnej nie pasował do zamożnego przedmieścia. Poruszał mocnymi barkami swobodnie, jakby szedł właśnie na dobrze zasłużony spacer.

- Szuka pan tu kogoś?

- Pan Sable mnie wezwał.

- Po co?

- Jeśli ci nie mówił, człowieku - odparłem - to widocznie nie chce, żebyś wiedział.

Służący podszedł bliżej i się uśmiechnął. Był to szeroki i surowy uśmiech - jakby pies wyszczerzył zęby - a przy tym nie wróżący nic dobrego. Z pokiereszowanej twarzy wyzierała skłonność do burd. Była to twarz wywołująca pragnienie rękoczynu, jak niektóre wzbudzają chęć zaprzyjaźnienia się.

- W porządku, Peter - zawołał Gordon Sable od drzwi. - Oczekuję tego gościa. - Podszedł żwawo ścieżką ułożoną z płyt i podał mi rękę. - Bardzo jestem rad, Lew. Nie widzieliśmy się całe lata.

- Cztery.

Wcale się nie postarzał. Kontrast opalanej twarzy z falistymi siwymi włosami jakby wspomagał złudzenie młodości. Koszula z madrasu i obcisłe flanelowe spodnie podkreślały jego talię tenisisty.

- Podobno się ożeniłeś - powiedziałem.

- Tak. Podjąłem to ryzyko. - Wyraz szczęścia na jego twarzy wydał mi się nieco wymuszony. - Lepiej idź i zobacz, czy nie trzeba czegoś pani Sable - rzekł do służącego, który stał i przysłuchiwał się rozmowie. - A potem przyjdź do mego gabinetu. Pan Archer przyjechał z daleka i pewnie będzie chciał się czegoś napić.

- Tak jest, proszę pana - odparł służący z przesadną uniżonością.

Sable udał, że tego nie zauważył. Poprowadził mnie do domu, a następnie wykładanym czarnymi i białymi płytkami korytarzem na wewnętrzny dziedziniec, pełen tropikalnych roślin, których zmasowane barwy załamywały się i odzwierciedlały w owalnym basenie umieszczonym w środku. Naszym celem okazał się załany słońcem i oddalony od reszty domu pokój, który izolowały dodatkowo setki książek stojących na półkach wzdłuż ścian.

Sable wskazał mi skórzany fotel zwrócony przodem ku biurku i oknom. Poprawił zasłony, aby przygasić rażący blask.

- Peter powinien za chwilę przyjść. Muszę cię przeprosić za jego maniery, a raczej ich brak. Trudno dziś o dobrą służbę.

- Ja mam ten sam kłopot; Ci ze starej szkoły chcą ubezpieczenia, a ci nowocześni okazji do pomiatania innymi za

jedne pięćdziesiąt dolarów dziennie. Nie stać mnie ani na to pierwsze, ani na drugie. Dlatego nadal robię wszystko sam.

- Miło mi to słyszeć. - Sable usiadł na krawędzi biurka i schylił się nade mną konfidencjonalnie. - Sprawa, jaką ci chcę powierzyć, jest dość delikatna. Z przyczyn, które niebawem wyjawię, jest bardzo istotne, aby nie dopuścić do jej rozgłosu. Wszystko, co w związku z nią wykryjesz, jeżeli w ogóle cokolwiek wykryjesz, będziesz przekazywał tylko mnie. Ustnie. Nie chcę niczego na piśmie. Jasne?

- Wyrażasz się bardzo jasno. To twoja prywatna sprawa czy twego klienta?

- Mojej klientki, oczywiście. Czyż nie mówiłem ci tego przez telefon? Zwaliła mi na łeb dość trudne zadanie. Szczerze mówiąc, nie widzę szans na spełnienie jej nadziei.

- A na co ona ma nadzieję?

Sable wznosił wzrok ku wyblakłym belkom sufitu.

- Obawiam się, że na rzecz niemożliwą. Jeśli ktoś znika na dwadzieścia lat i nie daje znaku życia, trzeba przyjąć, że leży w grobie. Albo, w ostatecznym razie, że nie chce, aby go odnaleziono.

- A więc jest to przypadek zniknięcia?

- Raczej beznadziejny, jak próbowałem wyjaśnić klientce. Z drugiej strony nie mogę jej odmówić uczynienia próby. Jest stara i chora, i nawykła do przeprowadzania swojej woli.

- I bogata?

Sable skrzywił się słysząc tę niepoważną uwagę. Specjalizował się w nieruchomościach i obracał w kręgach, gdzie pieniądze rzucały się w oczy, ale gdzie się o nich nie mówiło.

- Mąż zostawił tę panią świetnie zabezpieczoną. - Następnie dodał, aby mi wskazać moje miejsce: - Otrzymasz dobrą zapłatę za tę pracę bez względu na wynik.

Przez drzwi za moimi plecami wszedł służący. Poznałem, że jest za mną, po lekkiej zmianie w oświetleniu. Miał na nogach stare tenisówki i poruszał się bezgłośnie.

- Widzę, że masz dużo czasu - rzekł Sable.

- Bo zrobienie martini wymaga czasu.

- Ja nie prosiłem o martini.

- Ale pani prosiła.  
- Nie powinienes jej dawać martini przed lunchem ani na dobrą sprawę kiedykolwiek indziej.  
- Pan jej sam to powie.  
- Właśnie mam zamiar. Na razie mówię tobie.  
- Tak jest, proszę pana. - Znowu przesadne uniżenie.  
Sable poczerwieniał pod opalenizną.  
- Takie żarciki wcale nie są śmieszne.  
Służący nie odpowiedział. Jego zielone oczy popatrywały śmiało i beczelnie. Spojrzał na mnie, jakby szukając aplauzu.  
- Masz rzeczywiście problemy ze służbą - powiedziałem, aby poprzeć Sable'a.  
- Och, Peter ma jak najlepsze intencje, prawda, stary? -1 jakby dla uprzedzenia odpowiedzi, spojrział na mnie z uśmiechem nalepionym na zakłopotanie. - Czego się napijesz, Lew? Ja się napiję toniku.  
- To mi odpowiada.  
Służący wyszedł.  
- Co więc z tym zniknięciem? - zapytałem.  
- Może zniknięcie nie jest tutaj odpowiednim słowem. Syn mojej klientki opuścił rodzinę z całym rozmysłem. A rodzina nie uczyniła najmniejszej próby, aby go odnaleźć lub ściągnąć z powrotem, w każdym razie przez wiele lat.  
- Czemu?  
- Przypuszczam, że mieli go tak samo dość, jak on ich. Nie podobała im się dziewczyna, z którą się ożenił. „Nie podobała się” to określenie aż nadto łagodne, a były jeszcze inne kości niezgody. Dla zobrazowania przepaści, jaka między nimi powstała, dość będzie powiedzieć, że chłopak zrezygnował z prawa dziedziczenia znacznego majątku.  
- Czy on ma jakieś nazwisko, czy wciąż będziemy go nazywali panem X?  
Sable przybrał zboląły wyraz twarzy. Udzielanie informacji sprawiało mu fizyczny ból.  
- Rodzina, o której mowa, to Galtonowie. Syn nazywa się lub nazywał Antoni. Znikł z horyzontu w 1936 roku. Miał wówczas dwadzieścia dwa lata i właśnie ukończył Stanford.



- To bardzo dawno temu. - Z mojego miejsca wyglądało to jak przed stuleciem.

- Mówiłem ci, że sprawa jest niemal beznadziejna. Jednak pani Galton chce, żeby go szukać. Lada dzień może umrzeć i czuje potrzebę pojednania się z synem.

- Kto mówi, że ma umrzeć?

- Jej lekarz, doktor Howell mówi, że może się to stać w każdej chwili.

Do pokoju wbiegł w podskokach służący z dzwięczącymi na tacy szklankami. Podał nam nasze napoje z pokazową usłużnością. Na odwrocie jego dłoni zauważyłem wytatuowaną niebieską kotwicę i pomyślałem, czy nie jest przypadkiem marynarzem. Nikt nie mógł go wziąć za wyszkolonego służącego. Na brzeżku szklanki, którą mi podał, był ślad szminki. Gdy odszedł, powiedziałem:

- Młody Galton ożenił się przed zniknięciem?

- Właśnie. Jego żona była bezpośrednią przyczyną rodzinnych kłopotów. Spodziewała się dziecka.

- I wszyscy troje znikli?

- Jakby zapadli się pod ziemię - rzekł Sable dramatycznym tonem.

- Nic nie wskazywało na możliwość istnienia jakichś ciemnych machinacji?

- Nic, o ile mi wiadomo. Nie miałem wówczas żadnych związków z rodziną Galtonów. Poproszę panią Galton, aby ci sama opowiedziała o okolicznościach odejścia syna. Nie wiem dokładnie, w jakim stopniu pragnie je ujawnić.

- Czyżby chciała coś zataić?

- Tak sądzę. No, wypijmy - powiedział niewesoło. Przełknął swój tonik na stojąco. - Zanim cię do niej zaprowadzę, chciałbym mieć twoje zapewnienie, że nam poświęcisz cały swój czas, jak długo to będzie potrzebne.

- Nie mam' żadnych innych zobowiązań. Jak wielkich starań ona oczekuje z mojej strony?

- Naturalnie na jakie cię tylko stać.

- Lepiej byś zrobił zwracając się do którejś z wielkich organizacji detektywistycznych.

- Nie sądzę. Znam cię i ufam, że potraktujesz sprawę delikatnie. Nie mogę pozwolić, aby ostatnie dni życia pani Galton zostały przyćmione skandalem. Moją główną troską w tej sprawie jest ochrona jej dobrego imienia.

W głosie Sable'a zadrgało wzruszenie, ale wątpię, by mogło być ono skutkiem głębszego uczucia dla rodu Galtonów. Spoglądał z niepokojem gdzieś poza mnie czy przeze mnie, jakby prawdziwa jego troska dotyczyła czegoś zupełnie innego.

Dostrzegłem pewną wskazówkę w tej kwestii, gdy wychodziliśmy z pokoju. Zza drzewka bananowego na wewnętrznym dziedzińcu wychynęła nagle ładna, mniej więcej o połowę młodsza od Sable'a blondyneczka. Miała na sobie dżinsy i białą rozpiętą pod szyją bluzkę. Sprawiała wrażenie, jakby się skradała, dość niezdarnie, jakby wyskoczyła z zasadzki.

- Jak się masz, Gordon - powiedziała łamliwym głosem. - Co za niespodzianka.

- Niespodzianka? Przecież tu mieszkam.

- Taka jest teoria.

Sable mówił starannie, jakby redagując w myślach wypowiedane zdania.

- Alice, teraz nie pora zaczynać wszystko od nowa. Jak sądzisz, po co zostałem dziś przed południem w domu?

- Dużo mi z tego przyszło. Gdzie się wybierasz?

- Wychodzę.

- Dokąd?

- Nie muszę się tłumaczyć.

- A właśnie że musisz.

Stała niewzruszenie przed nim w rozmyślnie brzydkiej pozie, z jednym biodrem wysuniętym do przodu i wypiętymi pod białą bluzką piersiami - ostrymi, a zarazem delikatnymi. Nie wydawała się pijana, ale jej oczy pały wilgotnym blaskiem. Były to oczy duże i fiołkowe i powinny być piękne. Ale ciemne kręgi pod nimi i gruba warstwa cieni na górnych powiekach upodabniały je do dwóch rozszerzających się sińców.

- Dokąd pan zabiera mego męża? - zwróciła się do mnie.

- To pan Sable mnie zabiera. Idziemy w interesach.

- Jakich interesach, co? Czyich interesach?

- Z całą pewnością nie twoich, kochanie. - Sable objął ją ramieniem. - Idź do swojego pokoju. Pan Archer jest prywatnym detektywem i pracuje dla mnie w pewnej sprawie... która nie ma z tobą nic wspólnego.

- Nie jestem pewna. - Wyszarpnęła mu się i przyskoczyła do mnie. - Czego pan ode mnie chce? Nie ma pan co węszyć. Siedzę w tej kostnicy i nie mam co robić ani do kogo ust otworzyć. Chciałabym być znów w Chicago. Tam w Chicago przynajmniej mnie lubią.

- Tutaj też cię lubią. - Sable przyglądał się jej cierpliwie, czekając, aż minie jej wzburzenie.

- Tutaj mnie nienawidzą. Nie mogę nawet poprosić o drinka w moim własnym domu.

- Przed południem, tylko o to chodzi.

- Ty wcale mnie nie kochasz. - Jej gniew zaczął przechodzić w rozczulenie nad samą sobą. Ta zmiana uczuć wycisnęła lzy z jej oczu. - Już cię wcale nie obchodzę.

- Przeciwnie, bardzo mnie obchodzisz. Właśnie dlatego nie lubię, jak robisz z siebie widowisko. Chodź, kochanie, wejdźmy do domu.

Objął ją wpół i tym razem mu się nie oparła. Przytrzymując ramieniem poprowadził ją obok basenu do drzwi wychodzących na dziedziniec. Kiedy zamykał te drzwi za sobą, była już mocno do niego przytulona.

Sam odszukałem drogę do wyjścia.

## **Rozdział 2**

Sable kazał na siebie czekać z pół godziny. Z miejsca, gdzie siedziałem w samochodzie, widziałem miasto Santa Teresa rozłożone w dole jak mapa warstwicowa, wyraźne w południowym oświetleniu. Było to stare i zasiedziałe miasto, jak to bywa w Kalifornii. Jego budowle wydawały się wrośnięte we wzgórze, pewnie osadzone w przeszłości. W zestawieniu z nimi dom Sable'a był niby żywa machina, tak nowa, że niemal

nie istniejąca.

Gdy wyszedł, miał na sobie brązowe ubranie w nikiel czerwone prążki i niósł w ręku skórzaną aktówkę. Jego sposób zachowania zmienił się z ubiorem. Był poważny, żwawy i oficjalny.

Podążając zgodnie z jego instrukcjami i za jego czarnym imperialem, dotarłem do miasta, przejechałem przez nie i trafiłem do starej dzielnicy willowej. Masywne tradycyjne domy stały tam daleko od ulicy, za wysokimi murami z cegły lub strzyżonymi żywopłotami.

Dzielnica Arroyo Park była ekonomicznym polem bitwy, gdzie dyrektorzy i przedstawiciele wolnych zawodów szli z sobą o lepsze, kto chytrzejszy i kto ma większe dochody. Ludzie z ulicy pani Galton nic o tej wojnie nie wiedzieli. Wygrali ją dla nich dziadowie i pradziadowie - śmierć i podatki były jedynym, czemu musieli stawić czoło.

Sable dał sygnał, że skręca w lewo. Wjechałem za nim między kamienne słupy bramy, na których było wyryte nazwisko „Galton”. Ich majestatyczne żelazne zwieńczenie wyglądało jak spuszczone kraty. Służący, który kosił trawnik kosiarką mechaniczną, przystanął na chwilę, żeby odgarnąć kosmyk z czoła, kiedy przejeżdżaliśmy. Trawnik miał barwę farby, jakiej używa się do drukowania numerów serii na banknotach, i ciągnął się nieprzerwanie kilkaset metrów. W perspektywie zieleni lśniła biała fasada dworku hiszpańskiego.

Podjazd prowadził na skrzydło domu i pod *porte-cochère*. Zaparkowałem za chevroletem z lekarskim kaduceuszem na tabliczce. Nie opodal, w cieniu ogromnego dębu, dwie dziewczyny w szortach grały w kometkę. Lotka fruwała od jednej do drugiej jak cięta riposta. Chybiwszy, zwrócona do nas tyłem ciemnowłosa dziewczyna powiedziała:

- A niech to diabli!

- Spokój - rzekł Gordon Sable.

Okręciła się w miejscu jak tancerka. Stwierdziłem, że nie jest dziewczyną, ale kobietą z dziewczęcą figurą. Jej twarz oblała się z wolna rumieńcem. Pokryła zmieszanie przesadnie kwaśną miną, która podkreśliła jej dziewczęcość.

- Jestem bez formy. Sheila nigdy ze mną nie wygrywa.  
- A właśnie że wygrywam! - krzyknęła dziewczyna za siatką. - Pobiłam cię trzy razy w ubiegłym tygodniu. Dziś jest już czwarty.

- Jeszcze nie koniec seta.

- Nie, ale i tak cię pobiję. - W głosie Sheili było napięcie, które nie harmonizowało z jej wyglądem. Była bardzo młoda, mogła mieć najwyżej osiemnaście lat. Cerę miała brzoskwińową i łagodne oczy łani.

Starsza, wzięła piłeczkę i zaserwowała. Podjęły grę na nowo, z ogromnym przejęciem, jakby Bóg wie co od niej zależało.

Pokojówka Murzynka w białym czepku zaprowadziła nas do salonu. Z sufitu zwisały, niby gigantyczne czarne kiście przywiedłych winogron, kandelabry z kutego żelaza. Odwieczne czarne meble, jak w muzeum, stały wzdłuż ścian pod starymi czarnymi obrazami. Okna były wąskie i umieszczone głęboko w grubych ścianach, jak okna w średniowiecznym zamku.

- Czy jest u niej doktor Howell? - spytał Sable pokojówki.

- Tak, proszę pana, ale pewnie zaraz wyjdzie. Jest już sporą chwilę.

- Miała nowy atak?

- Nie, proszę pana. To tylko zwykła wizyta.

- Proszę powiedzieć doktorowi, że chciałbym się z nim zobaczyć, nim odjedzie.

- Dobrze, proszę pana.

Ulotniła się z pokoju. Nie patrząc na mnie Sable powiedział obojętnym tonem:

- Nie będą przepraszał cię za żonę. Wiesz, jakie potrafią być kobiety.

- Uhu. - Wcale nie pragnąłem słuchać jego zwierzeń. A gdybym nawet pragnął, i tak by mi się nie zwierzał.

- W niektórych szczepach południowoamerykańskich raz w miesiącu odseparowuje się na cały tydzień kobiety od mężczyzn. Zamyka się je same w chatach i nie troszczy o nie. Wiele za tym systemem przemawia.

- To zrozumiałe.

- Jesteś żonaty, Archer?

- Byłem.

- Więc wiesz, jak jest. Chcą, żeby być z nimi nieustannie. Przestałem żeglować. Przestałem grywać w golfa. Wyrzekłem się praktycznie wszystkiego, co uprzyjemnia życie. A ona ciągle jest niezadowolona. Co z taką kobietą robić?

Zaprzestałem już udzielania rad. Ludzie, jeśli nawet o nie proszą, niechętnie ich słuchają.

- To ty, prawnik, jesteś od udzielania rad.

Przeszedłem się po pokoju i obejrzałem sobie obrazy na ścianach. Były one w większości przejawem kultu przodków - portrety donów hiszpańskich, dam w krynolinach z obnażonymi monolitycznymi biustami, jakiegoś oficera w błękitnym mundurze z czasów wojny domowej i kilku panów w dziewiętnastowiecznych garniturach z cierpkimi dziewiętnastowiecznymi minami na obrzeżonych bokobrodami twarzach. Najwięcej mi się spodobał obraz przedstawiający grupę potentatów przemysłowych w cylindrach, którzy przypatrywali się, jak inny potentat przemysłowy o twarzy buldoga wbija złoty gwóźdź w pokład kolejowy. Na dalszym planie był namalowany bawół spoglądający na to ponuro.

Pokojówka wróciła z mężczyzną w tweedowym ubraniu. Sable przedstawił mi go jako doktora Howella.

Doktor był wielkim mężczyzną po pięćdziesiątce, który poruszał się z nie uświadomioną powagą.

- Pan Archer jest prywatnym detektywem - rzekł Sable. - Czy pani Galton wspominała panu, co zamierza?

- A, tak. - Doktor przegarnął palcami siwe, krótko ostrzyżone włosy. Zmarszczki na jego czole powiększyły się. - Sądziłem, że cała ta sprawa z Antonim została skończona i od lat zapomniana. Kto nakłonił Marię, aby wyciągnąć to wszystko znów na światło dzienne?

- Nikt, o ile mi wiadomo. To jej własny pomysł. Jak ona się czuje?

- Tak jak się można czuć w jej stanie. Maria jest po siedemdziesiątce. Ma chore serce. Ma astmę. Jest to kombinacja, której skutków nie da się przewidzieć.

- Ale czy istnieje bezpośrednio niebezpieczeństwo?

- Nie sądzę. Trudno mi powiedzieć, co by się stało, gdyby przeżyła jakiś wstrząs lub zawód. Tak już bywa z astmą.

- Ma charakter psychosomatyczny?

- Albo somatopsychiczny, jak pan woli. W każdym razie jest chorobą, na którą wywierają wpływ stany emocjonalne. Właśnie dlatego bardzo mi się nie podoba, że Maria znów się przejmuje tym swoim nieszczęsnym synem. Co chce przez to zyskać?

- Wewnętrzny spokój. Czuje, że go skrzywdziła, i chce mu to wynagrodzić.

- A czy on żyje? Sądziłem, że uznano go prawnie za zmarłego.

- Istniała taka możliwość. Przed kilku laty przeprowadziliśmy oficjalne dochodzenie. Nie było wówczas o nim wieści od czternastu lat, to znaczy dwukrotnie dłużej, niż trzeba, żeby zgodnie z prawem uznać kogoś za zmarłego. Ale pani Galton nie pozwalała mi wszczynać postępowania prawnego. Myślę, że zawsze marzyła, że Antoni kiedyś wróci, aby upomnieć się o prawa do spadku i tak dalej. Ostatnio myśl o tym przeszła u niej w obsesję.

- Ja bym tego nie powiedział - rzekł doktor. - Wciąż mi się wydaje, że ktoś musiał jej tę myśl podsunąć, tylko po co?

- Kogo pan podejrzewa?

- Może Cassie Hildreth. Ona ma duży wpływ na Marię. A skoro mowa o marzeniach, sama miała kilka jako dziecko. Łaziła za Antonim zapatrzona w niego jak w słońce. A jak pan wie, trudno go było nazwać słoneczkiem. - Uśmiech Howella był połowiczny i ponury.

- To dla mnie nowość. Porozmawiam z panną Hildreth.

- Proszę mnie źle nie rozumieć, to jedynie domysł. Natomiast jestem przekonany, że trzeba starać się tę rzecz bagatelizować.

- Próbowałem ją bagatelizować. Ale z drugiej strony nie mogę przecież zupełnie odmówić pani Galton pomocy.

- Nie, ale lepiej nie przykładać się zbytnio do sprawy, nie szukać zdecydowanych rozstrzygnięć, póki Maria nie zainteresuje się czymś innym. - Doktor objął swym przenikliwym spojrzeniem również mnie. - Czy pan mnie rozumie?

- Doskonale - odparłem. - Niby zająć się tą sprawą, ale tak naprawdę nic nie robić. Czy ta terapia nie jest zbyt kosztowna?

- Marię stać na nią, jeżeli to pana gnębi. Jej miesięczny dochód przewyższa znacznie roczne wydatki. - Przyglądał mi się chwilę w milczeniu głaszcząc się po wielkim jak siekiera nosie. - Nie chodzi mi o to, aby pan naprawdę nic nie robił. Nikogo nie namawiam, aby lekceważył pracę, za którą mu płacą. Ale gdyby pan coś odkrył, co mogłoby wytrącić panią Galton z równowagi...

- Rozmawiałem już o tym z Archerem - wtrącił Sable szybko. - O wynikach będzie informował tylko mnie.

A chyba pan wie, że można polegać na mojej dyskrecji.

- O, tak.

Twarz Sable a zmieniła się leciutko. Zamrugał powiekami, jakby przed grożącym ciosem, i jego czujne oczy spochmurniały. Jak na swój wiek i pozycję majątkową bardzo łatwo się obrażał.

- Czy znał pan Antoniego Galtona? - spytałem doktora.

- Trochę.

- Jaki on był?

Howell spojrział na pokojówkę, która wciąż czekała w drzwiach. Dostrzegła to spojrzenie i odeszła. Doktor rzekł ściszym głosem:

- Antoni był wyrodkiem. Nie odziedziczył żadnych cech Galtonów. Z wielką pogardą odnosił się do wszelkich interesów. Mówił, że chce być pisarzem, ale nigdy nie dostrzegłem w nim śladu talentu pisarskiego. Jedyne prawdziwe talenty miał do pijaństwa i rozpusty. Sądzę, że spiknął się z jakąś niebezpieczną bandą w San Francisco. Myślę, że ktoś z tej zgrai chciał się dostać do jego kieszeni, więc trzasnął go w łeb, a potem wrzucił do Zatoki.

- Czy coś konkretnego na to wskazuje?

- Nie mogę tego twierdzić z całą stanowczością. Ale w latach trzydziestych San Francisco nie było dla młodego chłopca bezpiecznym terenem igraszek. A Toni musiał głęboko ugrzęznąć, żeby natrafić na dziewczynę, z którą się ożenił.

- Pan ją znał, prawda? - spytał Sable.



- Badalem ją kiedyś. Maria ją przysłała, żebym ją zbadal.

- Była tutaj? - zapytałem.

- Krótko. Toni przywiózł ją do domu zaraz po ślubie. Sądzę, że nawet się nie ludził, że rodzice ją zaakceptują. Raczej chciał im zagrać na nerwach. Jeśli istotnie mu o to chodziło, odniósł pełny sukces.

- A co było z tą dziewczyną?

- Sprawa oczywista nie pozostawiająca żadnych wątpliwości... ósmy miesiąc ciąży.

- A pan mówi, że właśnie się pobrali.

- Tak jest. Złapała go na dziecko. Rozmawiałem z nią trochę i gotów jestem się założyć, że wziął ją prosto z ulicy. Była dość ładnym stworzeniem, mimo ogromnego brzucha, ale miała ciężkie życie. Świadczyły o tym blizny na udach i pośladkach. Nie chciała mi powiedzieć, skąd się wzięły, ale to oczywiste, że była bita, i to nieraz. - Wspomnienie tego okrucieństwa wywołało szkarłatne rumieńce na twarzy doktora.

W drzwiach za jego plecami ukazała się dziewczyna o oczach łani, którą widziałem przedtem na boisku. Jej ciało było jak dojrzewający owoc i tylko częściowo ukryte pod bluzką bez rękawów i podwiniętymi szortami. Promieniowało z niej zdrowie i uroda, ale w jej słowach brzmiało zniecierpliwienie:

- Tato, długo jeszcze?

Na jej widok rumieńce doktora pogłębiły się.

- Odwiń nogawki tych majtek, Sheila.

- To nie są majtki.

- Wszystko jedno, odwiń te nogawki.

- A czemu?

- Bo ja ci to mówię.

- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć po cichu. Ile jeszcze mam czekać?

- Myślałem, że jeszcze masz poczytać cioci Marii.

- Nie.

- Obiecałaś.

- To ty obiecałeś za mnie. Grałam w kometkę z Cassie, a to chyba jak na jeden dzień wystarczy.

Odeszła, umyślnie ruszając przesadnie biodrami. Howell

łypnął groźnie okiem na zegarek, jakby to on był źródłem wszystkich jego trosk.

- Muszę już iść. Mam jeszcze kilka wizyt.

- Czy mógłby mi pan opisać tę młodą kobietę? - spytałem. - Powiedzieć, jak się nazywała?

- Nie pamiętam, jak się nazywała. A co do jej wyglądu, była drobną niebieskooką brunetką, dość szczupłą mimo ciąży. Pani Galton... nie, jednak wolę, aby jej pan o to nie pytał, chyba że sama poruszy ten temat.

Doktor skierował się do wyjścia, ale Sable zatrzymał go jeszcze na chwilę.

- Czy pan Archer może jej zadać kilka pytań? To znaczy, czy nie wpłynie to na stan jej serca lub nie wywoła ataku astmy?

- Nie mogę tego gwarantować. Jeżeli Maria się uprze, żeby dostać ataku, to nie potrafię temu zaradzić. Ale, poważnie, jeśli sprawa syna ją tak absorbuje, to nie zaszkodzi, że będzie o niej mówiła. Lepsze to, niż siedzieć i rozmyślać. Do widzenia, panie Archer, miło mi było pana poznać. Do widzenia, Sable.

### **Rozdział 3**

Pokojówka zaprowadziła Sable'a i mnie do salonu na piętrze, gdzie czekała na nas pani Galton. W pokoju tym pachniało lekarstwami i panowała przyciszona atmosfera szpitala. Ciężkie zasłony częściowo zakrywały okna. Pani Galton spoczywała w półmroku na szezlongu, z szlafrokiem zarzuconym na kolana.

Była całkowicie ubrana, z czymś białym i koronkowym pod zwiędłą szyją i trzymała siwą głowę prosto, jakby kij połknęła. Głos miała ostry, ale zaskakująco gromki. Jakby się w nim skupiła cała siła jej osobowości.

- Każe pan na siebie czekać, panie Gordonie. Już prawie pora mojego obiadu. Oczekiwałam pana jeszcze przed przyjściem doktora Howella.

- Bardzo panią przepraszam. Zatrzymano mnie w domu.

- Niech pan nie przeprasza. Nie cierpię przeprosin, wystawiają ludzką cierpliwość na jeszcze większą próbę. -

Mrugnęła do niego pogodnym okiem. - Czyżby żoneczka znowu sprawiała panu kłopoty?

- Och, nie, nic w tym stylu.

- To dobrze. Zna pan moje poglądy na sprawę rozwodu. A z drugiej strony, powinien pan być mnie posłuchać i nie żenić się z tą osobą. Jeśli ktoś z tym czeka prawie do pięćdziesiątki, powinien w ogóle zrezygnować. Właśnie mój mąż miał pod pięćdziesiątkę, kiedy się pobraliśmy. Z tego powodu już niemal dwadzieścia lat żyję we wdowieństwie.

- Wiem, że to niełatwe - rzekł Sable z namaszczeniem.

Pokojówka zawróciła do wyjścia, ale pani Galton zatrzymała ją:

- Zaczekaj chwilę. Powiedz no pannie Hildreth, niechaj mi sama przyniesie obiad. Może sobie wziąć jakąś kanapkę i zjeść ze mną, jeśli chce. Powiedz jej to.

- Dobrze, proszę pani.

Starsza pani wskazała nam krzesła, jedno z jej lewej, drugie z prawej strony, i skierowała wzrok na mnie. Oczy miała żywe i pogodne, ale jakieś nieludzkie, jakby ptasie. Patrzyły na mnie, jakbym należał do całkiem innego gatunku.

- Czy to jest człowiek, który ma odnaleźć mojego syna marnotrawnego?

- Tak, to właśnie pan Archer.

- Zamierzam spróbować - powiedziałem, pomny na przestrogę lekarza. - Nie mogę nic obiecać. Syn pani przepadł bez wieści bardzo dawno temu.

- Zdaję sobie z tego sprawę lepiej niż pan, młody człowieku. Ostatni raz widziałam go jedenastego października 1936 roku. Rozstaliśmy się w gorzkim gniewie i nienawiści. Od tamtej pory ów gniew i nienawiść trawią moje serce. Ale nie mogę umrzeć z tymi uczuciami. Chcę jednak zobaczyć syna i porozmawiać z nim. Chcę mu przebaczyć. I chcę, żeby on przebaczył mnie.

W jej głosie brzmiało głębokie wzruszenie. Nie wątpiłem, że było ono częściowo szczere. A mimo to było w nim coś nieautentycznego. Musiała od tak dawna wyprawiać różne sztuczki ze swoimi uczuciami, że już żadne z nich nie było

autentyczne.

- Żeby on przebaczył pani? - zapytałem.

-To, że go tak potraktowałam. Był młodym durniem i zrobił kilka katastrofalnych błędów, ale żaden z nich nie usprawiedliwia naszego z mężem postępków... tego, że go odtrąciliśmy. Jeżeli jeszcze ma tę swoją żonę, gotowa jestem ją uznać za synową. Upoważniam pana do powtórzenia mu tego. Chcę, zanim umrę, zobaczyć swego wnuka.

Spojrzałem na Sable'a. Pokręcił z dezaprobatą głową. Jego klientka, choć trochę nie z tego świata, była kobietą wnikliwą, przynajmniej w stosunku do innych:

- Wiem, co obaj myślicie. Myślicie, że Antoni nie żyje. Gdyby tak było, wiedziałabym o tym tutaj. - Jej dłoń powędrowała do płaskiej, odkrytej jedwabiem piersi. - To mój jedyny syn. Na pewno żyje, na pewno gdzieś jest. Nic we wszechświecie nie ginie.

Prócz ludzi - pomyślałem.

- Zrobię, co będę mógł, proszę pani. A pani mogłaby mi trochę pomóc. Proszę mi dać spis jego przyjaciół z czasów jego zaginięcia.

- Nigdy nie znałam jego przyjaciół.

- Musiał ich mieć na studiach. Przecież uczęszczał na Stanford.

- Opuścił Stanford wtedy wiosną. Nie wytrwał nawet do końca studiów. Tak czy inaczej, żaden z jego kolegów nie wiedział, co się z nim stało. Mój mąż starannie ich wszystkich wypytał.

- Gdzie pani syn mieszkał po opuszczeniu uniwersytetu?

- W slumsach San Francisco. Z tą kobietą.

- Ma pani jego ówczesny adres?

- Chyba gdzieś jest. Każę panie Hildreth poszukać.

- To już będzie coś, na początek. Czy wyjeżdżając stąd mówili, że zamierzają wrócić do San Francisco?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałam ich przed odjazdem.

- Podobno przyjechali raz w odwiedziny?

- Tak, ale nie zostali nawet na noc.

- Najwięcej by mi pomogło - powiedziałem ostrożnie -

gdybym mógł się dowiedzieć wszystkich szczegółów związanych z ich wizytą i odjazdem. Wszystkiego, co syn mówił o swoich planach, co mówiła jego żona, co pani o niej pamięta. Czy pamięta pani, jak się nazywała?

- On mówił na nią Teddy. Nie mam pojęcia, czy to było jej prawdziwe imię. Bardzo krótko rozmawialiśmy. Nie pamiętam nawet, o czym. Atmosfera spotkania była nieprzyjemna i pozostawiła we mnie niesmak. Tak jak i ta kobieta. Tania, polująca na pieniądze.

- Skąd pani wie, że taka właśnie była?

- Mam przecież oczy. I uszy. - W jej głosie zaskowytał gniew. - Była ubrana i wypacykowana jak ulicznica, a jak otworzyła usta... posługiwała się językiem ulicznym. Robiła nieprzystojne żarty na temat dziecka w swoim łonie i tego, jak się tam dostało. - Jej głos niemal się załamał. - Nie miała szacunku dla siebie jako kobiety, żadnych zasad moralnych. Ta kobieta zniszczyła mojego syna.

Zupełnie zapomniała o swych nadziejach na pojednanie. Pobrzmiewające w jej głosie gniewne poświsty przypominały echa w zrujnowanym domu, w którym straszy. Sable spojrział na nią niespokojnie, ale trzymał język za zębami.

- Zniszczyła? - spytałem.

- Moralnie. Opętała go jak zły duch. Mój syn nigdy by nie wziął tych pieniędzy, gdyby nie zły urok, który na niego rzuciła. Mam co do tego całkowitą pewność.

Sable pochylił się w krześle.

- O jakich pieniądzach pani mówi?

- O pieniądzach, które Antoni ukradł swemu ojcu. Czy nie mówiłam panu o tym? Nie, chyba nie. Nikomu nie mówiłam, zawsze się tego wstydziłam. - Uniosła ręce i opuściła je na okryte szlafrokiem kolana. - Ale teraz gotowa jestem wybaczyć mu i to.

- Jak to była suma? - spytałem.

- Nie wiem dokładnie. W każdym bądź razie kilka tysięcy dolarów. Od czasu, kiedy pozamykano banki, mój mąż miał zwyczaj trzymać pewną ilość gotówki w domu, na bieżące wydatki.

- Gdzie trzymał te pieniądze?

- W swoim prywatnym sejfie, w gabinecie. Kombinacja cyfr zaniku była zapisana na kartce papieru przyklejonej do wewnętrznej strony szuflady jego biurka. Antoni musiał ją tam znaleźć i wykorzystać. Zabrał wszystko, co było, wszystkie pieniądze i część biżuterii, jaką tam trzymałam.

- Jest pani pewna, że to właśnie on?

- Niestety. Wszystko to znikło razem z nim. Dlatego właśnie się ukrywał i dlatego już do nas nie wrócił.

Sable zasępił się jeszcze bardziej. Zapewne pomyślał to samo co ja - że kilka tysięcy dolarów gotówką w slumsach San Francisco, w dobie największego kryzysu, było jak bilet na tamten świat.

Ale nie mogliśmy powiedzieć tego głośno. Przy swych pieniądzach, astmie i chorobie serca pani Galton żyła w strasznym oddaleniu od rzeczywistości. Widocznie tak musiało być.

- Czy ma pani fotografię syna, jakąś zrobioną niezbyt długo przed zniknięciem?

- Chyba tak. Poproszę Cassie, żeby poszukała. Powinna tu zaraz przyjść.

- Chciałbym tymczasem poprosić o kilka innych informacji. Interesuje mnie zwłaszcza, gdzie pani syn mógł się udać, kogo i gdzie mógł odwiedzać?

- Nie wiem nic o jego życiu, odkąd porzucił studia. Zerwał więzy z przyzwoitymi ludźmi. Miał przewrotną skłonność do opuszczania się po szczeblach drabiny społecznej, deklasowania się. Odczuwał nostalgie de la boue - tęsknotę za rynsztokiem. Próbował to pokryć uduziwnioną gadaniną, że musi odzyskać więź z ziemią, zostać wieszczem narodowym, i tym podobnymi nonsensami. Naprawdę zaś interesowały go jedynie brudy, i to dla nich samych. Staralam się go wychować w czystości myśli i pragnień, ale jakoś... jakoś zafascynowało go to bagno moralne. To bagno go wchłonęło.

Jej oddech stał się świszczący. Zaczęła się trząść i woskowymi palcami szarpać szlafrok okrywający kolana.

Sable pochylił się nad nią zatroskany.

- Nie wolno się pani denerwować. To wszystko dawno się skończyło.

- Nie skończyło się. Chcę odzyskać syna. Nie mam nikogo. Nie mam nic. Skradziono mi go.

- Zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy, aby go odnaleźć.

- Tak, wiem, Gordonie. - Jej nastrój zmieniał się jak kapryśny wiatr. Skłoniła głowę w stronę ramienia Sable'a, jakby się chciała na nim oprzeć. Mówiła jak mała dziewczynka, którą oszukał czas i doznana strata, siwiejące włosy, zmarszczki i lęk przed śmiercią: - Jestem głupia, zła, stara baba. A ty zawsze jesteś dla mnie taki dobry. Antoni też, jak wróci, będzie dla mnie dobry, prawda? To mimo wszystko kochany chłopak. Był dobry dla swej biednej matki i znów będzie dobry.

Brzmiało to jak jakiś rytuał: wystarczy wypowiedzieć jakies pragnienie dostateczną ilość razy, by się spełniło.

- Z całą pewnością, proszę pani.

Sable wstał i uściśnął jej rękę. Zawsze odczuwałem pewną nieufność do mężczyzn, którzy za bardzo nadskakują bogatym, a choćby nawet ubogim starszym paniom. Ale tego ostatecznie wymagał jego zawód.

- Jestem głodna - powiedziała. - Co z moim obiadem? Co tam się dzieje na dole?

Na wpół uniosła się z szezlongu i nacisnęła dzwonek na stoliku obok'. Nie zwalniała nacisku, póki nie przyniesiono jedzenia. Trwało to z pięć pełnych napięcia minut.

## Rozdział 4

Posiłek przyniosła na posrebrzanej tacy, okryty serwetą, kobieta, którą widziałem na boisku. Zdążyła się już przebrać w prostą płócienną sukienkę, która osłaniała jej figurę, ale nie zdołała ukryć pięknych opalonych na brąz nóg. W niebieskich oczach była czujność.

- Kazesz na siebie czekać, Cassie - zauważyła staruszka. - Co, u licha, robiłaś?

- Szykowałam obiad. A przedtem grałam trochę w kometkę z

Sheilą Howell.

- Powinam była się domyślić, że się zabawiacie we dwie, kiedy ja tu siedzę i umieram z głodu.

- Daj spokój, jeszcze nie jest tak źle.

- Skąd możesz wiedzieć. Nie jesteś moim lekarzem. Zapytaj Augusta Howella, jakie ważne dla mojego zdrowia są posiłki.

- Przepraszam cię, ciociu. Sądziłam, że nie chcesz, żeby ci przeszkadzać, kiedy rozmawiasz z panami.

Stała tuż przed progiem trzymając wciąż przed sobą tacę jak tarczę. Nie była młoda - teraz, z bliska, widziałem na jej twarzy zmarszczki kobiety czterdziestoletniej, a w niebieskich oczach doświadczenie. Ale zachowywała się z młodzieńczą niedbałością, skrępowana uczuciami, których nie mogła wyrazić.

- W każdym razie nie musisz tak stać jak manekin.

Cassie podeszła szybko. Postawiła tacę na stoliku

i odsłoniła jedzenie. Mnóstwo jedzenia. Pani Galton zaczęła ładować widelcem sałatę do ust. Ruchy jej rąk i szczęk były szybkie i machinalne. Zapomniała o naszym istnieniu.

Wyszliśmy z Sable'em na korytarz i skierowaliśmy się ku szczytowi schodów, które wiodły do hallu szerokim opadającym łukiem. Sable oparł się o żelazną balustradę i zapalił papierosa.

- No i co o tym sądzisz, Lew?

Wyjąłem własne papierosy i również zapaliłem, nim odpowiedziałem.

- Sądzę, że to strata czasu i pieniędzy.

- Mówiłem ci.

- A mimo to chcesz, żebym się tym zajął?

- Nie widzę innego sposobu, żeby sobie z nią poradzić. Trzeba mieć do niej świętą cierpliwość.

- Można ufać jej pamięci? Ona jakby znów przeżywa przeszłość. Ludzie starzy często nie bardzo wiedzą, co się naprawdę zdarzyło, a co jest tworem ich fantazji. Na przykład ta historia ze skradzionymi pieniędzmi. Wierzysz w to?

- Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek skłamała. I szczerze wątpię, aby miała tak pomieszane w głowie, jak może się



wydawać. Ona lubi dramatyzować. To jedyna rozrywka, jaka jej została.

- Ile ma lat?

- Chyba siedemdziesiąt trzy.

- Jeszcze nie jest taka stara. A jej syn?

- Będzie miał jakieś czterdzieści cztery, jeżeli żyje.

- Ona sobie chyba nie zdaje z tego sprawy. Mówi o nim, jakby wciąż był chłopcem. Od jak dawna nie opuszcza swojego pokoju?

- Odkąd ją znam. Dziesięć lat. Czasem, jak ma dobry dzień, pozwala się wziąć pannie Hildreth na przejażdżkę. Nie bardzo jednak te przejażdżki zbliżają ją do rzeczywistości. Są to zazwyczaj krótkie wyprawy na cmentarz, gdzie leży jej mąż. Umarł wkrótce po zniknięciu syna. Według pani Galton to go właśnie zabiło. Panna Hildreth mówi, że umarł na zawał serca.

- Panna Hildreth jest ich krewną?

- Dość daleką. Ale zawsze łączyły ją z nimi zażyłe stosunki i mieszka z panią Galton od przed wojny. Mam nadzieję, że będzie mogła ci udzielić ściślejszych informacji.

- Przydałoby się.

Gdzieś, jak świerszcz na ścianie, rozdzwonił się przenikliwie telefon. Z pokoju pani Galton wyszła Cassie Hildreth i ruszyła szybko w naszą stronę.

- Telefon do pana. Dzwoni pani Sable.

- Czego chce?

- Nie wiem, ale wydaje się bardzo zdenerwowana.

- Zawsze jest czymś zdenerwowana.

- Może pan porozmawiać z nią na dole. Pod schodami jest drugi telefon.

- Wiem. Zaraz to zrobię. - Sable traktował ją szorstko, jak służącą. - Przy okazji, to jest pan Archer. Chce zadać pani kilka pytań.

- Teraz, zaraz?

- Jeżeli ma pani chwilę czasu - powiedziałem. - Pani Galton mówi, że mogę dostać od pani kilka fotografii, może też kilka informacji.

- Fotografii Antoniego?

- Jeśli je pani posiada.  
- Trzymam je dla pani Galton. Lubi je oglądać, kiedy jest w nastroju.  
- Pani u niej pracuje?  
- Jeśli to można nazwać pracą. Jestem jej płatną damą do towarzystwa.

- Ja bym to nazwał pracą.

Nasze oczy się spotkały. W ciemnej toni morskiego błękitu dostrzegłem błysk płetwy rekina, ale Cassie Hildreth odparła lojalnie:

- Ona nie jest taka zła. Tylko że dziś nie jest w najlepszej formie. To odgrzebywanie przeszłości źle na nią wpływa.

- Więc po co to robi?

- Bo niedawno przeżyła poważny lęk. Serce o mało nie odmówiło jej posłuszeństwa. Musiano ją trzymać pod namiotem tlenowym. Chce przed śmiercią wynagrodzić Antoniemu krzywdę. Źle go traktowała.

- Pod jakim względem?

- Nie pozwalała mu, jak to się mówi, żyć własnym życiem. Chciała go mieć w całości dla siebie jak... jak jakiś przedmiot. Ale niech pan lepiej nie wyciąga mnie na zwierzenia.

Zagryzła usta. Przypomniałem sobie, co doktor mówił o jej uczuciach do Antoniego. Cały ten dom jakby obracał się wokół zaginionego człowieka, jakby on oszedł zaledwie wczoraj.

W korytarzu pod schodami rozległy się nagle szybkie kroki. Przechyliłem się przez balustradę i zobaczyłem, jak Sable otwiera gwałtownym ruchem frontowe drzwi. Zamknęły się za nim z trzaskiem.

- Dokąd on tak pędzi?

- Pewnie do domu. Ta jego żona... - Cassie Hildreth zawahała się, starannie układając resztę zdania. - Uwielbia nagle wypadki. Jeśli pan chce obejrzeć te zdjęcia, proszę do mego pokoju.

Pokój ten mieścił się obok salonu pani Galton. Otworzyła drzwi yale'owskim kluczem. Jeśli pominąć jego rozmiar, kształt i wysokość sufitu, pokój ten nie pozostawał w żadnym związku z resztą domu. Umeblowany, był nowocześnie. Na ścianach

wisiały reprodukcje Paula Klee, na półkach stały najnowsze powieści. Brzydkie okna zamaskowano grubymi bawełnianymi draperiami. W kącie, za drewnianym parawanem, stało wąskie łóżko. Cassie Hildreth weszła do przyległego gabinetu i wróciła z plikiem fotografii w rękę.

- Najpierw proszę mi pokazać te, w których uchwycone jest największe podobieństwo.

Prze wertowała je ze ściągniętą i pełną napięcia twarzą i podała mi upozowany portret zrobiony w jakimś studio. Antoni Galton był przystojnym chłopcem. Staralem się, aby jego rysy zapadły mi w duszę: jasne, szeroko rozstawione oczy pod łukami znamionujących inteligencję brwi, nos krótki, prosty, małe usta o dość pełnych wargach, krągły, dziewczęcy podbródek. Brakowało tylko cech znamionujących charakter, osobowość, owego elementu, który powinien był łączyć te wszystkie rysy w całość. Jedyne jego ślad był w półuśmiechu, który jakby mówił: „Niech was diabli wezmą”. A może: „mnie”.

- To jego dyplomowe zdjęcie - powiedziała cicho Cassie.

- Sądziłem, że nie doszedł do dyplomu.

- Nie. Zrobił je sobie przed rzuceniem studiów.

- Czemu nie dotrwał do dyplomu?

- Nie chciał dać ojcu tej satysfakcji. Czy może matce. Zmusili go do studiowania mechaniki, która go najmniej ze wszystkiego interesowała. Wytrwał cztery lata, ale nie zrobił egzaminu końcowego.

- Oblał?

- Gdzie tam. Był bardzo zdolny. Niektórzy z profesorów uważali, że jest wybitnie uzdolniony.

- Ale nie do mechaniki?

- Radził sobie ze wszystkim, jeśli tylko chciał. Ale naprawdę miał zainteresowania literackie. Chciał zostać pisarzem.

- Musiała go pani dobrze znać.

- Naturalnie. Nie mieszkałam wówczas u Galtonów, ale bywałam tutaj, często podczas wakacji Antoniego. Dużo rozmawialiśmy. Cudownie się z nim rozmawiało.

- Proszę mi go opisać, dobrze?

- Ale przecież widział pan jego fotografię. A są jeszcze inne.

- Obejrzę je sobie za chwilę. Teraz proszę mi o nim opowiedzieć.

- Spróbuję, skoro pan nalega. - Zamknęła oczy. Jej twarz wygładziła się, jakby lata zostały z niej wymazane. - Był pięknym chłopcem. Proporcjonalnie zbudowany, szczupły, silny. Głowa wspaniale osadzona, krótkie, jasne loki. - Otworzyła oczy. - Czy widział pan kiedyś Praksytelesowego Hermesa?

Czułem się trochę zażenowany, nie tylko dlatego, że nie widziałem. Jej opis zawierał siłę wyznania miłosnego. Nie spodziewałem się tego. Uczucie Cassie było jak spontaniczny wybuch dawnych nadziei.

- Nie - odparłem. - Jaki miał kolor oczu?

- Szary. Uroczy, jasnoszary. Miał oczy poety.

- Rozumiem. Czy pani była w nim zakochana?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Nie sądzi pan chyba, że odpowiem.

- Już pani odpowiedziała. Mówi pani, że często rozmawialiście. Czy kiedykolwiek mówił z panią o swoich planach na przyszłość?

- Tylko ogólnie. Chciał -wyjechać i pisać.

- Dokąd wyjechać?

- Chyba gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie.

- Za granicę?

- Wątpię. Antoni nie pochwalał emigracji. Zawsze mawiał, że chce się bardziej przybliżyć do Ameryki. Niech pan pamięta, że to było podczas kryzysu: prawa klasy pracującej leżały mu na sercu.

- Był radykałem?

- Chyba można go tak nazwać. Ale nie komunistą, jeśli panu o to chodzi. Czuł, że fakt posiadania pieniędzy odcina go od życia. Antoni nienawidził snobizmu... między innymi dlatego miał ciężkie życie na uniwersytecie. Mawiał, że chce żyć jak zwykli ludzie, zagubić się w tłumie.

- Wygląda na to, że mu się udało. Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o żonie?

- Nigdy. Nie wiedziałam nawet, że jest żonaty czy choćby

zamierza się ożenić. - Była bardzo speszona. Nie wiedząc, co zrobić ze swoją twarzą, spróbowała się uśmiechnąć. Jej zęby w rozchylnych wargach wyglądały jak bielejąca w ranie kość.

Jakby chcąc odwrócić uwagę od swojej osoby, wcisnęła mi w rękę pozostałe fotografie. Większość z nich były to wierne ujęcia Antoniego Galtona: na koniu, w kąpielówkach na skale, z rakiętą tenisową i uśmiechem zwycięzcy na twarzy. Z tych zdjęć i z tego, co o nim słyszałem, odniosłem wrażenie, że był to chłopak, który cały czas pozorował, że robi to, co robił. Przybierał na przykład pozę zadowolenia, ale pozostawał niedostępny, nawet oku kamery. Pomału zaczynałem rozumieć, dlaczego pragnął się zagubić.

- A co lubił robić?

- Pisać. Czytać i pisać.

- A poza tym? Tenis? Pływanie?

- Nie. On nie cierpiał sportu. Drwił ze mnie, że przepadam za sportem.

- A wino i kobiety? Doktor Howell mówi, że był lekkoduchem.

- Doktor Howell nigdy go nie rozumiał - odparła. - Antoni rzeczywiście miewał przygody z kobietami i przypuszczalnie pił, ale robił to dla zasady.

- Mówił to pani?

- Tak, i to jest prawda. Wprowadzał w życie postulat Rimbauda obalania reguł rządzących zmysłami. Uważał, że dzięki różnym ważnym przeżyciom stanie się dobrym poetą, jak Rimbaud. - Spostrzegła moje nie rozumiejące spojrzenie i dodała: - Arthur Rimbaud był francuskim poetą. On i Charles Baudelaire byli wielkimi ideałami Antoniego.

- Rozumiem. - Zbaczaliśmy na obszary, w których czułem się zagubiony. - Znała pani którąś z tych jego kobiet?

- Ach, nie. - Wstrząsnęło nią to pytanie. - Nigdy tu żadnej z nich nie przyprowadzał.

- Ale przyprowadził żonę.

- Tak, wiem o tym. Byłam wtedy w szkole, kiedy to się stało.

- A co się wtedy stało?

- Wielka eksplozja - odparła. - Pan Galton powiedział mi, żeby nigdy więcej się nie ważył przekroczyć progu tego domu.

Bardzo to było wiktoriańskie i patriarchalne. Antoni rzeczywiście nigdy więcej nie przekroczył progu tego domu.

- Zaraz... To było w październiku 1936. Czy widziała pani Antoniego kiedykolwiek później?

- Nigdy. Byłam w szkole, na wschodzie.

- I nigdy do pani nie pisał?

Jej usta zaczęły się układać w słowo „nie”, ale potem się zacisnęły.

- Dostałam od niego krótki liścik gdzieś tamtej zimy. Musiało to być przed Bożym Narodzeniem, bo dostałam go w szkole, a po Bożym Narodzeniu już tam nie wróciłam. Myślę, że to było na początku grudnia.

- I co w nim napisał?

- Nic określonego. Tylko że mu się nieźle powodzi i że zaczęli go drukować. Przyjęli mu wiersz do jednego z niskonakładowych magazynów w San Francisco. Przysłał mi egzemplarz w osobnej kopercie. Zachowałam go, więc mogę pokazać.

Leżał w brunatnej kopercie na najwyższej półce jej regału. Była to niewielka cienka publikacja wydrukowana niedbale na lichym papierze. Pismo nazywało się „Dłuto”. Otworzyła je na rozkładówce i podała mi. Zacząłem czytać:

John Brown

LUNA

Biała jej pierś  
Jak biała piana,  
Gdzie spoczywają mewy,  
Ale nie znajdują domu.

Zielone jej oczy  
Jak głębia zielona,  
Gdzie tworzą się fale\_  
I gdzie drzemią burze.

I trwożny jestem

Jak żeglarz,  
Gdy morze i niebo  
Burzyć się poczynają -

Bo dzikie jest jej serce  
Jak fala wezbrana:  
Uniesie się i odejdzie,  
Gdy będę pogrążony we śnie.

- Czy to napisał Antoni Galton? Jest podpisane „John Brown”

- To jego pseudonim. Nie chciał, podpisać wiersza prawdziwym nazwiskiem. Poza tym, „John Brown” miał dla niego specjalny sens. Antoni głosił teorię, że nasz kraj przeżywa drugą wojnę domową... wojnę między bogatymi a biednymi. Uważał biednych ludzi za białych Murzynów i chciał zrobić dla nich to, co John Brown zrobił dla niewolników. Wywieść ich z niewoli... w sensie duchowym, rzecz jasna. Antoni nie miał przekonania do przemocy.

- Rozumiem - powiedziałem, chociaż to wszystko brzmiało dla mnie dość dziwnie. - Skąd przysłał pani to pismo?

- Z San Francisco, gdzie ono wychodziło.

- I więcej już nie miała pani od niego wiadomości?

- Nie.

- Mogę zatrzymać te zdjęcia i pismo? Postaram się je zwrócić.

- Jeżeli to ma panu pomóc w odnalezieniu Antoniego...

- Podobno zamieszkał w San Francisco. Ma pani jego ostatni adres?

- Miałam, ale nie ma pan po co tam chodzić.

- Dlaczego?

- Ja tam byłam w rok po jego odejściu z domu. Stara, czynszowa kamienica, skazana na zagładę. Właśnie ją burzono.

- Czy próbowała go pani dalej szukać?

- Chciałam, ale się bałam. Miałam zaledwie siedemnaście lat.

- Czemu nie wróciła pani do szkoły, Cassie?

- Nie miałam specjalnej ochoty. A poza tym pan Galton źle się czuł i ciocia Maria prosiła, żebym z nią została. To właśnie ona

opłacała moją szkołę, więc nie bardzo mogłam odmówić.

- Od tamtej pory jest pani tutaj?

- Tak. - Słowo to zostało wypowiedziane z wyraźnym napięciem.

Jakby na dany sygnał, zza ściany rozległ się podniecony głos pani Galton:

- Cassie! Cassie! Jesteś tam? Co ty tam robisz?

- Muszę iść - powiedziała Cassie.

Zamknęła drzwi swojego sanktuarium i odeszła ze zwieszoną głową.

Po dwudziestu kilku latach przeżytych w podobnej atmosferze i na to nie byłoby mnie stać.

## Rozdział 5

Na schodach spotkałem córkę doktora. Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało.

- To pan jest tym detektywem?

- Tak, to ja jestem tym detektywem. Nazywam się Archer.

- A ja Sheila Howell. Odnajdzie go pan?

- Spróbuję.

- To nie brzmi zbyt obiecująco.

- Bo nie jest.

- Ale zrobi pan, co w pana mocy?

- Czy to aż tak ważne dla pani? Jest pani za młoda, żeby móc znać Antoniego Galtona.

- To bardzo ważne dla cioci Marii . -1 dodała w przypiływie uczucia: - Ona potrzebuje kogoś, kto by ją kochał. Ja próbuję, słowo daję, ale po prostu nie potrafię.

- Ona jest pani krewną?

- Niezupełnie. Jest moją chrzestną. Nazywam ją ciotką, bo ona tak chce. Ale nigdy nie zdołałam obudzić w sobie uczuć siostrzenicy.

- Wyobrażam sobie, jak ona musi to utrudniać.

- To nie jej wina, ale ona po prostu nie umie współżyć z ludźmi. Od dawna robi, co jej się żywnie podoba. -



Poczerwieniła i zacisnęła usta. - Wcale nie chciałam jej krytykować. Pan pewnie myśli, że jestem straszna, że tak o niej mówię do nieznamym. Ja jej naprawdę dobrze życzę, wbrew temu, co sądzi mój tata. I jak chce, żebym jej czytała „Pendennisa”, to czytam.

- Brawo. Chciałbym zatelefonować. Czy jest tu gdzieś telefon?

Pokazała mi telefon pod schodami. Był to stary ścienny aparat, którego nikomu nie przyszło do głowy zmienić na nowoczesny. Pod nim, na stoliku, leżała książka telefoniczna Santa Teresa. Poszukałem w niej numeru Sable’a.

Długo zwlekał z podniesieniem słuchawki. W końcu usłyszałem, jak ją podnosi na drugim końcu linii. Oczekawszy jeszcze chwilę usłyszałem jego głos. Ledwie go poznałem. Był jakiś rozmazany, jakby Sable płakał.

- Tu Gordon Sable.

- Mówi Archer. Odjechałeś, zanim zdążyliśmy się ostatecznie dogadać. W takiej sprawie jak ta potrzebuję zaliczki, a także pieniędzy na pokrycie kosztów, co najmniej trzysta dolarów.

W słuchawce coś stuknęło, a potem zaburzało. Ktoś wykrczał numer. Usłyszałem głos kobiety:

- Centrala? Proszę połączyć mnie z policją.

- Odłóż słuchawkę - rzekł Sable.

- Dzwonię na policję. - Był to głos jego żony, głos histerycznie piskliwy.

- Już wezwałem. Odłóż słuchawkę. Ja teraz rozmawiam.

Usłyszałem odgłos niezręcznie odkładanej słuchawki.

- Jesteś, Sable? - spytałem.

- Tak. Jak się domyślasz, zdarzył się wypadek. - Urwał na chwilę. Słyszałem jego oddech.

- Żona?

- Nie, chociaż jest bardzo wzburzona. Mój służący, Peter, został zasztyletowany. Chyba nie żyje.

- Kto go zasztyletował?

- Tonie jest jasne. Niewiele mogę się dowiedzieć od żony. Wygląda na to, że jakiś oprych zadzwonił do drzwi, a kiedy Peter otworzył, dostał nożem.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Jeżeli sądzisz, że to się na coś przyda. Peterowi nic już nie pomoże.

- Będę za kilka minut.

Ale nie udało mi się tak szybko tam dotrzeć. Nie znalazłem przedmieścia Arroyo Park. Skręciłem w złą stronę na skrzyżowaniu i zabłądziłem w plątaninie krętych ulic. Wszystkie wydawały mi się jednakowe, z domami o płaskich dachach, białymi, szarymi i z nie wypalanej cegły, rozrzuconymi wśród tarasowatych zboczy.

Chwilę jeździłem tymi ulicami w koło, aż wreszcie znalazłem się na szczycie wzgórza nie tego co potrzeba. Droga zmieniła się w parę kolein wiodących na pole, gdzie stała tylko wieża ciśnień. Zawróciłem i zatrzymałem się, żeby zorientować się w sytuacji.

Po lewej stronie, na szczycie odległego o milę wzgórza, dostrzegłem niewyraźnie płaski bladozielony dach, który mi wyglądał na szutrowy dach willi Sable'a. Po prawej, daleko w dole, wąska asfaltowa droga wiła się środkiem doliny jak ciemna rzeka. Między tą drogą a kępą zarośli dębowych buchnął pomarańczowy strzep płomieni i zgasł. W nieruchome, błękitne powietrze popłynęła strużka czarnego dymu. Poruszywszy się dostrzegłem odbłask słońca na metalu. Był to samochód, utkwiony maską w rowie i płonący.

Zjechałem długą drogą w dół i skręciłem na asfaltową szosę w prawo. Z oddali zawodziła syrena straży pożarnej. Dym z płonącego samochodu wił się coraz wyżej i rozpościerał jak wolno rozlewająca się plama nad drzewami. Przyglądając mu się o mało nie przejechałem człowieka.

Szedł w moją stronę z pochyloną głową, jakby w zamyśleniu, krępy, młody, o byczym karku. Zatrąbiłem i nadepnąłem na hamulec. Szedł dalej z uporem. Jedno ramię zwisało mu bezwładnie, a z palców kapłała krew. Drugą rękę miał włożoną w rozcięcie prostej flanelowej marynarki.

Podszedł do drzwi od mojej strony i oparł się o nie.

- Podwiezie mnie pan? - Tłuste, czarne kędziory opadły mu na płonące czarne oczy. Jasnoczerwona krew na wargach nadawała mu sprośny wygląd; przypominał umalowaną

dziewczyne.

- Rozbił pan samochód?

Chrząknął.

- To niech pan przejdzie na tamtą stronę, jeśli pan może.

- Nic z tego. Wsiadam z tej.

Dostrzegłem u niego złodziejski błysk w oczach, ale i coś gorszego. Sięgnąłem po kluczyki. Uprzedził mnie. W rogu otwartego okna ukazała się lufa krótkiego błękitnawego rewolweru.

- Zostaw kluczyki. Otwórz drzwi i zjeżdżaj.

Kędzierzawy działał i gadał jak zawodowiec albo przynajmniej jak utalentowany amator, z powołaniem. Otworzyłem drzwi i wysiadłem.

Ruchem ręki nakazał, żebym się oddalił.

- No, jazda.

Zawahałem się, oceniając moje szanse.

Pokazał rewolwerem w stronę miasta.

- Zasuway, brachu. Nie chcesz chyba sprzeczeki ze mną.

Zacząłem iść. Za plecami usłyszałem ryk silnika mego samochodu. Zszedłem z drogi. Ale Kędzierzawy skręcił w jakiś podjazd, zawrócił i odjechał w przeciwnym kierunku, oddalając się od syren alarmowych.

Kiedy dotarłem na miejsce, ogień był już wygaszony. Straż pożarna zwijała węże na bębny umieszczone z boku długiego, czerwonego wozu. Podeszedłem do kabiny i zapytałem siedzącego za kierownicą strażaka:

- Macie tu radiotelefon?

- A bo co?

- Zrabowano mi samochód. Myślę, że typ, który mi go zabrał, rozbił właśnie ten, który leży w rowie. Trzeba zawiadomić policję drogową.

- Niech mi pan poda szczegóły, to przekażę.

Podąłem numer rejestracyjny i opis swojego samochodu, a także zwięzły rysopis Kędzierzawego. Strażak zaczął przekazywać dane przez radiotelefon. Zlazłem do rowu, żeby się przyjrzeć samochodowi, na który zamieniłem swój. Był to czarny jaguar, mniej więcej pięcioletni. Zjechał łukiem z szosy,

żłobiąc głębokie koleiny w poboczu, i nadział się maską na głaz w rowie. Miał przebitą dętkę jednego z przednich kół. Przednia szyba była popękana promieniście, a lakier cały w pęcherzach od ognia. Jedne i drugie drzwi stały otworem.

Zanotowałem sobie numer rejestracyjny i podszedłem bliżej, żeby rzucić okiem na kartę rejestracyjną na kolumnie kierownicy. Karty nie było. Wsiadłem i zajrzałem do schowka na rękawiczki. Był pusty.

Na drodze nade mną zatrzymał się z piskiem opon jeszcze jeden samochód. Wysiedli z niego dwaj miejscowi policjanci i zbiegli w dół wzbijając dwie chmurki pyłu. W rękach mieli rewolwery, na opalonych na brąz twarzach śmiertelną powagę.

- Pański wóz? - warknął do mnie pierwszy.

- Nie.

Zacząłem mówić, co stało się z moim, ale nie chciał nawet słuchać.

- Wysiadać! Ręce na wysokość barków, trzymać na widoku. r

Wysiadłem z uczuciem, że kiedyś już to przeżywałem. Pierwszy z policjantów trzymał mnie na muszce rewolweru, drugi przetrząsał kieszenie. Robił to bardzo skrupulatnie. Zbadał nawet znalezione tam paprochy. Zakpiłem sobie z tego.

- Tu nie ma żartów. Nazwisko.

Wokół nas zaczęli się gromadzić strażacy. Byłem wściekły i czułem, że się pocę. Otworzyłem usta i użyłem sobie ile wlezie.

- Jestem kapitan Nemo - powiedziałem. - Właśnie wysiadłem na brzeg z nieprzyjacielskiej łodzi podwodnej. Nasze łodzie są napędzane wodorostami. Kadłuby wyrabiamy z prasowanych wodorostów. Prowadźcie mnie więc do najmądrzejszego spośród was. Nie ma chwili do stracenia.

- Szurnięty facet - powiedział pierwszy policjant. - Od razu sobie pomyślałem, że ten nożownik musi być szurnięty. Sam słyszałeś, Barney.

- No. - Barney badał zawartość mojego portfela. - Ma prawo jazdy wystawione na nazwisko jakiegoś Archera, z Zachodniego Hollywood. I legitymację prywatnego detektywa, to samo nazwisko. Ale pewnie fałszywa.

- Wcale nie jest fałszywa. - Mój wygląd narobił mi tylko

kłopotów. - Nazywam się Archer. Jestem prywatnym detektywem, pracuję dla mecenasa Sable'a.

- Sable'a, powiada. - Policjanci wymienili znaczące spojrzenia. - Oddaj mu portfel, Barney.

Barney podał mi portfel. Wyciągnąłem rękę. Na moim nadgarstku zatrzasnęły się z brzękiem kajdanki.

- A teraz druga rączka - powiedział łagodnie. Byłem przecież szurnięty. - Teraz proszę drugą rączkę.

Zawahałem się. Ale opór na nic by się nie zdał, jeszcze by zrobili ze mnie przestępcę. A ja chciałem, żeby to oni byli przestępcami, żeby ich upokorzyć za ich głupotę.

Podąłem drugą rękę bez oporu. Patrząc na swoje skrępowane dłonie zobaczyłem plamkę krwi na jednym z palców.

- Idziemy - rzekł pierwszy policjant. Wrzucił mi portfel do bocznej kieszeni marynarki.

Wpędzili mnie na skarpe i na tylne siedzenie samochodu. Z kabiny wozu strażackiego wychylił się kierowca.

- Nie spuszczać go z oka, chłopaki. To cwany facet. Powiedział mi, że mu skradziono samochód, dałem się nabrać.

- My nie - powiedział pierwszy policjant. - My tak umiemy sobie radzić z tymi ptaszkami, jak wy gasić pożar. Nie dopuszczajcie nikogo w pobliże jaguara. Postawcie przy nim kogoś, dobrze? Jak tylko będę mógł, zaraz tu przyślę któregoś z naszych.

- A co on przeskrobał?

- Zadzgał człowieka.

- Jezu, a ja myślałem, że to przyzwoity człowiek.

Pierwszy policjant usiadł na tylnym siedzeniu obok mnie.

- Muszę cię ostrzec, że cokolwiek powiesz, może być użyte przeciwko tobie. Czemuś to zrobił?

- Co?

- Dźgnął nożem Petera Culligana.

- Nikogo nie dźgnąłem.

- Masz krew na ręku. Skąd by się tam wzięła?

- Pewnie z jaguara.

- Znaczący z twojego samochodu?

- To nie mój samochód.

- Diabła tam nie twój. Mam świadka, który widział, jak odjeżdżałeś z miejsca zbrodni.

- To nie byłem ja. To ten, który przed chwilą ukradł mój samochód.

- Nie bajtluj. Możesz bajtlować strażaków. Ja jestem policjant.

- Poszło wam o babkę? - zapytał Barney przez ramię.

- Jeżeli poszło o babkę, to da się zrozumieć. Zbrodnia w afekcie i tak dalej. Psia kostka - dodał pogodnie - to nie byłoby nawet morderstwo drugiego stopnia. Za dwa, trzy lata wyszedłbyś na wolność. Nie, Conger?

- Jasne - odparł Conger. - Powiedz od razu prawdę i będziesz miał to z głowy.

Ta zabawa zaczęła mnie już nudzić.

- Nie o babkę. O wodorosty. Jestem miłośnikiem wodorostów. Lubię posypywać nimi jedzenie.

- Co to ma wspólnego z Culliganem?

- On mi wygląda na zupełnie szurniętego - rzekł Barney siedzący na przednim siedzeniu.

Conger pochylił się do mnie.

- Jesteś?

- Co jestem?

- Szurnięty?

- Taa. Żuję wodorosty, a potem orbituję. Wieźcie mnie na najbliższe pole startowe.

Conger spojrział na mnie z politowaniem. Byłem szurnięty. Ale uczucie litości stopniowo zastąpił wyraz zwątpienia. Conger zaczynał pomału pojmować, że robię z niego balona. Ni stąd, ni zowąd jego twarz pod opalenizną zrobiła się ciemnoczerwona. Leżąc na kolanie dłoń zwinęła się w pięść. Widziałem, jak pod rękawem bluzy grają potężne mięśnie. Podciągnąłem brodę i przygotowałem się do sparowania ciosu. Ale nie uderzył.

Biorąc pod uwagę te okoliczności okazał się przyzwoitym gliną. Gotów byłem go polubić mimo kajdanków, które mi krępowały ręce.

- Jak już mówiłem - powiedziałem - nazywam się Archer. Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem, niegdyś

sierżantem policji w Long Beach. Kalifornijski kodeks kamy zawiera ustęp dotyczący nieuzasadnionego uwięzienia. Nie uważacie, że lepiej byłoby zdjąć te bransoletki?

- Domorosły adwokacina, co? - rzekł Barney z przedniego siedzenia.

Conger nie mówił nic. Siedział długo w bolesnym milczeniu. Wysiłek myślenia wyczyniał nieoczekiwane rzeczy z jego mięsistą twarzą. Działał na niego jak głośny hałas pośród nocy.

Samochód zjechał z szosy i piął się na wzgórze Sable'a. Pod przeszkloną ścianą domu stał drugi radiowóz. Z radiowozu wysiadł Sable, a za nim potężnie zbudowany mężczyzna w cywilnym ubraniu.

Sable był blady i roztrzęsiony.

- Nie spieszyłeś się specjalnie. - A potem spostrzegł kajdanki na moich rękach. - Boże święty!

Potężnie zbudowany mężczyzna wyminął go i szarpnął drzwiczki samochodu.

- Co tu się dzieje?

Conger zmieszał się jeszcze bardziej.

- Nic, szeryfie. Złapaliśmy podejrzanego. Twierdzi, że jest prywatnym detektywem i pracuje dla pana Sable'a.

Szeryf obrócił się do Sable'a.

- To pana człowiek?

- Oczywiście.

Ale Conger już zdejmował mi kajdanki, robiąc to w sposób możliwie dyskretny, jak gdyby liczył, że może nie zauważę, że w ogóle miałem je na rękach. Barney nie odwrócił nawet głowy, kiedy wysiadałem z samochodu, Kark miał czerwony.

Szeryf podał mi rękę. Twarz miał spokojną i wyblakłą, a oczy poruszały się w niej z niespożytą energią.

- Nazywam się Trask. Nie będę przepraszał. Wszyscy popełniamy błędy. Tylko może niektórzy z nas częściej od innych, co, Conger?

Conger milczał.

- A teraz, kiedy już jest po zabawie, może ktoś poda przez radio opis mojego samochodu i człowieka, który go zabrał.

- O jakim człowieku mowa? - spytał Trask.

Powiedziałem mu i dodałem:

- Jeśli nie weźmie mi pan tego za złe, szeryfie, byłoby dobrze, gdyby pan sam porozumiał się z patrolem drogowym. Ten facet pojechał w stronę San Francisco, ale mógł to zrobić tylko dla zmylenia i zawrócić.

- Zaraz się tym zajmę.

Trask ruszył w kierunku swego radiowozu. Zatrzymałem go jeszcze na chwilę:

- Jeszcze jedno. Tego jaguara powinien obejrzeć ekspert. Może jest również kradziony...

- Taa, miejmy nadzieję, że nie.

## Rozdział 6

Zamordowany leżał tam, gdzie padł, na skrawku zbryzganego krwią trawnika, około dziesięciu stóp od frontowych drzwi domu Sable'a. Dolną część jego białej marynarki zajmowała plama czerwieni. Zwrócona w górę twarz była szara i nieprzenikniona, jak kamienne rzeźby na grobowcach.

Jeden z policjantów fotografował go kamerą umieszczoną na trójnogu. Był to siwy policjant z długim, wścibskim nosem. Poczekalem, aż przestawi aparat do innego ujęcia.

- Mogę rzucić na niego okiem?

- Pod warunkiem, że go pan nie dotknie. Za chwileczkę skończę.

Kiedy skończył, pochylilem się nad ciałem, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Miał głęboką ciętą ranę brzucha. Na prawej dłoni i wewnętrznej stronie podwiniętych palców też były cięcia. Nóż, który dokonał tego krwawego dzieła, pięciocalowy sprężynowiec, leżał na trawie ukośnie pomiędzy torsem a wyciągniętym prawym ramieniem mężczyzny.

Wziąłem jego rękę - była jeszcze ciepła i miękka - i obróciłem na drugą stronę. Skóra na wytatuowanych knykciach była poszarpana, zapewne o zęby przeciwnika.

- Nielicho musiał walczyć - powiedziałem.

Policjant kucnął obok mnie.



- Tak. Niech pan uważa na te paznokcie. Pod nimi coś jest, może zdrapana skóra. Widział pan ten tatuaż?

- Musiałbym być ślepy, żeby nie widzieć.

- Chodzi o ten tutaj. - Ujął dłoń w swoje ręce i wskazał cztery kropeczki tworzące mały kwadracik między wskazującym a środkowym palcem. - Znak gangu. Pokrył to później zwykłym tatuażem. Wielu dawnych gangsterów tak robi. Widywałem to u zatrzymanych u nas ludzi.

- Jaki to może być gang?

- Nie wiem. Jakiś z Sacramento albo San Francisco. Nie znam się na insygniach gangsterskich północnej Kalifornii. Ciekawe, czy adwokat Sable wie, że miał za pracownika dawnego gangstera.

- Można go zapytać.

Drzwi frontowe były otwarte. Wszedłem i znalazłem Sable'a w salonie. Uniósł osłabłą rękę i wskazał nią fotel.

- Siadaj, Archer. Przepraszam za to, co się stało. Nie mam pojęcia, co im strzeliło do głowy.

- Nadmiar gorliwości. Nie ma o czym mówić. Marny początek, ale ci miejscowi chłopcy zdaje się wiedzą, co robią.

- Mam nadzieję - odparł bez entuzjazmu.

- Co wiesz o swoim zamordowanym służącym?

- Obawiam się, że niewiele. Pracował u mnie zaledwie od kilku miesięcy. Początkowo miał się zajmować moim jachtem. Mieszkał na tym jachcie, póki go nie sprzedałem. Potem przeniósł się tu. Nie miał gdzie się podziać, a nie wymagał wiele. Jak mogłeś zauważyć, niezbyt nadawał się na służącego. Ale tu, na wsi, trudno o służbę, a Peter był chętny, więc pozwoliłem mu zostać.

- Z jakiego pochodził środowiska?

- Był zdaje się niezłym włóczykiem. Wspominał o różnych zawodach, jakich się imał: kucharz na statku, robotnik portowy, malarz pokojowy.

- Jak do ciebie trafił? Przez biuro pośrednictwa?

- Nie. Spotkałem go na molo. Zdaje się, że właśnie przyплыł statkiem rybackim, kutrem z Monterey. Czyściłem okucia mosiężne, zaciągałem pokostem pokład, a on zaproponował mi

pomoc, licząc po dolarze za godzinę. Pracował sumiennie, więc go zatrzymałem. Zawsze pracował sumiennie.

Między brwiami Sable'a wystąpiła zmarszczka bólu przypominająca cięcie noża. Domyśliłem się, że musiał lubić zamordowanego. Zawahałem się, nim zadałem następne pytanie:

- Nie wiesz przypadkiem, czy Culligan nie był kiedyś karany? Zmarszczka na czole się pogłębiła.

- Na miłość boską, nie. Powierzyłem mu swój jacht i dom. Czemu mnie o to pytasz?

- Z dwóch powodów. Bo miał na ręce tatuaż, cztery czarne kropki na skraju błękitnego tatuażu, a tego rodzaju znaczki mają gangsterzy i narkomani. I dlatego, że jego śmierć nosi znamiona gangsterskich porachunków. Jego mordercą jest prawie na pewno człowiek, który zabrał mi samochód, a człowiek ten wyglądał na zawodowca.

Sable wpatrywał się w wypolerowane kamienne płytki mozaikowej podłogi, jakby miała się pod nim zapaść.

- Sądziś, że Peter Culligan miał powiązania ze światem przestępczym?

- Powiązanie to zbyt łagodne określenie. On nie żyje.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł dosyć ostro.

- Czy nie wydawał ci się ostatnio podenerwowany? Jakby się czegoś bał?

- Nie zauważyłem tego. Nigdy o sobie nie mówił.

- Miewał jakichś gości, oprócz tego ostatniego?

- Nie, nigdy. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Był samotnikiem.

- Czy mógł użyć twego domu i pracy u ciebie jako czegoś w rodzaju kamuflażu?

- Nie wiem. Trudno powiedzieć.

Przed domem zawarczał silnik. Sable wstał, podszedł do szklanej ściany i rozsunał zasłony. Spojrzałem znad jego ramienia. Sprzed domu odjechała czarna furgonetka i skierowała się w dół.

- Na dobrą sprawę - rzekł Sable - rzeczywiście krył się przed ludzkim wzrokiem. Nie chciał mi szoferować, mówił, że nie ma

szczęścia do samochodów. Ale mógł chcieć po prostu uniknąć pokazywania się w mieście. Nigdy nie jeździł do miasta.

- Teraz tam jedzie - powiedziałem. - Ile osób wiedziało, że tu był?

- Tylko moja żona i ja. I oczywiście ty. Nikt inny nie przychodzi mi w tej chwili na myśl.

- Miewaliście jakichś gości spoza miasta?

- W ciągu ostatnich miesięcy nie. Odkąd z samopoczuciem Alice zaczęło różnie bywać. To właśnie jeden z powodów, dla których go tu wziąłem. Straciliśmy gospodynię i nie chciałem, żeby Alice była sama cały dzień.

- Jak się teraz pani Sable czuje?

- Boję się, że nieszczególnie.

- Czy ona widziała to zdarzenie?

- Nie sądzę. Ale słyszała odgłosy walki i widziała odjeżdżający samochód. Właśnie wtedy do mnie zadzwoniła. Siedziała na progu na wpół omdlała, kiedy przyjechałem. Nie wiem, jaki to będzie miało wpływ na jej stan emocjonalny.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać?

- Proszę cię, nie teraz. Rozmawiałem z doktorem Howellem. Kazał jej dać środek uspokajający. Szeryf zgodził się, że nie będzie na razie składała zeznań. Człowiek ma pewne granice wytrzymałości.

Sable mógł równie dobrze odnieść te słowa do siebie. Ramiona miał obwisłe, kiedy odwrócił się od okna. W ostrym blasku słońca jego twarz była ziemistoszara i nabrzmiała niby gotowany ryż. W przypadkach morderstwa jest zwykle więcej ofiar niż jedna.

Sable musiał wyczytać tę myśl z mojej twarzy.

- Ten wypadek wstrząsnął i mną. Nie może w żaden sposób mieć z nami nic wspólnego. A jednak wstrząsnął nami, i to głęboko. Peter był naszym domownikiem. Był nam bardzo oddany i zakończył życie przed naszym progiem. Dlatego tak jest.

- Co?

- Timor mortis - odparł. - Lęk śmierci.

- Mówisz, że Culligan był waszym domownikiem. Znaczący, że u

was sypiał?

- Tak, oczywiście.

- Chciałbym obejrzeć jego pokój.

Poprowadził mnie przez wewnętrzny dziedziniec i pokój gospodarski do sypialni na tyłach domu. Stało w niej łóżko, komoda, krzesło i lampa.

- Pójdę zobaczyć, co z Alice — rzekł Sable i wyszedł.

Przejrzałem skąpy majątek Petera Culligana.

W ściennej szafie znalazłem parę Levisów, kilka koszul roboczych, buty i liche granatowy garnitur kupiony w jednym ze sklepów w San Francisco. W górnej kieszonce marynarki znalazłem odcinek kuponu totalizatora. Na komodzie leżał brudny grzebień i maszynka do golenia. Szuflady były prawie puste: parę białych koszul, poplamiony krawat, koszulka gimnastyczna i spodenki w kwiaty, skarpety, chusteczki do nosa i tekturowe pudełko zawierające setkę naboji do automatycznego pistoletu kaliber 9,5 mm. Niecałą setkę, pudełko nie było pełne. Pistoletu nie znalazłem.

Pod łóżkiem leżała walizka Culligana. Był to stary rozepchany, spięty paskami rupieć z płótna, który wyglądał, jakby go kopano na wszystkich stacjach autobusowych od Seattle po San Diego. Rozpiąłem paski. Zamek był popsuty i wieko odskoczyło. Ze środka powiało tytoniem, morską wodą, potem i subtelniejszym i bardziej nieokreślonym zapachem męskiej samotności.

Walizka zawierała szarą koszulę flanelową, granatowy szorstki golf i inne cięższe okrycia robocze. Do korkowej rękojeści rybackiego noża o szerokiej kłindze wciąż przyklejone były rybie łuski, niby spłowiałe cekiny. Zmięty zielonkawy smoking przypominał jakieś lepsze czasy.

Legitymacja związkowa, wydana w San Francisco w 1941 roku, świadczyła, że Culligan był opłacającym składki czynnym członkiem nie istniejącego już Związku Kucharzy Okrętowych. W walizce był też list zaadresowany do Pana Petera Culligana, Poste Restante, Reno, Nevada. Culligan nie całe życie był samotnikiem. List napisano na różowawym papierze niewyrobionym pismem. Brzmiał on:

*Kochany Pete!*

*Słowo „kochany” jest właściwie nie na miejscu po tym wszystkim, co przez Ciebie wycierpiałam, ale to już przeszłość i niech pozostanie przeszłością. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę. Ale żeby Ci w tym pomóc, powiem jasno: nigdy w całym Twoim życiu nic nie docierało do Twojej świadomości, póki to życie nie dało Ci w kość. A więc nie, nie kocham Cię już. Patrząc na to wszystko wstecz, nie wiem, jak mogłam Cię w ogóle kochać, pewnie byłam zaślepiona. Gdy myślę o wszystkim, co przez Ciebie przecierpiałam, o pracach, które traciłeś, bójkach, picciu i w ogóle. Na pewno mnie nie kochałeś, więc nie próbuj mnie bujać. Nie, nie, co się stało, już się nie odstanie. Mam sobie jedno do wyrzucenia: że trwałam przy Tobie. Miałam wiele powodów, żeby od Ciebie odejść. Co z Ciebie był za człowiek. Że też masz jeszcze odwagę do mnie pisać. Nie wiem, skąd zdobyłeś mój adres. Pewnie od kogoś ze swoich sprzedajnych przyjaciół, ale ja się ich nie boję.*

*Jestem szczęśliwą żoną cudownego człowieka. On wie, że byłam przedtem zamężna. Ale nie wie o nas. Jeżeli masz w sobie chociaż krztynę przyzwoitości, trzymaj się z dala ode mnie i nie pisz żadnych listów. Ostrzegam Cię, nie rób mi poruty. Bo i ja Tobie mogłabym zrobić porutę, dwa razy większą. Wspomnij L.Bay.*

*Z życzeniami wszelkich sukcesów w Twoim nowym życiu (mam nadzieję, że naprawdę zarabiasz tak wiele, jak twierdzisz)*

*Marian.*

*Pani Ronaldowa S. Mathesonowa (zapamiętaj to sobie). Ja miałabym do Ciebie wrócić? Wybij to sobie z głowy. Ronald jest bardzo ważnym dyrektorem. Nie wykluczałabym Ci tym oczu, gdyby nie ten wycisk, jaki przez Ciebie dostałam, wiesz to dobrze. Nie mam o to żalu, ale zostaw mnie, proszę, w spokoju.*

Na kopercie nie było adresu zwrotnego, ale był stempel pocztowy San Mateo, Kalifornia. Daty nie mogłem odcyfrować.

Włożyłem wszystko z powrotem, zamknąłem walizką i wsunąłem nogą pod łóżko.

Wyszedłem na dziedziniec. Z pokoju po drugiej stronie dochodziły jakieś jęki ni to kobiety, ni zwierzęcia. Sable musiał mnie wypatrywać. Jęki zabrzmiały głośniejsze, kiedy rozsunął szklane drzwi, i ucichły, kiedy je za sobą zamknął. Wyszedł mi na spotkanie z twarzą lekko zielonkawą w odbitym od listowia blasku.

- Znalazłeś coś szczególnego?

- Miał w szufladzie pudełko naboju do pistoletu. Ale pistoletu nie znalazłem.

- Nie wiedziałem, że Peter miał broń.

- Może miał i sprzedał. A może morderca mu ją zabrał.

- A co poza tym?

- Znalazłem nić wiodącą do jego eks-małżonki, jeżeli chcesz, bym zbadał jego środowisko.

- Może zostawmy to policji? Trask zna się na rzeczy, a do tego jest moim starym przyjacielem. Nie miałbym sumienia odciągać cię od sprawy Galtona.

- Sprawa Galtona nie wydaje się tak bardzo pilna.

- Może nie. Mimo wszystko sądzę, że na razie powinieneś się jej trzymać. Czy Cassie Hildreth okazała się pomocna?

- Trochę. Nie widzę tu dla siebie nic więcej do roboty. Miałem jechać samochodem do San Francisco.

- Polec samolotem. Wypisałem ci czek na dwieście dolarów i dam sto gotówką. - Podał mi czek i pieniądze. - Jeżeli będziesz potrzebował więcej, bez wahania daj mi znać.

- Dobrze, ale obawiam się, że to stracone pieniądze.

Sable wzruszył ramionami. Miał gorsze problemy. Jęki za szklanymi drzwiami stały się głośniejsze i chwilami tak przenikliwe, że aż uszy pękały.

## Rozdział 7

Nie cierpię zbiegów okoliczności. W samolocie straciłem całą godzinę na bezowocnych usiłowaniach znalezienia możliwych związków pomiędzy utratą syna przez Marię Galton a utratą życia przez Petera Culligana. Kiedy zrezygnowałem z owych usiłowań i zająłem się czym innym, nagle spadło na mnie olśnienie.

Przerzucałem poplamione karty pisemka pt. „Dłuto”, które mi dała Cassie Hildreth. Na stronie tytułowej widniało nazwisko redaktora i wydawcy: Chad Bolling. Wewnątrz numeru był również podpisany tym samym nazwiskiem wiersz: „Elegia na śmierć Bixa Beiderbecke a”. Głosiła ona, że ów niepokieszony kornecista byłby nawet zdolny wydostać z zadymionych suterren Starego Plutona Eurydykę. Wiersz ten podobał mi się bardziej od poematu o Limie.

Przeczytałem jeszcze raz wiersz Antoniego Galtona, zastanawiając się, czy Luna była jego żoną. I wtedy nastąpiło owo olśnienie. Na południe od San Francisco jest na wybrzeżu miasto, które się nazywa Luna Bay. Z miejsca, gdzie siedziałem - kilka tysięcy stóp nad półwyspem - mógłbym dosłownie splunąć na to miasto. A eks-żona Petera Culligana wspomniała w liście o „L.Bay”.

Kiedy samolot wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym, udałem się wprost do kabiny telefonicznej. Ta kobieta podpisała się jako pani Ronaldowa S. Mathesonowa, a koperta została ostemplowana w San Mateo.

Nie spodziewałem się, że tak przypadkowy strzał okaże się celny, zwłaszcza po nieokreślonym upływie czasu. Ale znalazłem w książce telefonicznej to nazwisko: Ronald S. Matheson, Sherwood Drive 780, Redwood City. Wykreśliłem podany numer.

Nie mogłem poznać, czy to chłopiec, czy dziewczynka odebrała telefon. W każdym razie dziecko, przed okresem dojrzwania.

- Halo?

- Czy zastałem panią Matheson?

- Chwileczkę. Mamo, telefon.

Głos dziecka odpłynął, a jego miejsce zajął kobiecy. Był gładki, opanowany i ostrożny.

- Tu Marian Matheson. Kto mówi?

- Nazywam się Archer. Pani mnie nie zna.

- Słusznie, nie znam.

- A zna pani człowieka nazwiskiem Culligan?

Nastąpiła długa przerwa.

- Jak, jak? Nie usłyszałam nazwiska.

- Culligan - powtórzyłem. - Peter Culligan.

- A o co chodzi?

- Czy pani go znała?

- Może znałam kiedyś, dawno temu. Bo co? A może nie znałam.

- Nie bawmy się w ciuciubabkę, proszę pani. Mam pewną informację, jeśli to panią interesuje.

- Nie interesuje mnie. Jeżeli pan występuje w jego imieniu. - Jej głos stał się głębszy i bardziej szorstki. - Dla mnie może nie istnieć, byleby tylko zostawił mnie w spokoju. Niech mu pan to ode mnie powie.

- Nie mogę, niestety.

- Czemu?

- Bo on nie żyje.

- Nie żyje? - Jej głos zabrzmiał ołowianym echem.

- Prowadzę śledztwo w sprawie jego morderstwa. - Jakoś nagle przyszło mi to do głowy. - Chciałbym w związku z tym porozmawiać z panią.

- Nie wiem po co. Nie miałam z tym nic wspólnego. Nawet nie wiedziałam o nim.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego między innymi zadzwoniłem.

- Kto go zabił?

- Powiem, jak się zobaczymy.

- Kto mówi, że się zobaczymy?

Czekałem.

- Gdzie pan jest?

- Na lotnisku w San Francisco.



- Skoro koniecznie trzeba, mogę ostatecznie tam przyjechać. Nie chcę, żeby pan przychodził tu, do domu. Mój mąż...

- Rozumiem. Będzie uprzejmie z pani strony, jeśli pani tu przyjedzie. Czekam w barze kawowym.

- Jest pan w mundurze?

- Chwilowo nie. - To znaczy przez ostatnie dziesięć lat, ale niech sobie lepiej myśli, że ma do czynienia z gliną. - Jestem w szarym garniturze. Na pewno mnie pani pozna. Usiądę przy oknie, tuż koło wejścia.

- Będę za piętnaście minut. Powiedział pan: Archer?

- Tak. Archer.

Była za dwadzieścia pięć. Spędziłem ten czas patrząc na wielkie samoloty, które wlokły swoje popołudniowe cienie wzdłuż pasów startowych.

Do baru weszła kobieta w ciemnym palcie, zatrzymała się na chwilę w drzwiach i rozejrzała po rozległym pomieszczeniu. Jej wzrok spoczął na mnie. Podeszła do mego stolika ściskając w rękach lśniąca skórzaną torebkę, jakby to było coś nobilitującego. Wstałem na jej powitanie.

- Pani Matheson?

Skinęła głową i spiesznie usiadła, jakby nie chciała się rzucić w oczy. Była zwyczajną, przyzwoicie ubraną kobietą, już po czterdziestce. Starannie uczesane czarne włosy miała przyprószone siwizną, niby okruchami stali.

Była kobietą masywnej budowy, z pewnością kiedyś przystojną, a i teraz w korzystnym oświetleniu mogła się podobać. Największym jej atutem były czarne oczy, stężałe teraz od napięcia.

- Nie chciałam przyjść, a oto jestem.

- Napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję. Niech mi pan przekaże tę hiobową wieść. Proszę nie owijać w bawełnę.

Tak też uczyniłem, nie pomijając żadnych istotnych szczegółów. Zaczęła obracać obrączkę na palcu, raz za razem.

- Biedaczysko - powiedziała, gdy skończyłem. - Nie wie pan, dlaczego to zrobili?

- Właśnie chciałem się tego dowiedzieć od pani.

- Mówi pan, że pan nie jest policjantem?

- Nie, jestem prywatnym detektywem.

- Nie rozumiem, czemu pan przyszedł do mnie. Nie byliśmy małżeństwem od piętnastu lat. A od dziesięciu nawet go nie widziałam. Chciał do mnie wrócić. Domyślałam się, że wreszcie znużyło go to obijanie się po świecie. Ale ja nie miałam na to najmniejszej ochoty. Jestem szczęśliwą żoną przyzwoitego człowieka...

- Kiedy miała pani ostatni raz wiadomość od Culligana?

- Mniej więcej rok temu. Napisał do mnie z Reno, twierdził, że się wzbogacił, że będzie mógł mi dać wszystko, czego zapragnę, jeśli wrócę. Pete był zawsze marzycielem. Początkowo, kiedyśmy się pobrali, wierzyłam w te jego marzenia. Ale wszystkie po kolei się rozwiały. Tak dawno go rozszyfrowałam, że to już nawet przestało być śmieszne. Sam pan widzi, że się nie śmieję.

- A jakie były te jego marzenia?

- Wielkie, wspaniałe, z rodzaju nigdy nie spełnianych. Że kiedyś założy sieć restauracji, gdzie będą dania kuchni wszystkich narodów. Zatrudni najlepszych kucharzy w kraju, Francuzów, Chińczyków, Ormian i tak dalej. A właśnie wtedy sam pracował w garkuchni przy ulicy Market. Potem był okres, kiedy opracowywał nowy system grania w totka. Wziął z domu wszystko co do grosza, żeby ten system wypróbować. Zastawił nawet moje meble. Pracowałam całą zimę, żeby je wykupić. - Jej słowa czerpały siłę napędową z zastarzałego gniewu, który znalazł ujście. - Oto jaki był jego ideał miodowego miesiąca: ja w pracy, a on na wycieczkach.

- Jak w ogóle doszło do tego, że pani się z nim związała?

- Można by powiedzieć, że też byłam marzycielką. Myślałam, że zdołam go uzdrowić, zrobić z niego mężczyznę. Że trzeba mu tylko miłości porządnej kobiety. Nie byłam porządną kobietą, wcale tego nie udaję. Ale byłam porządniejsza od niego.

- Gdzie się spotkaliście?

- W San Francisco, w szpitalu, w którym pracowałam. Byłam tam młodszą pielęgniarką, a Pete leżał ze złamanym nosem i kilkoma żebrami. Został pobity przez jakiś gang.

- Jaki gang?

- To wszystko, co wiem. Pete powiedział mi tylko, że dostał w jakiejś bójce w dokach. Powinno być dostrzec w tym ostrzeżenie, ale po jego wyjściu ze szpitala nadal się z nim widywałam. Był młody, przystojny i jak już powiedziałam, miał w sobie zadatki na prawdziwego mężczyznę. Wysłałam więc za niego, i to był mój największy błąd, a miałam na sumieniu nie lada wyskoki.

- Dawno to było?

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. Teraz pan wie, w jakim jestem wieku. Ale miałam wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat. - Umilkła i spojrzała mi w twarz. - Nie wiem, czemu to wszystko panu mówię. Nigdy dotychczas nikomu nie mówiłam. Dlaczego mi pan nie przerwał?

- Bo luję się, że usłyszę coś, co mi pomoże. Czy pani mąż był hazardzistą?

- Proszę go tak nie nazywać. Owszem, byłam żoną Pete'a Culligana, ale on nie był dla mnie mężem. - Uniosła głowę. - Dopiero teraz mam prawdziwego męża. A skoro o tym mowa, muszę mu ugotować obiad. - Pochyliła się na krzesło, żeby wstać.

- Proszę mi poświęcić jeszcze kilka minut. Powiedziałem pani wszystko, co wiedziałem o Peterze...

Zaśmiała się krótko.

- Gdybym chciała powiedzieć wszystko, co ja o nim wiem, musiałabym mówić do rana. Dobrze, jeszcze kilka minut, jeśli mi pan obieca, że nie będzie żadnego rozgłosu. Oboje z mężem mamy jakąś pozycję. Ja należę do Ligi Wyborczyń i Komitetu Rodzicielskiego.

- Nie będzie żadnego rozgłosu. Czy był hazardzistą?

- O tyle, o ile go było na to stać. Ale zawsze bardzo lichym.

- A te pieniądze, których dorobił się w Reno... mówił, jak do nich doszedł?

- Ani słowa. Ale nie sądzę, żeby w drodze hazardu. Nigdy nie miał szczęścia.

- Czy ma pani jego list?

- O, nie. Spaliłam zaraz po przeczytaniu.

- Czemu?
  - Nie chciałam go trzymać. Był dla mnie jak brud przywleczony do domu.
  - Czy Culligan był kanciarzem, cwaniakiem?
  - Zależy, co kto przez to rozumie. - Jej oczy stały się czujne.
  - Łamał prawo?
  - Sądzę, że każdy to robi od czasu do czasu.
  - Czy siedział kiedyś w areszcie?
  - Tak. Głównie za pijaństwo i niesubordynację, nic poważnego.
  - Nosił przy sobie broń?
  - Nie wtedy, kiedy żyliśmy razem. Nie pozwoliłabym na to.
  - Ale chciał nosić?
  - Tego nie powiedziałam. - Zaczęła mówić wykrętnie. - Miałam na myśli, że nie pozwoliłabym mu na to, gdyby nawet chciał.
  - A miał broń?
  - Nic mi o tym nie wiadomo.
- Już mi się prawie zupełnie wymknęła. Już nie mówiła ani z ochotą, ani szczerze. Rzuciłem więc pytanie, na które nie oczekiwałem odpowiedzi, po to tylko, aby zaobserwować jej reakcję:
- W liście do Culligana wspomniała pani o „L.Bay”. Co się tam zdarzyło?
- Jej usta stęwały i zbielewały, jak wyrzeźbione z kości. Czarne oczy jakby cofnęły się w głąb.
- Nie wiem, czemu pan mnie o to pyta. - Przesunęła koniuszkiem języka po górnej wardze i spróbowała jeszcze raz:
  - Cóż ja tam napisałam? Nie pamiętam, abym coś takiego napisała.
  - Ale ja pamiętam, proszę pani... - i zacytowałem: - „Bo i ja tobie mogłabym zrobić porutę, dwa razy większą. Wspomnij L.Bay”.
  - Jeśli rzeczywiście napisałam coś takiego, nie pamiętam, co mogłam mieć na myśli.
  - Jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści mil stąd jest miejscowość, która się nazywa Luna Bay.

- Rzeczywiście? - zapytała głupio.

- Pani o tym wie. Co Pete Culligan tam zrobił?

- Nie pamiętam. Pewnie jakiś paskudny kawał. - Była lichym kłamcą, jak większość uczciwych ludzi. - Czy to ważne?

- Wydaje się ważne dla pani. Mieszkaliście z Culliganem w Luna Bay?

- Jeżeli to można nazwać mieszkaniem. Pracowałam tam jako pielęgniarka.

- Kiedy?

- Dawno temu. Nie pamiętam, w którym roku.

- U kogo?

- U jakichś ludzi. Nie pamiętam ich nazwiska. - Pochyliła się ku mnie natarczywie przesywając mnie spojrzeniem ostrym jak krzemień. - Ma pan ten list przy sobie?

- Nie, jest tam, gdzie go znalazłem, w walizce Culligana w domu jego pracodawcy. A o co chodzi?

- Chcę go mieć z powrotem. Ja go napisałam, więc jest mój.

- Chyba będzie pani musiała się z tym zwrócić do policji. Zapewne już jest w jej rękach.

- Czy policja przyjdzie do mnie? - Spojrzała za siebie i rozejrzała się po zatłoczonej restauracji, jakby się spodziewała zobaczyć zmierzającego prosto do niej policjanta.

- Wszystko zależy od tego, jak prędko znajdą mordercę. Być może już go mają, a jeśli tak, to nie będą chcieli zawracać sobie głowy drugorzędnymi powiązaniem zamordowanego. Czy nie przychodzi pani na myśl, kto może być mordercą?

- Skąd miałabym wiedzieć? Nie widziałam Culligana od dziesięciu lat, mówiłam panu.

- A co się stało w Luna Bay?

- Zmień pan płytę, dobrze? Jeżeli rzeczywiście coś się stało, a ja akurat tego nie pamiętam, rzecz mogła dotyczyć tylko mnie i Culligana. Nikogo więcej, rozumie pan?

Pod naciskiem zaczęła się zmieniać, zmienił się jej głos, wygląd. Zupełnie jakby spadła na niższy poziom reakcji emocjonalnych i stała się bardziej prostacka. Zdawała sobie z tego sprawę. Przysunęła do siebie torebkę, ściskając ją obiema rękami. Była to przyzwoita torebka, o pięknym kroju, z

prawdziwej jaszczurki. W przeciwieństwie do niej ręce pani Matheson były szorstkie, knykcie nabrzmiałe od wieloletniej pracy.

Uniosła wzrok na mnie. Dostrzegłem w jej oczach czerwony odbłask lęku. Bała się mnie i bała się ode mnie odejść.

- Proszę pani, Peter Culligan został dziś zamordowany...

- I pan chce, żebym nosiła po nim żałobę?

- Chcę, żeby mi pani podała wszelkie informacje, które by mogły rzucić światło na przyczyny tego faktu.

- Już to zrobiłam. Może mnie pan zostawić w spokoju czy nie? Nie dam się uwikłać w żadne morderstwo. Żadne.

- Słyszała pani kiedykolwiek o człowieku nazwiskiem Antoni Galton?

- Nie.

- A John Brown?

- Nie.

Widziałem na jej twarzy oznaki narastającego wysiłku woli. Wstała i odeszła ode mnie i od swojego strachu.

## Rozdział 8

Wróciłem do kabin telefonicznych i odszukałem w książce nazwisko Chada Bollinga. Nie spodziewałem się, że je znajdę po z górą dwudziestu latach, ale szczęście mnie nie opuszczało. Bolling mieszkał na Telegraph Hill. Zamknąłem się w jednej z kabin i zadzwoniłem do niego.

W słuchawce zabrzmiał damski głos:

- Mieszkanie państwa Bollingów.

- Czy mogę mówić z panem Bollingiem?

- W jakiej sprawie? - zapytała oschle.

- W sprawie publikacji wiersza w jednym z magazynów. Moje nazwisko Archer - dodałem, starając się mówić tonem prosperującego wydawcy.

- Rozumiem - rzekła łagodniej. - Nie mam pojęcia, gdzie Chad może być w tej chwili. Obawiam się też, że nie wróci do domu na kolację. Ale wiem, że będzie późnym wieczorem w

„Czujnym Uchu”.

- W „Czujnym Uchu”?

- To taki nowy nocny lokal. Chad ma tam dzisiaj recytować swoje wiersze. Jeżeli interesuje pana poezja, musi pan zadać sobie nieco trudu.

- O której zaczyna?

- Chyba o dziesiątej.

Wynająłem samochód i pojechałem autostradą Bayshore do miasta, gdzie zaparkowałem koło Union Square. Nad oświetlonymi wysokościami hoteli zmierzch już zgęstniał. Wilgotny chłód podniósł się z morza; czułem ten chłód przez ubranie. Nawet barwne światła wokół placu zdawały się zimne.

Kupiłem butelkę whisky, żeby odegnać ziąb, i wynająłem pokój w „Salisbury”, małym hoteliku przy bocznej uliczce, gdzie zwykle się zatrzymywałem w San Francisco. Recepcjonista był nowy. Recepcjoniści zawsze albo się pną w górę, albo spadają coraz niżej. Ten był w starszym wieku i najwyraźniej staczał się w dół. Jego poźółkła twarz poddała się sile ciężenia. Wręczył mi klucz niechętnie.

- Nie ma pan bagażu?

Pokazałem mu butelkę w papierowej torbie. Nie uśmiechnął się.

- Ukradli mi samochód.

- To niedobrze. - Oczy zza małego pince-nez patrzyły ostro, niedowierzająco. - Będę chyba musiał prosić o zapłacenie z góry.

- Zgoda. - Dałem mu pięć dolarów i zażądałem pokwitowania.

Hotelowy, który mnie wiozł starą okratowaną windą, woził mnie od blisko dwudziestu lat. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Miał rękę powykrzywianą przez artretyzm.

- Jak zdrowie, Coney?

- Świetnie, panie Archer, świetnie. Biorę nowe pigułki, phenylbuta-coś-tam. To cudowny środek.

Wyszedł z windy i zrobił kilka tanecznych kroków, żeby to udowodnić. Występował kiedyś z bratem w nocnych lokalach. Przeprowadził mnie tanecznym krokiem przez cały korytarz do

drzwi mojego pokoju.

- Co pana sprowadza do miasta? - spytał, kiedy weszliśmy do środka. Dla mieszkańców San Francisco istnieje tylko jedno miasto.

- Przyleciałem, żeby się trochę rozerwać.

- Myślałem, że największym na świecie ośrodkiem rozrywki jest właśnie Hollywood.

- Ja szukam czegoś innego - odparłem. - Słyszałeś coś o nowo otwartym klubie „Czujne Ucho”?

- Tak, ale on się panu nie spodoba. - Pokręcił siwą głową. - Mam nadzieję, że nie po to przejechał pan taki kawał drogi.

- Co masz mu do zarzucenia?

- To taka dziura z kulturalnymi zadęciami. Gdzie różni faceci czytają swoje wiersze przy muzyce. To nie w pana guście.

- Moje gusty awansowały.

Pokazał w uśmiechu resztkę zębów,

- Niech pan nie kpi ze starego.

- Słyszałeś kiedyś o Chadzie Bollingu?

- A jakże. Ten to dopiero limie sobie robić reklamę. - Spojrzał na mnie z niepokojem. - Pan naprawdę zaczyna się rozsmakowywać w poezji, panie Archer? Z muzyką?

- Już od dawna tęsknię za wzniosłymi rozkoszami.

Jak dostępna dla mojej kieszeni kolacja w dobrej francuskiej knajpie. Pojechałem taksówką do restauracji Ritza „Pudel” i zjadłem dobrą francuską kolację. Kiedy skończyłem, była już prawie dziesiąta.

„Czujne Ucho” wypełniały granatowe światła i bla- do niebieska muzyka. Mała orkiestra jazzowa składająca się z pianina, kontrabas, trąbki i bębneków grała coś awangardowego. Nie miałem przy sobie suwaka logarytmicznego, aby móc się w tej muzyce połapać, ale czterej muzycy jakby się wzajemnie rozumieli. Od czasu do czasu uśmiechali się i kiwali głowami, jak kosmonauci, przemierzający przestrzeń międzygwiazdną.

Mężczyzna przy pianinie sprawiał wrażenie głównego inżyniera. Uśmiechał się z większą od innych rezerwą, a gdy zespół kończył mordować kolejną melodię, przyjmował aplauz



z doskonalszym od innych roztargnieniem. Następnie schylał się ponownie nad klawiaturą z zapalonym uczonego szaleńca.

Szczupła w biodrach kelnerka, która przyniosła mi whisky z wodą, była identyczna jak kelnerki we wszystkich innych nocnych lokalach. Ale publiczność była inna. Większość gości stanowili ludzie młodzi z poważnym wyrazem twarzy. Znaczna liczba dziewczyn miała krótkie, proste włosy, które od czasu do czasu przeczesywały rozcapierzonymi palcami. Wielu chłopców miało włosy dłuższe od dziewcząt, ale ich nie przeczesywali tak często. Głaskali natomiast swoje brody.

Kiedy zespół skończył morderczą następną melodię, zapłonęły światła. Spomiędzy błękitnych kotar w końcu sali wynurzył się ciemno ubrany facet w średnim wieku i skromnej postury. Pianista wyciągnął rękę i pomógł mu wspiąć się na podium. Publiczność zaczęła klaskać. Słabeusz opuścił w ukłonie brodę na wielką czarną muszkę, która wykwiłała mu na gorsie. Oklaski wzrosły crescendo.

- Daję wam pana Chada Bollinga - rzekł pianista. - Mistrza wszechsztuk, pieśniarza pieśni do śpiewania, malarza obrazów, znawcę jazzu, literata. Pan Chad Bolling.

Oklaski nie ustawały. Poeta uniósł dłoń jak do błogosławieństwa i zapanowała cisza.

- Dziękuję wam, kochani - rzekł. - Z pomocą mego utalentowanego młodego przyjaciela, Fingersa Donahue, pragnę wam dziś przedstawić, o ile gardło mi na to pozwoli, mój najnowszy wiersz. - Skrzywił usta, jakby drwiąc z samego siebie. - To nie siekana wątróbka.

Umilkł. Za jego plecami zaszemrała muzyka. Bolling wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zwitek rękopisu i rozłożył go w świetle lamp.

- „Śmierć jest tabu” - powiedział i zaczął recytować ochryplym a donośnym głosem jarmarcznego mówcy. Mówił, że siedział nad ranem w pijackim zaułku, gdzie aniołowie piją z puszek konserwowy żar, i usłyszał stuk. U wylotu zaułka ukazała się dziewczyna i spytała go, co robi w tej dolinie śmierci. - „Śmierć jest szczytową protezą”, powiedziała. Poprosiła go, żeby poszedł z nią do domu spać.

Odpowiedział, że to seks jest szczytową protezą, ale ( okazało się, że się myli. Zdawało mu się, że usłyszał gong. Dziewczyna rozplynęła się w powietrzu jak dach i został sam zagubiony u kresu nocy.

Podczas gdy perkusista i kontrabasista ślali pod strop burzliwe fale dźwięków, Bolling uniósł głos i jał wykrzykiwać dalej. O tym, jak szedł za mą tu i tam i krążył w koło, po Russian Hill, Nob Hill, i Telegraph Hill, za Bay Bridge i oaklandzkim promem z powrotem. W końcu na ulicy Market znalazł sfinksa sprzedającego drinki i upili się, i tańczyli na złotym asfalcie rozkoszy.

Padła wreszcie na łóżko. „Jestem przeszyta gwiazdami” - oświadczyła. Spijał z jej ust konserwowe piekło i trwało to dłuższą chwilę, a orkiestra tymczasem wydobywała z instrumentów jęki i chichoty. Wreszcie udało się dziewczynie go przekonać, że śmierć jest krańcową protezą, cokolwiek by to miało znaczyć. Ona wiedziała, bo tak się akurat zdarzyło, że była martwa. „Dobranoc panu” - powiedziała albo on powiedział, że powiedziała. „Dobranoc, siostró” - odparł.

Publiczność odczekała chwilę, aby się upewnić, że Bolling już skończył, po czym wzniosła burzę oklasków naszpikowaną okrzykami „brawo” i „olé!”. Bolling stał z zaciśniętymi ustami i wchłaniał tę owację jak mały chłopczyk wciągający wodę sodową przez słomkę. Podczas gdy dolna część jego twarzy zdawała się wyrażać zadowolenie, oczy miały zagadkowy wyraz. Rozciągnął usta w błazeńskim uśmiechu.

- Dzięki wam. Rad jestem, że mnie przyswajacie. A teraz spróbujcie przyswoić to.

Zaczął czytać wiersz o siedmiu ślepych kręćkach duszy, a potem drugi o bezbrodych cudach oddziałów psychiatrycznych, które miały zostać guru nowej prawdy. W tym momencie wyłączyłem się i czekałem nie słuchając, aż się wszystko skończy. Długo musiałem czekać. Po recytacji były jeszcze książki do podpisania, pytania i drinki.

Była prawie północ, gdy Bolling opuścił stolik otoczony wielbicielami i skierował się do drzwi. Wstałem, żeby wyjść za nim. Przede mną wcisnęła się ogromna dziewczyna ze

zglodniałą twarzą. Przywarła do ramienia Bollinga i jęła mu szeptać coś do ucha, pochyłona, ponieważ była wyższa od poety.

Bolling pokręcił głową.

- Przepraszam, dziecino, ale jestem żonaty. A poza tym mógłbym być twoim ojcem.

- Czymże są lata? - odparła. - Mądrość kobieca jest ponad wiekowa.

- Więc daj temu dowód, złotko.

Strząsnął jej rękę z ramienia. Ściskając tragicznym gestem przód obwisłego czarnego swetra dziewczyna zapytała:

- Bo jestem brzydka, tak?

- Jesteś śliczna, złotko. Przydałabyś się marynarce greckiej do wodowania statków.

Wyciągnął rękę, pogłaskał dziewczynę po głowie i odszedł. Dogoniłem go, gdy przywoływał taksówkę.

- Czy może mi pan poświęcić chwilę czasu?

- To zależy, czego pan ode mnie chce.

- Chcę pana zaprosić na drinka i zadać kilka pytań.

- Wypiłem już drinka. Nawet kilka. Późno już. Jestem skromny. Niech pan lepiej do mnie napisze.

- Nie umiem pisać.

Rozpogodził się nieco.

- A więc nie jest pan zapoznanym geniuszem literackim? Myślałem, że tylko z takimi mam do czynienia.

- Jestem detektywem. Szukam pewnego człowieka. Pan mógł go kiedyś znać.

Taksówka zawróciła i zatrzymała się przy krawężniku. Bolling dał znak kierowcy, żeby zaczekał.

- Jak się nazywa?

- John Brown.

- O tak, znam go bardzo dobrze z Harper's Ferry<sup>1</sup>. Jestem

---

<sup>1</sup> John Brown (1800-1859) - radykalny abolicjonista amerykański, wtargnął 16.X.1859 roku na czele 21 zwolenników do Harper's Ferry w stanie Wirginia i zajął arsenał, co miało być sygnałem do powszechnego powstania murzyńskich niewolników. Został ujęty, skazany na śmierć i powieszony (Przyp. tłum.).

starszy, niż wyglądał - błaznował machinalnie taksując mnie wzrokiem..

- W 1936 zamieścił pan w swoim „Dłucie” jego wiersz.

- Niech pan o tym nawet nie wspomina. Co za parszywa nazwa dla pisma. Nie dziw, że splajtowało.

- Wiersz był zatytułowany „Lima”.

- Obawiam się, że go nie pamiętam. Wiele słów od tego czasu upłynęło. Ale rzeczywiście znałem Johna Browna gdzieś w latach trzydziestych. Co się z nim stało?

- Tego właśnie staram się dowiedzieć.

- Więc dobrze, niech mi pan postawi drinka. Ale nie w „Uchu”, zgoda? Mam już dość tych brodaczy i golonych łbów.

Odprawił taksówkę. Przeszliśmy jakieś dwadzieścia metrów do następnego baru. Siedzące na pierwszych z brzoza stołkach dwie nie pierwszej młodości panienki zatrzepotały na nasz widok rżęsami. Prócz ogarniętego śpiączką barmana nikogo więcej w lokalu nie było. Ocknął się na chwilę, aby nam nalać po drinku.

Usiedliśmy w jednej z łóż i pokazałem Bollingowi fotografie Toniego Galtona.

- Poznaje go pan?

- Chyba tak. Korespondowaliśmy ze sobą przez jakiś czas, ale spotkaliśmy się zaledwie parę razy. Dwa. Raz nas odwiedził, kiedy mieszkaliśmy w Sausalito. A potem, jadąc którejs niedzieli wzdłuż wybrzeża, złożyłem mu rewizytę w Luna Bay.

- Mieszkał z żoną w Luna Bay?

- O kilka mil od Lima Bay w naszą stronę. W takim starym domu nad oceanem. Miałem piekielne kłopoty z odnalezieniem go, choć dał mi wskazówki, jak mam jechać. Pamiętam teraz, że prosił, żeby nikomu nie mówić, gdzie mieszka. Byłem jedynym człowiekiem, który wiedział. Nie wiem, czemu zawdzięczałem to wyróżnienie, wiem tylko, że bardzo chciał, abym do niego przyjechał, zobaczył jego syna. Może sam miał coś w rodzaju synowskich uczuć w stosunku do mnie, chociaż nie byłem wiele starszy od niego.

- Miał syna?

- Tak, mieli dziecko. Niemowlaka, niewiele większego od

mojego palca. Mały John był oczkiem w głowie ojca. To była wzruszająca rodzinka.

Głos Bollinga brzmiał łagodnie. Z dala od tłumu i muzyki wydawał się kimś zupełnie innym. Jak wszyscy aktorzy, miał dwie twarze, publiczną i prywatną. Obie były sztuczne, ale ta prywatna bardziej do niego pasowała.

- Poznał pan jego żonę?

- Oczywiście. Siedziała na werandzie, kiedy przyjechałem, i karmiła dziecko. Miała piękne białe piersi i wcale się nie wstydziła ich obnażać. Był to śliczny obrazek - nad tym urwiskiem na brzegu oceanu. Próbowałem napisać o niej wiersz, ale mi nie wyszedł. Nie udało mi się poznać jej bliżej.

- Jaka ona była?

- Bardzo pociągająca w sensie wizualnym. Niewiele miała do powiedzenia. Prawdę mówiąc, straszliwie kaleczyła angielszczyznę. Przypuszczam, że fascynowała Browna ignorancją. Widywałem wielu młodych pisarzy i artystów, którzy kochali podobne dziewczęta.

Też miałem taką miłość na sumieniu w okresie przed-freudowskim. - A potem dodał z kwaśną miną: - To znaczy przed poddaniem się psychoanalizie.

- Pamięta pan jej imię?

- Imię pani Brown? - Pokręcił głową. - Przykro mi. W tym moim wierszu nazwałem ją Stella Maris, gwiazdą morza. Ale to się przecież ha nic panu nie przyda.

- Proszę mi powiedzieć, kiedy pan tam był. To musiało być gdzieś pod koniec 1936 roku.

- Tak. Około Bożego Narodzenia, tuż przed Bożym Narodzeniem... przywiozłem dziecku jakąś grzechotkę. Młody Brown był z niej bardzo zadowolony. - Bolling ścisnął ręką podbródek wyciągając twarz. - Dziwne, ale od tego czasu nie miałem od nich żadnych wieści.

- A czy pan próbował się z nim później skontaktować?

- Nie. Nie próbowałem. Mógł odnieść wrażenie, że go odsunąłem od siebie. Może i zrobiłem to niechcący. Pełno było wówczas młodych pisarzy i nie mogłem utrzymywać kontaktu ze wszystkimi. Miałem wtedy na warsztacie ważne prace i

mnóstwo tych młodych do mnie przychodziło. Szczerze mówiąc, od tamtego dnia do dziś nawet nie pomyślałem o Brownie. Czy on nadal mieszka na wybrzeżu?

- Nie wiem. A co robił w Luna Bay, czy mówił panu?

- Próbował pisać powieść. Nie miał chyba żadnej pracy i nie wyobrażam sobie, jak utrzymywał rodzinę. Ale musieli mieć jakieś środki. Mieli pielęgniarkę, która doglądała matki i dziecka.

- Pielęgniarkę?

- No, nie była to chyba dyplomowana pielęgniarka. Raczej jedna z tych młodych kobiet, które potrafią ująć sprawy w swoje ręce - dodał niejasno.

- Czy może pan powiedzieć o niej coś więcej?

- Miała szczególne oczy. Bystre, czarne oczy, które nieustannie mnie obserwowały. Przypuszczam, że nie pochwały literackiego stylu życia.

- Rozmawiał pan z nią?

- Prawdopodobnie. Zrobiła na mnie wrażenie jedynej rozsądnej istoty w tym domu. Brown i jego żona żyli jakby w chmurach.

- To znaczy?

- W oderwaniu od rzeczywistości. Ja tego wcale nie krytykuję. Bóg wie, że sam żyłem dosyć długo w oderwaniu od rzeczywistości. I wciąż żyję. - Obdarzył mnie swoim błazeńskim uśmiechem. — Nie można stworzyć Hamleta bez poskromienia własnego „ja”. Ale nie mówmy o mnie.

- Wracając do pielęgniarki, czy potrafiłby pan przypomnieć sobie jej nazwisko?

- Z całą pewnością nie.

- A gdybym ja panu powiedział?

- Wątpię. Ale spróbujmy.

- Marian Culligan - powiedziałem. - Culligan.

- Nic mi to nie mówi. Bardzo mi przykro.

Bolling dopił drinka i rozejrzał się po barze jakby w oczekiwaniu na jakieś zdarzenie. Domyślałem się, że większość rzeczy, jakie się mogą mężczyźnie zdarzyć, już mu się zdarzyła. Zmieniał wyraz twarzy jak gumowe maski, ale pomiędzy jedną

a drugą maską dostrzegłem trwogę.

- Można by wypić jeszcze po jednym - rzekł. - Tym razem ja stawiam. Jestem nadziany. Przed chwilą zarobiłem w „Uchu” sto dolców. - Nawet ta interesowność brzmiała fałszywie.

Kiedy starałem się pobudzić do życia barmana, Bolling przyglądał się fotografiom.

- Tak, to nikt inny, tylko John. Miły chłopak i być może utalentowany, ale nie z tego świata. Zupełnie nie z tego świata. Skąd brał pieniądze na konie i tenisa?

- Od rodziny. To bardzo nadziani ludzie.

- Boże, czyżby zaginiony spadkobierca? Czy dlatego pan go szuka?

- Właśnie.

- Długo czekali.

- Owszem. Może mi pan powiedzieć, jak trafić do tego domu, w którym Brownowie mieszkali, kiedy ich pan odwiedzał?

- Obawiam się, że nie. Ale mógłbym tam pana zaprowadzić.

- Kiedy?

- Jutro rano, jeśli ma pan ochotę.

- Będę panu wdzięczny.

- Drobiazg. Lubilem Johna Browna. Nie byłem w Luna Bay od lat. Całe wieki. Może odnajdę utraconą młodość.

- Może. - Nie uważałem jednak tego za prawdopodobne.

Ani on.

## Rozdział 9

Rano zabrałem Bollinga z jego mieszkania na Telegraph Hill. Był właśnie jeden z tych promiennych dni, które wynagradzają wszystkie mgły San Francisco. Wiatr od morza oczyścił powietrze i zrobił z błękitnej powierzchni zatoki mozaikę. Biały statek wyrzynał w niej białą bruzdę kierując się ku mostowi Golden Gate. W powietrzu nad nim wisiały białe mewy.

Bolling patrzył na to wszystko błędnym wzrokiem. Wydawał się niechlujny, poszarzały i dygotał z przepicia. Wpełził na tylne siedzenie i chrapał przez całą drogę do Luna Bay. Było to

brudne, bezkształtne miasto ciągnące się wzdłuż nadmorskiej autostrady. Wzgórza, które wznosiły się za autostradą, przytłaczały swym ogromem i tak już małe budowle, z drugiej strony rozciągał się bezkresny ocean.

Zatrzymałem się przy stacji benzynowej, gdzie od autostrady odbiegała boczna droga, i obudziłem Bollinga.

- Czego? - wymamrotał z głębin snu. - Co się stało?

- Jeszcze nic. Gdzie teraz jedziemy?

Jęknął, usiadł i rozejrzał się. Oczy zaszczyły mu łzami od blasku. Oślonił je ręką.

- Gdzie my jesteśmy?

- W Luna Bay.

- Wygląda całkiem inaczej - jęknął. - Nie jestem pewien, czy potrafię teraz znaleźć ten dom. W każdym razie tutaj skręcamy na północ. Niech pan jedzie powoli, spróbuję wypatrzyć tę drogę.

Nieomal dwie mile na północ od Lima Bay droga skręcała w głąb łądu przebiegając u podstawy cypla. Po przeciwnej stronie cypla nowo wyasfaltowana droga prowadziła ku oceanowi. Na skrzyżowaniu stała tablica: „Osiedle Marvista. Trzy sypialnie i bawialnia. Łazienki wykładane kafelkami. Obudowane kuchnie. Wszelkie udogodnienia. Zobacz nasz wzorcowy dom”.

Bolling postukał mnie w ramię.

- Zdaje się, że to tutaj.

Cofnąłem samochód i skręciłem w lewo. Droga przez kilkaset metrów biegła prosto w górę łagodnym wzniesieniem. Minęliśmy prostokąt domu z niewypalanej cegły, wielkiego jak boisko futbolowe, gdzie pracowały spychacze. Ich krzątanie wyjaśniała drewniana tablica przy drodze: „Miejsce przyszłego centrum handlowego Marvista”.

Ze szczytu wzniesienia widzieliśmy dachy ponad setki domów. Stały na zboczu na tarasach gołej ziemi, na których ledwie się zaczynała puszczać trawa. Jadąc krętą ulicą między nimi widziałem, że większość domów jest już zamieszkała. W oknach wisiały firanki, na podwórkach bawiły się dzieci, bielizna suszyła się na sznurach. Domy były pomalowane na różne kolory, co tylko jeszcze podkreślało ich identyczność.



Droga wyprostowała się u stóp zbocza biegnąc wzdłuż brzegu urwiska. Zatrzymałem wóz i spojrzałem na Bollinga.

- Przykro mi - rzekł. - Wszystko się tak zmieniło, że nie wiem, czy to na pewno tu. Stało tu kilka bungalowów z desek, pięć czy sześć, rozrzuconych wzdłuż urwiska. W jednym z nich, o ile mnie pamięć nie myli, mieszkali Brownowie.

Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy na skraj urwiska. Paręset stóp poniżej ocean marszczył się jak błękitny metal i co jakiś czas wybuchał grzebieniem białej piany. O jakąś milę na południe, pod osłoną cypla, leżała w brązowej łupinie plaży spokojna zatoczka.

Bolling wskazał zatoczkę.

- To musi być tutaj. Pamiętam, jak Brown mi opowiadał, że ta zatoczka była w czasach prohibicji przystanią przemytników rumu. Na urwisku nad nią stał wtedy stary hotel. Widać go było z ganku Brownów. Ich bungalow musiał znajdować się gdzieś niedaleko stąd.

- Pewnie go zburzono, gdy budowano drogę. Prawdopodobnie i tak niewiele bym skorzystał, gdybym go zobaczył. Łudziłem się, że znajdę jakiegoś sąsiada, który by pamiętał Brownów.

- Może powinien pan porozmawiać ze sklepikarzami z Luna Bay.

- Może.

- Nie ma co, bardzo przyjemnie jest na łonie natury.

Odszedł kawałek wzdłuż przepaści. Nagle wrzasnął piskliwie jak mewa:

- Uiii! - i zaczął machać rękami.

Podbiegłem do niego.

- Co się stało?

- Uiii - wrzasnął znowu i roześmiał się po dziecinnie. - Wyobraziłem sobie, że jestem ptakiem.

- I jakie wrażenie?

- Bardzo miłe. - Jeszcze raz pomachał rękami. - Latam! Pruję piersią wietrzne prądy nieba! Jak Ikar wzbijam się ku słońcu. Topnieje wosk. Z zawrotnej wysokości spadam w morze. W objęcia matki Thalassy.

- Czyje?

- Thalassy. To morze, homeryckie morze. Moglibyśmy zbudować nowe Ateny. Kiedyś myślałem, że można by to zrobić w San Francisco, zbudować nowe miasto na tych wysokich wzgórzach. Miasto wymierzone miarą wybaczenia. Eeeech!

Znowu się zasępił. Odciągnąłem go od przepaści. Był tak nieobliczalny, że bałem się, aby nie przyszło mu do głowy spróbować pofrunąć w przestrzeń, a zaczynałem go lubić.

- Skoro mowa o matce - powiedziałem - jeżeli żona Johna Browna właśnie urodziła dziecko, musiała zasięgać porady lekarskiej. Mówili, gdzie się to dziecko urodziło?

- Tak. W domu. Najbliższy szpital jest w Redwood City i Brown nie chciał tam wozić żony. Możliwe, że korzystała z usług lekarza miejscowego.

- Miejmy nadzieję, że on tu jeszcze jest,

Jechaliśmy z powrotem drogą biegnącą wśród domów, póki nie zobaczyliśmy młodej kobiety z wózkiem. Spłoszyła się jak źrebię, kiedy zatrzymałem samochód koło niej. Za dnia droga była zarezerwowana dla kobiet i dzieci - nieznani mężczyźni w samochodach byli zapewne porywaczami. Wsiadłem z samochodu i podszedłem do niej uśmiechając się najniewinniej, jak umiałem.

- Szukam lekarza.

- Och. Ktoś zachorował?

- Żona mojego przyjaciela spodziewa się dziecka. Zamierzają zamieszkać w Osiedlu Marvista i prosili mnie, żebym zobaczył, jak tu z opieką lekarską.

- Doktor Meyers jest bardzo dobry - powiedziała. - Sama do niego chodzę.

- W Luna Bay?

- Tak.

- Od jak dawna praktykuje?

- Nie wiem. My przyjechaliśmy z Richmond przed niespełna trzema miesiącami.

- A w jakim jest wieku?

- Jakies trzydzieści, trzydzieści pięć lat, nie wiem.

- Za młody - rzekłem.

- Jeżeli pana przyjaciel woli starszego lekarza, to zdaje się jest i taki w mieście. Nie pamiętam tylko nazwiska. Ja osobiście wolę młodych lekarzy, oni znają te wszystkie najnowsze cuda.

Cuda. Podziękowałem jej i pojechałem do Luna Bay na poszukiwanie apteki. Właściciel przedstawił mi krótką charakterystykę trzech miejscowych lekarzy. Dr George Dineen jedyny praktykował tu w latach trzydziestych. Starszawy jegomość zbliżający się do emerytury. Pomyślałem, że znajdę go zapewne w jego gabinecie, o ile nie wyjechał z wizytą domową. To zaledwie kilka przecznic od apteki.

Zostawiłem Bollinga przy kawie, a sam poszedłem piechotą do doktora Dineena. Jego gabinet mieścił się we frontowych pokojach chaotycznie zaprojektowanego domu o zielonych krytych gontem ścianach, który stał przy pełnej kurzu bocznej uliczce. Drzwi otworzyła mi kobieta mniej więcej sześćdziesięcioletnia. Miała niebieskawo-siwe włosy i wyraz twarzy, jaki się rzadko obecnie widuje — wyraz osoby nie rozczarowanej życiem.

- Słucham pana, młody człowieku.

- Chciałbym zobaczyć się z lekarzem.

- Lekarz przyjmuje dopiero po południu. Przyjęcia zaczynają się o pół do drugiej.

- Ja nie przychodzę w roli pacjenta.

- Jeżeli jest pan sprzedawcą nowych leków, radzę zaczekać, aż zje lunch. Doktor Dineen nie lubi, gdy mu się zakłóca ranki.

- Jestem w tym mieście przejazdem. Prowadzę dochodzenie w sprawie osoby zaginionej. Doktor może mi pomóc w jej odnalezieniu.

Mimo zwiotczałości właściwej wiekowi miała twarz bardzo wyrazistą. Widać było, że potrafi zrozumieć, co znaczy stracić kogoś bliskiego.

- To całkiem inna sprawa. Proszę, niech pan wejdzie, panie...

- Archer. Jestem prywatnym detektywem.

- Mąż jest w ogrodzie. Zaraz go sprowadzę.

Zostawiła mnie w gabinecie doktora. Na ścianie nad starym dębowym biurkiem wisiało kilka dyplomów. Najwcześniejszy z nich stwierdzał, że doktor Dineen uzyskał dyplom Wydziału

Medycznego Uniwersytetu Ohio w 1914 roku. Sam gabinet był jakby rezerwatem czasów przedwojennych. Meble z popękanej skóry ułożyły się z latami w bardzo wygodne, dostosowane do ludzkiej figury kształty. Szachy stojące na szachownicy były jak miniaturowe armie znieruchomiłe w szyku bojowym w promieniach słońca padającego ukośnie od okna.

Wszedł doktor i uścisnęliśmy sobie dłonie. Był wysokim, barczystym mężczyzną w podeszłym wieku. Jego oczy nie zdradzały żadnych uczuć pod krzaczastymi siwymi brwiami, które zwisały niby ptasie gniazda nad stromizną twarzy. Usiadł w fotelu za biurkiem. Był łysawy, z kilkoma kosmykami włosów przylegających gładko do nagiego czubka głowy.

- Wspomniał pan mojej żonie o kimś zaginionym. Czy może chodzi o mego pacjenta?

- Przypuszczalnie. Nazywał się John Brown. W 1936 roku mieszkał z żoną o kilka mil stąd na wybrzeżu, gdzie obecnie jest Osiedle Marvista.

- Pamiętam ich doskonale - odparł krótko. - Nie tak dawno był u mnie ich syn, siedział w tym samym miejscu co pan.

- Ich syn?

- John junior. Może go pan zna. On też szuka swego ojca.

- Nie - odparłem. - Nie znam go. Ale bardzo chciałbym poznać.

- To można załatwić. - Dudniący głos doktora Dineena umilkł. Doktor przyglądał mi się pilnie, jakby przygotowywał się do postawienia diagnozy. - Najpierw jednak chciałbym poznać przyczyny zainteresowania pana tą rodziną.

- Zaangażowano mnie w celu odnalezienia ojca, Johna Browna seniora.

- Czy poszukiwania dały jakieś rezultaty?

- Do tej pory nie. Powiada pan, że chłopiec, który pana odwiedził, szuka swego ojca?

- Tak jest.

- Co go do pana sprowadziło?

- Zwykle synowskie uczucia. Jeżeli ojciec żyje, syn pragnie z nim być. Jeżeli nie żyje, chciałby o tym wiedzieć.

- Ale mnie interesuje, co sprowadziło go właśnie do pana. Czy

znał go pan wcześniej?

- Przyszedł przy mnie na świat. W moim zawodzie są to najlepsze z możliwych referencji.

- Jest pan pewien, że to ten sam chłopiec?

- Nie mam powodów, aby w to wątpić. - Doktor spojrział na mnie z pewnym niesmakiem, jakbym skrytykował dzieło jego własnych rąk. - Zanim powiemy coś więcej na ten temat, proszę pana, byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pan udzielił pełniejszej odpowiedzi na moje pytania. Nie wiem, kto pana zaangażował.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zdradzić. Proszono mnie, abym nie wyjawiał nazwiska mojego klienta.

- Wierzę. Przywykłem zachowywać podobne tajemnice od czterdziestu lat.

- Nie powie mi pan nic, póki ja nic panu nie powiem?

Doktor uniósł rękę i odegnał tę myśl, jak odpędza się natrętnego owada.

- Nie proponuję żadnego układu. Chcę po prostu wiedzieć, z kim mam do czynienia. Tu mogą wchodzić w grę poważne sprawy.

- I wchodzi.

- Sądzę, że powinien pan wyrażać się jaśniej.

- Nie mogę.

Patrzyliśmy na siebie w przedłużającym się milczeniu. Oczy doktora były nieugięte, pałające wrogością dumnego starca. Bałem się, że go zupełnie utracę, i to w chwili, gdy sprawa właśnie zaczynała wkraczać na jako tako korzystne tory. A choć nie wątpiłem w jego uczciwość, musiałem mieć na względzie również własną. Obiecałem Gordonowi Sable i pani Galton nie wymieniać żadnych nazwisk.

Doktor Dineen wyjął fajkę i zaczął napełniać zwęgloną miseczkę tytoniem z ceratowego kapciucha.

- Wygląda na to, że zabrnęliśmy w sytuację, którą można by nazwać patem. Czy grywa pan w szachy?

- Zapewne nie tak dobrze, jak pan. Nigdy nie poświęciłem szachom głębszych studiów.

- A ja byłem skłonny myśleć, że tak. - Skończył nabijać fajkę i

zapalił ją kuchenną zapalką. Błękitny dymek zawirował w promieniach słonecznych padających od okna. - Tracimy obaj czas. Proponuję, aby pan wykonał ruch.

- Sądziłem, że to pat.

- Gramy od nowa. - Po raz pierwszy w jego oczach zabłysła iskierka zainteresowania. - Niech mi pan powie o sobie. Czemu taki człowiek jak pan poświęca życie tego rodzaju pracy. Czy dużo pan zarabia?

- Dość, żeby żyć. Nie robię tego jednak dla pieniędzy, ale dlatego, że chcę to robić.

- Czy nie jest to brudna robota, panie Archer?

- Zależy, kto ją wykonuje, podobnie jak w innych zawodach, na przykład w lekarskim. Ja staram się, aby była czysta.

- Z powodzeniem?

- Niezupełnie. Zdarzało mi się popełniać poważne błędy w ocenie ludzi. Niektórzy z góry zakładają, że prywatny detektyw musi być nieuczciwy, i zgodnie z tym założeniem postępują, tak jak teraz pan.

Staruszek mruknął, co zabrzmiało jak szczeknięcie foki.

- Nie mogę działać na ślepo w sprawie tak wielkiej wagi.

- Ani ja. Nie wiem, co czyni ją tak ważną w pana oczach...

- Więc powiem panu-rzekł krótko. - W grę wchodzi życie ludzkie. Miłość chłopca do rodziców. Staram się traktować te rzeczy .z pieczołowitością, na jaką zasługują.

- Doceniam to. Odnoszę wrażenie, że osoba Johna Browna juniora interesuje pana w szczególny sposób.

- Tak jest. Ten młody człowiek dosyć się w życiu nacierpiął. Chcę mu oszczędzić zbędnych przykrości.

- Nie mam zamiaru go ranić. Jeśli ten chłopiec jest rzeczywiście synem Johna Browna, wyświadczy mu pan jedynie przysługę poznając mnie z nim.

- Będzie mi to pan musiał wpierw udowodnić. Powiem szczerze, że miałem swego czasu do czynienia z ludźmi pana zawodu. W jednym wypadku chodziło o szantaż wywierany na mojej pacjentce... młodej dziewczynie, która miała nieślubne dziecko. Nie chcę powiedzieć, że to w jakikolwiek sposób rzutuje na pana, ale przyzna pan, że każe człowiekowi być

podejrzliwym.

- Zgoda. Załóżmy więc, że zaangażowano mnie do odszukania spadkobiercy kilkumilionowego majątku.

- To stara bajeczka. Będzie pan musiał wymyślić lepszy gambit.

- Wcale go nie wymyśliłem. Akurat tak się składa, że to prawda.

- Proszę to udowodnić.

- Z łatwością, we właściwym czasie. Obecnie, powiedziałbym, ciężar dowodu spoczywa na chłopcu. Czy potrafi dowieść swojej tożsamości?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Właściwie cały dowód tożsamości kryje się w jego twarzy. Gdy tylko wszedł, wiedziałem od razu, czym jest synem. Jego podobieństwo do ojca jest uderzające.

- Dawno się u pana zjawił?

- Z miesiąc temu. I od tej pory bywa u mnie.

- Jako pacjent?

- Nie, jako przyjaciel - odparł doktor.

- A dlaczego w ogóle do pana przyszedł?

- Bo na jego metryce jest moje nazwisko. Ale wolnego, młody człowieku. Niech mi się pan da zastanowić. - Doktor przez chwilę palił w milczeniu. - Czy poważnie mówi pan, że chłopiec jest spadkobiercą znacznej fortuny?

- Będzie, jeżeli ojciec umarł. Jego babka jeszcze żyje. To ona ma pieniądze.

- Ale pan mi nie wyjawi jej nazwiska?

- Nie mogę bez jej pozwolenia. Myślę, że mógłbym do niej zatelefonować. Wolalbym jednakże porozmawiać najpierw z chłopcem.

Doktor się wahał. Trzymał jakiś czas rękę zastygłą w powietrzu, a potem uderzył nią na płask w blat stołu.

- Zaryzykuję, choć może później będę tego żałował.

- Nie będzie pan, jeśli to w mojej mocy. Gdzie mogę go znaleźć?

- Dojdziemy do tego.

- Co miał do powiedzenia o swoim pochodzeniu?

- Będzie stosowniej, jeśli pan to usłyszy od niego. Chcę panu tylko powiedzieć, co wiem z własnej bezpośredniej obserwacji o jego rodzicach. A to może rzucić więcej światła na tę sprawę, niż się panu zdaje... - Umilkł na chwilę. - Do czego, ściśle, ten anonimowy klient pana zaangażował?

- Do znalezienia Johna Browna seniora - powiedziałem.

- Domyślam się, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko.

- Słusznie. Nie jest.

- Wcale się nie dziwię - rzekł doktor Dineen. - W czasach, kiedy go znałem, dużo o nim myślałem. Przyszło mi do głowy, że może być „wygnańcem”... wie pan, jednym z tych młodych nicponi, których rodziny opłacają, aby się tylko trzymali z dala od domu. Pamiętam,, że kiedy przyjmowałem jego dziecko, Brown zapłacił mi studolarowym banknotem. Jakoś mi ten banknot wtedy nie pasował do poziomu ich życia. Były też inne rzeczy, na przykład klejnoty jego żony... brylanty i rubiny w kunsztownej złotej oprawie. Kiedyś jak przyszła do mnie tutaj, przypominała chodzący sklep jubilerski.

Ostrzegałem ją, żeby tego nie nosiła. Mieszkali na odludziu, koło starej gospody, a były to w tamtych czasach dość dzikie okolice. Poza tym ludzie byli biedni. Wielu płaciło mi za usługi rybami. Jadłem tyle ryb w okresie wielkiego kryzysu, że od tamtej pory nie mogę na nie patrzeć. Nieważne. Publiczne obnoszenie się z klejnotami było kuszeniem złego. Wytłumaczyłem to młodej damie i więcej ich nie nosiła, przynajmniej gdy ją widywałem.

- A często ją pan widywał?

- Ze cztery, pięć razy. Parę razy przed urodzeniem chłopca i później. Była z niej zdrowa dziewczucha i nie miała żadnych komplikacji. Chodziło głównie o kilka lekcji pielęgnowania niemowląt. Nie wyniosła z domu żadnego przygotowania do macierzyństwa.

- Czy mówiła coś o środowisku, z jakiego się wywodziła?

- Nie musiała. Pozostawiło ono widome ślady na jej ciele. Była bita pasem ze sprzączką, bez litości.

- Ale nie przez męża?

- Na pewno nie. W jej życiu byli inni mężczyźni, jak się to



mawia. Usamodzieliła się zapewne dość wcześnie. Była przedstawicielką zbłąkanej młodzieży lat trzydziestych... całkiem różna od swojego męża.

- Ile miała lat?

- Myślę, że dziewiętnaście czy dwadzieścia, może trochę więcej. Wyglądała na więcej. Przeżycia jej nie zahartowały, ani, jak powiadam, nie przygotowały do macierzyństwa. Nawet kiedy stanęła na nogi, potrzebowała pielęgniarki do dziecka. Właściwie sama była dzieckiem pod względem psychicznym.

- Pamięta pan, jak się ta pielęgniarka nazywała?

- Zaraz, zaraz. Chyba Kerrigan.

- A nie Culligan?

- Tak, Culligan, na pewno. Była poczciwą młodą kobietą, niezłe wykształconą. Wyjechała w tym samym czasie co Brownowie.

- Brownowie wyjechali?

- Zniknęli nie powiedziawszy nikomu „do widzenia” ani „dziękuję”. Albo tak się przynajmniej wtedy wydawało.

- Kiedy to było?

- W kilka tygodni po urodzeniu się dziecka. Koło Bożego Narodzenia 1936 roku. W jakiś dzień lub dwa po świętach. Pamiętam dobrze, bo roztrząsałem tę sprawę z policją.

- Dawno?

- W ciągu ostatnich pięciu miesięcy. Krótko mówiąc, kiedy przygotowywano teren pod budowę Osiedla Marvista, znaleziono jakieś kości. Miejscowa policja poprosiła mnie, abym się im przyjrzał i powiedział, co o tym myślę. Był to szkielet ludzki należący prawdopodobnie do osoby średniego wzrostu w wieku lat dwudziestu kilku.

Nie wykluczone, moim zdaniem, że są to kości Johna Browna. Znaleziono je pod domem, w którym mieszkał. Dom został zburzony pod nową drogę. Niestety, nie mamy możliwości przeprowadzenia identyfikacji. Brakuje czaszki, co wyklucza ewentualność świadectwa stomatologa.

- Zachodzi możliwość morderstwa.

Dineen kiwnął głową z powagą.

- Więcej niż możliwość. Jeden z kręgów szyjnych został

przecięty ciężkim narzędziem. Jestem skłonny twierdzić, że John Brown, jeśli to był on, został zamordowany przez ścięcie toporem.

## Rozdział 10

Zanim wyszedłem, doktor Dineen dał mi parę słów polecających do komendanta miejscowego posterunku. Wypisał je na blankiecie receptowym. Dał mi też adres stacji benzynowej, w której pracował John Brown junior. Wróciłem spiesźnie do drugstore'u. Bolling siedział z grzanką z serem w lewej ręce i ołówkiem w prawej. Jednocześnie jadł grzankę i bazgrał w notesie.

- Przepraszam, że musiał pan tak długo na mnie czekać...

- Chwileczkę, piszę wiersz.

Bazgrał dalej. Czekając, aż skończy, zjadłem ze zniecierpliwieniem kanapkę, po czym zaciągnąłem go do samochodu.

- Chcę panu kogoś pokazać. Później wyjaśnię, kto to jest. - Włączyłem silnik i skręciłem w autostradę na południe. — O czym jest ten wiersz?

- O mieście człowieka. Przechodzę na afirmację. Będzie dobry... pierwszy dobry wiersz od lat.

Zaczął mi o nim mówić językiem, którego nie rozumiałem. Znalazłem stację na południowym krańcu miasta. Była to mała stacja benzynowa o trzech pompach i z jednoosobową obsługą. Młody pracownik, w białym kombinezonie, nalewał właśnie benzynę do półciężarówki, której skrzynia była załadowana brunatnymi sieciami rybackimi. Stałem w kolejce i przyjrzałem mu się.

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo przypominał Antoniego Galtona. Miał takie same szeroko rozstawione jasne oczy, taki sam prosty nos i pełne usta. Tylko włosy były inne - ciemne i nie kręcone.

Bolling pochylił się na siedzeniu.

- Chryste Panie! Czy to Brown? To nie może być Brown.

Musiałby być prawie w moim wieku.

- Niech pan pamięta, że miał syna.

- To jest jego syn?

- Chyba tak. Pamięta pan, jakie miał włosy?

- Ciemne, oczywiście miał ich wtedy bardzo mało. Koloru włosów matki.

Chciał wysiąść z samochodu.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Niech mu pan nie mówi, kto pan jest.

- Chcę go zapytać o ojca.

- On nie wie, gdzie jest jego ojciec. Jest jeszcze kwestia ustalenia tożsamości. Chcę się przekonać, co mi powie bez podpowiadania.

Bolling obrzucił mnie zawiedzionym spojrzeniem, ale pozostał w samochodzie. Kierowca półciężarówki zapłacił za benzynę i odjechał z klekotem. Podjechałem pod pompę i wysiadłem, żeby się lepiej przyjrzeć chłopcu.

Wyglądał mina dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Był bardzo przystojny, podobnie jak jego domniemany ojciec. Miał ujmujący uśmiech.

- Czym mogę służyć?

- Benzyna, do pełna. To będzie tylko parę galonów. Zatrzymałem się, bo chcę, żeby mi pan sprawdził olej.

- Proszę bardzo.

Robił wrażenie usłużnego. Nappełnił bak, starannie wytarł szybę. Gdy jednak podniósł maskę, żeby sprawdzić olej, nie mógł znaleźć miarki. Pokazałem mu, gdzie jest.

- Długo pan tu pracuje?

Speszył się.

- Dwa tygodnie. Jeszcze nie zdążyłem się zapoznać z tymi wszystkimi nowymi samochodami.

- Nie ma się czym przejmować. - Spojrzałem poza autostradę na omiatany wiatrem brzeg, o który rozbijały się długie grzywacze. - Ładnie tu. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby tu zamieszkać.

- Pan jest z San Francisco?

- Ja nie, mój przyjaciel. - Wskazałem Bollinga, który wciąż

siedział w samochodzie, zasepiony. - Ja przyjechałem wczoraj wieczorem z Santa Teresa.

Nie zareagował na tę nazwę.

- Kto jest właścicielem tej nadmorskiej posiadłości za autostradą?

- Przykro mi, ale nie wiem. Pewnie mój szef będzie wiedział.

- Gdzie on jest?

- Pan Turnell wyszedł na obiad. Powinien zaraz wrócić, jeżeli chce pan z nim porozmawiać.

- Za ile?

Spojrzał na lichy zegarek na rękę.

- Jakies piętnaście, dwadzieścia minut. Jego przerwa obiadowa trwa od jedenastej do dwunastej. A jest za dwadzieścia dwunasta.

- Może sobie na niego zaczekam. Nie spieszy mi się.

Bolling teraz wyraźnie cierpiał. Konspiracyjnym gestem przywołał mnie do samochodu.

- Czy to syn Browna? - zapytał scenicznym szeptem.

- Niewykluczone.

- Czemu go pan nie spyta?

- Czekam, aż mi sam powie. Niech pan weźmie na wstrzymanie, Bolling.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Wolałbym nie. To delikatna sprawa.

- Nie rozumiem dlaczego. Albo jest synem Browna, albo nie.

Chłopiec podszedł do mnie.

- Czy coś jest nie w porządku, proszę pana? Czy mógłbym coś jeszcze zrobić?

- Nie, dziękuję. Zostałem obsłużony, jak należy.

- Dziękuję.

W opalonej twarzy błysnęły zęby. Uśmiech był jednak wymuszony. Chłopiec jakby wyczuwał narastające we mnie i Bollingu napięcie.

- Pan z tych stron? - zapytałem najzyczliwiej, jak umiałem.

- Można powiedzieć, że tak. Urodziłem się o kilka mil stąd.

- Ale nie jest pan miejscowy?

- Nie. A skąd pan wie?

- Poznaję po akcencie. Powiedziałbym raczej, że jest pan ze środkowego zachodu.

- Bo tak jest. - Moje zainteresowanie zdawało się sprawiać mu przyjemność. - Dopiero w tym roku przyjechałem z Michigan.

- Studiował pan coś?

- Na uniwersytecie? Studiowałem. A czemu pan pyta?

- Bo pomyślałem, że nie bardzo pan jakoś pasuje do stacji benzynowej.

- A owszem - przytaknął gorąco. - Traktuję tę pracę jako tymczasową.

- A co by pan chciał robić?

Zawahał się czerwieniejąc pod opalenizną.

- Interesuję się aktorstwem. Wiem, że to brzmi śmiesznie. Połowa przyjeżdżających do Kalifornii chce być aktorami.

- I dlatego pan tutaj przyjechał?

- To jedna z przyczyn.

- A więc ta stacja benzynowa jest przystankiem w drodze do Hollywood?

- Tak to chyba można ująć. - Zamknął się w sobie. Nadmiar pytań uczynił go podejrzliwym.

- Był pan już kiedyś w Hollywood?

- Nie. Nie byłem.

- Grywał pan kiedyś na scenie?

- Tak, na studiach.

- Gdzie?

- Na Uniwersytecie Michigan.

Miałem więc, co chciałem: możliwość sprawdzenia jego środowiska, jeśli mówił prawdę, lub, o ile kłamał, dowiedzenia tego faktu. Uniwersytety zachowują wszystkie dane dotyczące studentów.

- Pytam pana o to wszystko - powiedziałem - bo mam biuro na Bulwarze Zachodzącego Słońca w Hollywood. Interesuję się utalentowanymi ludźmi, a pan mi się podoba.

Rozpromienił się.

- Pan jest może agentem filmowym?

- Nie, ale znam mnóstwo agentów. - Chciałem uniknąć bezpośredniego kłamstwa ze względów zasadniczych, toteż

wciągnąłem do rozmowy Bollinga. - Mój przyjaciel to znany pisarz, pan Bolling. Pewnie pan o nim słyszał.

Bolling był zmieszany. Jako człowieka wrażliwego kępowały go moje wybiegi w stosunku do chłopca. Wychylił się z samochodu i podał mi rękę.

- Bardzo mi miło.

- A mnie bardzo miło poznać pana. Nazywam się John Brown. Pan pracuje w filmie?

- Nie.

Bolling nie był rozmowny, ponieważ nie mógł powiedzieć tego, co mu się akurat cisnęło na usta. Chłopiec patrzył to na mnie, to na niego, nie wiedząc, czym wywołał tę wstrzemięźliwość. Bolling zlitował się nad nim. Obrzuciwszy mnie buntowniczym spojrzeniem rzekł:

- Powiedział pan: John Brown? Znałem kiedyś kogoś o tym imieniu i nazwisku w Luna Bay.

- Mój ojciec nazywał się tak samo. Pan musiał znać mojego ojca.

- Z pewnością. - Bolling wygramolił się z auta. - Chłopcze, ja ciebie znałem, jak byłeś niemowlęciem.

Przyglądałem się Johnowi Brownowi. Twarz mu pałała. Szare oczy rozbłysły radością, a potem zwilgotniały ze wzruszenia. Uświadomiłem sobie, że przecież zadeklarował się jako aktor.

Uściskał dłoń Bollinga po raz drugi.

- To pan znał mojego ojca! Kiedy go pan ostatni raz widział?

- Dwadzieścia dwa lata... dawno temu.

- Więc nie wie pan, gdzie on teraz może być?

- Obawiam się, że nie, John. Zniknął z horyzontu zaraz po twoim urodzeniu.

Twarz chłopca zmartwiała.

- A matka? - Głos mu się załamał na tym słowie.

- Tak samo - powiedziałem. - Nie pamiętasz żadnego z rodziców?

- Pamiętam matkę - odpowiedział niechętnie. - Zostawiła mnie w sierocińcu w Ohio, kiedy miałem cztery lata. Obiecywała, że po mnie wróci, ale nie wróciła. Spędziłem blisko dwanaście lat w tym zakładzie czekając na nią. - Twarz mu

pociemniała. - A potem zdałem sobie sprawę, że pewnie nie żyje. Uciekłem.

- Gdzie to było? - spytałem. - W jakim mieście?

- W Cristal Springs, takie miasteczko pod Cleveland.

- Mówisz, że uciekłeś stamtąd?

- Tak, kiedy miałem szesnaście lat. Pojechałem do Ann Arbor, w stanie Michigan, żeby się uczyć. Zaopiekował się mną jeden człowiek nazwiskiem Lindsay. Nie zaadoptował mnie, ale używałem jego nazwiska. Chodziłem do szkoły jako John Lindsay.

- Po co ta zmiana nazwiska?

- Nie chciałem używać własnego. Miałem powody.

- Jesteś pewien, że nie było odwrotnie? Może twoje prawdziwe nazwisko jest „Lindsay”, a ty je potem zmieniłeś na „Brown”?

- Po co bym to robił?

- Może ci ktoś za to zapłacił.

Poczerwieniał z gniewu.

- Kim pan jest?

- Prywatnym detektywem.

- Więc jeśli pan jest detektywem, to po co to gadanie o Hollywood i Bulwarze Zachodzącego Słońca?

- Mam biuro przy Bulwarze Zachodzącego Słońca.

- Ale pan mnie celowo wprowadził w błąd.

- Nie martw się o to; chłopcze. Potrzebowałem pewnych informacji i już je mam.

- Mógł mnie pan zapytać wprost. Nie mam nic do ukrywania.

- To się jeszcze okaże.

Bolling wkroczył między nas zionąc nagłym gniewem.

- Niech pan zostawi chłopca w spokoju. Jest najwyraźniej tym, za kogo się podaje. Nawet głos ma ojca. To są obraźliwe insynuacje.

Nie spierałem się. W gruncie rzeczy sam byłem gotów uwierzyć, że ma rację. Chłopiec odsunął się od nas, jakby w obawie o własne życie. Jego oczy nabrały barwy łupku, nozdrza pobielały.

- O co właściwie chodzi?

- Nie denerwuj się - odparłem.

- Wcale się nie denerwuję. - Dygotał cały. - Przyjeżdżacie, pytacie mnie o mnóstwo rzeczy i mówicie, że znaliście mojego ojca. Czy jest w tym coś dziwnego, że chcę wiedzieć, o co chodzi?

Bolling podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Może to być sprawa bardzo ważna dla ciebie, John. Twój ojciec pochodził z bardzo zamożnej rodziny.

Chłopiec strząsnął jego rękę. Pod niektórymi względami był bardzo młody na swój wiek.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę zobaczyć ojca.

- Czemu to dla ciebie takie ważne? - spytał Bolling.

- Bo nigdy nie miałem ojca. - Jego rozedrgana twarz świadczyła o szczerości słów. Łzy spływały chłopakowi po policzkach. Otrząsnął je gniewnie.

- Skończmy już z pytaniami, John, Przy okazji, rozmawiałeś z tutejszą policją?

- Rozmawiałem.. Wiem, do czego pan zmierza. Mają tu skrzynkę ludzkich kości w komisariacie. Niektórzy mówią, że to kości mojego ojca, ale ja im nie wierzę. Zastępca szeryfa Mungan też nie wierzy.,

- Możesz tam pojechać ze mną?

- Nie mogę - odparł. - Nie mogę zamknąć stacji. Pan Turnell nie pozwala mi opuszczać stanowiska pracy.

- O której kończysz?

- Około siódmej trzydzieści.

- Gdzie będę mógł cię znaleźć dziś wieczorem?

- Mieszkam w pensjonacie, u pani Gorgello, jakąś milę stąd. - Podał mi adres.

- Nie powie mu pan, kim był jego ojciec? - spytał Bolling.

- Powiem, kiedy będzie wiadomo na pewno, że jest jego synem. Chodźmy, Bolling.

Niechętnie wsiadł do samochodu.



## Rozdział 11

Miejscowy komisariat był jak otynkowane pudełko od butów i mieścił się naprzeciwko smętnego hoteliku. Bolling powiedział, że zostanie w samochodzie, ponieważ nie lubi widoku szkieletów.

- Sama myśl, że mam coś takiego w sobie, mnie przeraża. W przeciwieństwie do Webstera z wiersza pana Eliota wolę nie pamiętać, że mam czaszkę pod skórą.

Dotąd nie wiem, czy nie drwił sobie ze mnie.

Zastępca szeryfa, Mungan, był ogromnym mężczyzną, o pół głowy wyższym ode mnie, z twarzą jak niedokończona rzeźba. Przedstawiłem mu się, powiedziałem, jaki jest mój zawód, i wręczyłem karteczkę od Dineena. Kiedy ją przeczytał, wyciągnął rękę ponad kontuarem przedzielającym jego niewielkie biuro i zmiażdżył mi dłoń w uścisku.

- Każdy przyjaciel doktora Dineena jest i moim przyjacielem. Chodź pan tu za kontuar i mów pan, o co chodzi.

Wszedłem i siadłem na krzesło, które mi postawił koło swego biurka.

- O pewne kości znalezione w Osiedlu Marvista. Podobno przeprowadziliście wstępną identyfikację.

- Ja bym tego tak nie nazwał. Doktor Dineen sądzi, że jest to człowiek, którego kiedyś znał... niejaki John Brown. Wziąwszy pod uwagę miejsce znalezienia kości, to by się zgadzało. Ale nie możemy w żaden sposób tego dowieść. Rzecz w tym, że nigdy nie meldowano o zniknięciu tego człowieka w naszych stronach. Nie mogliśmy trafić na żaden ślad jego rodziny. Oczywiście wciąż nad tym pracujemy.

Szeroka twarz Mungana była poważna. Mówił jak stary wyga i oczy miał przenikliwe jak szpilki.

- Moglibyśmy sobie nawzajem pomóc w rozwiązaniu tej zagadki - powiedziałem.

- Wszelka pomoc jest mile widziana. Sprawa się ciągnie od pięciu miesięcy, wkrótce będzie sześć. - Rzucił mi szybkie podchwytliwe pytanie: - Pan może reprezentuje rodzinę?

- Tak, reprezentuję rodzinę. Ale proszono mnie, żebym nie

wymieniał jej nazwiska. Poza tym kwestia, czy denat do niej należy, jest nadal otwarta. Czy z kośćmi znaleziono może jakieś inne materiały dowodowe? Zegarek albo pierścionek? Buty? Ubranie?

- Nic. Nawet niteczki.

- Myślę, że mogło ulec całkowitemu rozkładowi w ciągu dwudziestu dwu lat. A guziki?

- Ani jednego. Przypuszczamy, że został pochowany tak, jak przyszedł na świat.

- Ale bez głowy.

Mungan przytaknął z powagą.

- Widzę, że doktor powiedział panu wszystko. Sam ciągle myślę o tej głowie. Kilka tygodni temu przyszedł tu do mnie pewien młody człowiek twierdząc, że jest synem Johna Browna.

- Sądzi pan, że jest nim rzeczywiście?

- Przynajmniej tak się zachowywał, jakby był. Robił wrażenie przygnębionego widokiem kości. Niestety, wie o swoim ojca tyle, ile ja. To znaczy nic, absolutnie nic. Wiemy, że ten John Brown mieszkał w 1936 roku przez kilka miesięcy przy starej Drodze Nad Urwiskiem, i to wszystko. A do tego chłopak wcale nie chce uwierzyć, że to kości jego ojca. Niewykłuczone, że ma rację. Jak mówię, dużo o tym myślałem.

Weźmy tę sprawę z głową. Zaraz po znalezieniu kości zakładaliśmy, że denat został pozbawiony życia przez ucięcie głowy. - Mungan cmoknął językiem i ciachnął powietrze swoją wielką dłonią. - Może tak było. A może odcięto mu głowę po śmierci, aby uniemożliwić identyfikację. Wie pan, jak ważne są w dochodzeniu zęby i plomby. W latach trzydziestych, zanim rozwinęliśmy naszą nowoczesną technikę laboratoryjną, zęby i plomby odgrywały zasadniczą rolę w sprawach identyfikacji.

Jeżeli moja hipoteza jest słuszna, zabójca był zawodowcem. To się zgadza z innymi faktami. W latach dwudziestych i trzydziestych Droga Nad Urwiskiem była ulubionym miejscem wszelkiego rodzaju zbirów. Była nim zresztą jeszcze do niedawna. W tamtych czasach stanowiła istną wylegarnię przestępców. Znaczną ilość alkoholu rozprowadzanego w

czasach prohibicji w San Francisco przywożono drogą morską właśnie tu, do Lima Bay. Przywożono także inne rzeczy: narkotyki na przykład, a także kobiety z Meksyku i Panamy. Słyszał pan kiedy o „Gospodzie Pod Czerwonym Koniem”?

- Nie.

- Znajdowała się na wybrzeżu o jakąś milę od miejsca, gdzie wykopano szkielet. Zburzono ją przed paroma laty, kiedy uniemożliwiliśmy jej działalność. Miała ona swoją historię. Najpierw była pensjonatem dla dobrze sytuowanych ludzi z miasta i półwyspu. Później, w latach dwudziestych, przejęli ją przemytnicy rumu. Pełniła trojaką funkcję: w suterenie był skład alkoholu, na parterze bary i sale gier hazardowych, na piętrze kobiety. Wiem o tym tyle dlatego, że właśnie tam w latach trzydziestych spróbowałem pierwszy raz alkoholu. I miałem pierwszą kobietę.

- Młodo pan wygląda na swój wiek.

- Miałem wtedy szesnaście lat. Myślę, że to jedna z przyczyn mego wstąpienia do policji. Chciałem wyłączyć takich drani, jak Lempi, z obiegu. Lempi był w latach dwudziestych szefem tego zbójckiego interesu. Znałem go osobiście, ale prawo dobrało się do niego, zanim dorosłem. Zamknięto go za wykroczenie przeciwko ustawie o podatku dochodowym w 1932. W kilka lat później umarł w Alcatraz. Razem z nim poszło siedzieć kilku rewolwerowców z jego obstawy.

Znałem tych chłopaków, rozumie pan, i właśnie do tego zmierzam. Wiedziałem, na co ich było stać. Zabijali dla pieniędzy i dlatego, że lubili zabijać. Chwalili się na prawo i lewo, że nikt ich nie śmie tknąć. Dopiero wkroczenie władz federalnych zdołało przykrócić działalność Lempiego. A tymczasem wielu ludzi zdążyło utracić życie. Nasz Pan Nieboszczyk mógł być właśnie jednym z nich.

- Ale mówi pan, że Lempi i jego chłopaki poszli za kraty w trzydziestym drugim. Nasz został zabity w trzydziestym szóstym.

- Nie wiemy tego na pewno. Wyciągnęliśmy ten wniosek na podstawie słów doktora Dineena, ale nie mamy żadnych konkretnych dowodów na jego poparcie. Doktor nam

przyznaje, że biorąc pod uwagę skład chemiczny tutejszej gleby, można ustalić datę śmierci z dokładnością plus minus pięciu lat. Pan Nieboszczyk mógł więc zostać załatwiony już w 1931 roku. Powiadam: mógł.

- Albo dopiero w 1941?

- Tak jest. Więc sam pan widzi, że niewiele mamy w tej sprawie.

- A mogę zobaczyć to, co macie?

- Czemu nie?

Mungan wszedł do pokoju w głębi i wrócił taszcząc metalową skrzynkę wielkości kuferka z wyprawą. Postawił na biurku, otworzył kluczem, podniósł wieko. Zawartość leżała w niej bezładnie jak drewno na opał. Tylko kręgi były nanizane na kawałek drutu i leżały zwinięte jak szkielet węża. Mungan pokazał mi miejsce, w którym kręg szyjny został odcięty ostrym narzędziem.

Większe kości były oznaczone karteczkami z napisami: „lewa kość udowa”, „lewa strzałka” itd. Mungan wziął jedną z nich, ciężką, długości około 30 cm, z napisem „prawa kość ramieniowa”.

- To jest prawa kość ramieniowa - rzekł tonem wykładowcy. - Niech pan podejdzie ze mną do okna, chcę panu coś pokazać..

Przytrzymał kość pod światło. Tuż u jej końca dostrzegłem cienką szczelinę wypełnioną i otoczoną warstewką wapnia.

- Złamanie? - zapytałem.

- Prawdopodobnie. Złamanie zestawione, jedyny znak szczególny w całym szkielecie. Dineen powiada, że ta kość została zestawiona fachowo przez lekarza. Otóż gdybyśmy zdołali go znaleźć, mielibyśmy odpowiedź na niektóre z pytań, więc jeśli ma pan jakiś pomysł... - Umilkł, ale nie spuszczał ze mnie twardego spojrzenia.

- Muszę zatelefonować.

- Służę swoim aparatem.

- Płatny automat bardziej mi odpowiada.

- Jak pan woli. Jest w hotelu, po drugiej stronie ulicy.

Znalazłem kabinę telefoniczną w głębi obskurnego hallu hotelowego i zamówiłem rozmowę z Santa Teresa. Sekretarka

połączyła mnie z Sable'em.

- Mówi Archer, szef jednoosobowej ekipy poszukiwawczej - powiedziałem. - Jestem w Luna Bay.

- Gdzie?

- W Luna Bay. To małe miasteczko na wybrzeżu, na południe od San Francisco. Mam dla ciebie parę rzeczy: kości trupa i żywego chłopca. Zacznijmy od kości.

- Kości?

- Kości. Zostały przypadkiem znalezione jakieś pół roku temu i są w tutejszym komisariacie. Nie zidentyfikowane, ale istnieją wszelkie szanse, że ten człowiek został zamordowany przed dwudziestu dwu laty.

W słuchawce panowała cisza.

- Słyszałeś, Sable? Prawdopodobnie został zamordowany.

- Słyszałem. Ale mówisz, że szczątki są nie zidentyfikowane.

- Dlatego właśnie chcę, żebyś mi pomógł. Lepiej sobie to zapisz. Prawa kość ramieniowa, tuż przy łokciu, była złamana. Złamanie zestawiał najprawdopodobniej jakiś lekarz. Chciałbym, żebyś sprawdził, czy Tony Galton miał kiedyś złamaną prawą rękę. Jeżeli tak, kto mu ją zestawiał. Mógł to być Howell i wtedy mamy sprawę załatwioną. Zadzwońię do ciebie za kwadrans.

- Czekaj. Wspomniałeś o jakimś chłopcu. Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- To jeszcze zobaczymy. Twierdzi, że jest synem zmarłego.

- Synem Toniego Galtona?

- Tak, ale nie jest tego pewien. Przyjechał tu z Michigan w nadziei odszukania ojca.

- A według ciebie jest synem Toniego?

- Nie postawiłbym na to moich oszczędności. Ale i nie zakładałbym się, że nie jest. Jest bardzo podobny do Toniego. A z drugiej strony jego historyjka brzmi, słabiotko.

- A co on mówi?

- To za, długie i zbyt skomplikowane na telefon. Wychował się w sierocińcu, studiował pod przybranym nazwiskiem, wreszcie przyjechał tu przed miesiącem, żeby się przekonać, kim naprawdę jest. Nie mówię, że akurat tak nie mogło być, ale

trzeba to jeszcze sprawdzić.

- Jaki on jest?

- Inteligentny, dobrze się wyraża, niezłe maniery. Jeżeli oszust, to biegły na swój wiek.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Szybko działał - powiedział Sable.

- Poszczyło mi się. A co u ciebie? Czy Trask wie coś o moim samochodzie?

- Tak. Znaleźli go w San Luis Obispo.

- Rozbity?

- Porzucony, z braku paliwa. Jest w doskonałym stanie, sam widziałem. Trask kazał go umieścić w garażu policji powiatowej.

- A co wiadomo o człowieku, który go ukradł?

- Nic określonego. Tyle że w San Luis prawdopodobnie ukradł drugi. Zameldowano tam o kradzieży samochodu wczoraj późnym popołudniem. Przy okazji, Trask mówi, że ten jaguar mordercy też był skradziony.

- Kto jest jego właścicielem?

- Nie mam pojęcia. Szeryf stara się to ustalić na podstawie numeru silnika.

Odwiesiłem słuchawkę i spędziłem prawie cały kwadrans oczekiwania myśląc o Marian Culligan Matheson i jej szacownym żywocie w Redwood City, który zamierzałem ponownie zakłócić. Potem zadzwoniłem drugi raz do Sable'a. Telefon był zajęty. Spróbowałem znów po dziesięciu minutach i dostałem połączenie.

- Rozmawiałem z doktorem Howellem - rzekł. - Tony złamał prawą rękę jeszcze w szkole podstawowej. Howell sam jej nie zestawiał, ale zna lekarza, który to robił. W każdym bądź razie była to kość ramieniowa.

- Sprawdź, czy nie ma przypadkiem zdjęcia rentgenowskiego, dobrze? Zdjęć rentgenowskich nie przechowuje się zwykle tak długo, ale warto spróbować. To jedyna możliwość przeprowadzenia identyfikacji.

- A zęby?

- Brak czegokolwiek powyżej szyi.
- Minęła spora chwila, nim Sable to pojął.
- O Boże! - I znów po chwili: - Może powinienem rzucić wszystko i przyjechać. Jak uważasz?
- To niezła myśl. Będziesz mógł przy okazji pogadać z chłopcem.
- Chyba tak zrobię. Gdzie on teraz jest?
- W pracy. Pracuje w stacji benzynowej w mieście. Kiedy możesz tu być?

## **Rozdział 12**

Zadzwoiłem do siedziby władz powiatowych w Santa Teresa. Po chwili udało mi się dostać do telefonu szeryfa Traska. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

- O co chodzi?
  - Gordon Sable powiedział mi przed chwilą, że doszliście, że jaguar z tej sprawy Culligana był kradziony.
  - Guzik nam to dało. Ten samochód został skradziony w San Francisco przedwczoraj wieczorem. Złodziej zmienił tablice rejestracyjne.
  - A kto jest właścicielem?
  - Jeden facet z San Francisco. Właśnie myślę, czy nie wysłać kogoś, żeby z nim porozmawiał. O ile mi wiadomo, nie doniósł o kradzieży.
  - To wygląda podejrzanie. Jestem koło San Francisco, w Luna Bay. Chce pan, żebym się facetowi przyjrzał?
  - Byłbym bardzo zobowiązany. Nie mam akurat nikogo wolnego. On się nazywa Roy Lemberg. Mieszka w hotelu „Sussex Arms”.
- W godzinę później wjechałem do garażu pod Union Square. Bolling pożegnał się ze mną u wjazdu.
- Powodzenia w dochodzeniu.
  - Powodzenia w twórczości poetyckiej. I dziękuję.
- „Sussex Arms” był podobnym do mego hotelikiem przy bocznej uliczce. Stał o kilka przecznic bliżej ulicy Market i był o

wiele bardziej zniszczony. Recepcjonista miał duże, smutne oczy i układne maniery, jakby już przeszedł przez wszystkie życiowe wyżymaczki.

Powiedział mi, że pan Lemberg jest prawdopodobnie w pracy.

- A gdzie pracuje?

- Jest jakoby sprzedawcą samochodów.

- Jakoby?

- Bo mu się za dobrze nie powodzi. Jest po prostu na procencie u handlarza używanych wozów. A wiem stąd, że chciał sprzedać jeden mnie. - Zachichotał, jakby posiadał tajemnicę lepszego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce.

- Czy on tu długo mieszka?

- Kilka tygodni. Czy to przypadkiem jakaś sprawa policyjna?

- Chcę się z nim zobaczyć w sprawie osobistej.

- Może pani Lemberg jest w swoim pokoju. Zwykle bywa.

- Niech pan sprawdzi, dobrze? Nazywam się Archer. Chciałbym kupić ich samochód.

Podszedł do centralki i przekazał wiadomość.

- Pani Lemberg mówi, żeby pan wszedł. Pokój trzysta jednaście. Proszę jechać windą.

Podrygująca winda wydzwignęła mnie na trzecie piętro. W końcu korytarza o piaskowej barwie zaślniła jak miraż blondynka w różowym szlafroku. Gdy się zbliżyłem, blask nieco przybladł. Włosy u nasady miała ciemne i lekko rozpaczliwy uśmiech.

Czekała, póki omal nie nadepnałem jej na palce, a wtedy ziewnęła i przeciągnęła się gibko. Jej oddech pachniał snem i winem. Ale figurę miała bardzo dobrą, o bujnych piersiach i cienkiej talii. Zastanawiałem się, czy to jest towar na sprzedaż, czy tylko eksponat wystawowy.

- Pani Lemberg?

- Aha. Co jest z tym jaguarem? Rano ktoś dzwoni i mówi, że został skradziony, a teraz pan przychodzi i chce go kupić.

- A jest skradziony?

- Eee, zwykle androny, jak to z Royem. On zawsze tak. Pan



całkiem poważnie chce kupić ten samochód?

- Pod warunkiem, że macie państwo tytuł własności'-zastrzegłem kapryśnie.

Moja kapryśność osiągnęła pożądany skutek, to znaczy wzbudziła w niej chęć zawarcia owej transakcji.

- Wejdz pan, porozmawiamy. Ten jaguar jest na jego nazwisko, ale w sprawach finansowych decyduje ja.

Wszedłem za nią do małego pokoiku. Przez szpary w zaciągniętych storach zaglądało jak szpieg światło dnia. Zapaliła lampę i machnęła ręką niewyraźnie w stronę krzesła. Na oparciu wisiała męska koszula. Obok na podłodze stał na wpół opróżniony półgalonowy baniak muszkatela.

- Pan siada, przepraszam za bałagan. Przy całej tej robocie poza domem nie mam kiedy tu posprzątać.

- A co pani robi?

- Jestem modelką. No, niechże pan siada. Ta koszula i tak ma iść do prania.

Usiadłem opierając się o koszulę. Pani Lemberg opadła na łóżko, przyjmując automatycznie kuszącą pozę.

- Myśli pan płacić gotówką?

- Jeżeli kupię.

- Przydałoby się trochę gotówki. Ile chciałby pan dać za ten samochód? Ostrzegam, nie oddam go tanio. To moja jedyna rozrywka. Wyjazdy na wieś. Drzewa i w ogóle. - Sprawiała wrażenie, jakby czuła się zmieszana własnymi słowami. - Co jeszcze wcale nie znaczy, że Roy mnie często wozi. Ostatnio prawie nie widuję tego samochodu. Braciszek Roya go właściwie zagarnął. Roy to mięczak, nie pilnuje swego. Jak na przykład przedwczoraj wieczór.

- A co było przedwczoraj wieczór?

- To samo co zawsze. Przyszedł Tommy, jak to on, strasznie podniecony. Że mu się nadarza nowa okazja doskonałej pracy, co to z nich zawsze guzik wychodzi. Że mu brakuje tylko jednego, samochodu, rozumie pan, a zaraz robi majątek. Więc Roy bez jednego słowa pożyczył mu samochód. Tommy potrafi zrobić z Royem wszystko.

- Dawno to było?

- Chyba przedwczoraj wieczór. Straciłam już rachubę dni i nocy.

- Nie wiedziałem, że Roy ma brata - podszeptałem jej.

- A jakże, ma. - Jej głos brzmiał głucho. -1 będzie go miał na karku, póki ich śmierć nie rozłączy. Gdyby nie ten szczeniak, mieszkalibyśmy nadal w Nevadzie i żyli sobie po królewsku.

- Dlaczego?

- Za dużo gadam. - Ale prześladowający ją pech przyćmił umysł, a kiepskie wino rozwiązało język. - Sąd zgodził się dać mu zwolnienie warunkowe, jeżeli ktoś zechce wziąć za niego odpowiedzialność. A więc wróciliśmy do Kalifornii, żeby stworzyć Tommy'emu dom.

I to ma być ten dom? - pomyślałem. Zrozumiała moje spojrzenie:

- Nie zawsze mieszkaliśmy tutaj. Wzięliśmy na raty śliczny domek w Daly City. Ale Roy zaczął znowu pić i nie wystarczyło nam pieniędzy na spłaty. - Obróciła się na brzuch i podparła brodę ręką. Jej porcelanowo- niebieskie oczy wyglądały w tym świetle jak popękane. - Wcale go za to nie winię - dodała łagodniejszym tonem. - Mając takiego braciszka nawet święty by się rozpił. Roy nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził. Prócz mnie, ale tego można się spodziewać po każdym mężczyźnie.

Wzruszyła mnie ta jej niczym nie zmacona głupota. Wysmukłość biodra i długiego uda, obfitość biustu były jak gdyby przebraniem kryjącym spłoszoną młodzięczość.

- Za co Tommy siedział?

- Pobił faceta i zabrał mu portfel. W portfelu były trzy dolary, a Tommy dostał sześć miesięcy.

- To czyni pięćdziesiąt centów miesięcznie. Geniusz z tego Tommy'ego.

- A żeby pan słyszał, jak on to sam o sobie mówi. Miał siedzieć dłużej, ale podejrzewam, że jest grzeczny, kiedy siedzi pod nadzorem. Gorzej na wolności. - Przekrzywiła głowę i jasne włosy opadły jej na rękę. - Nie wiem, czemu to wszystko panu mówię. Zwykle mówienie należy do mężczyzn. Chyba dlatego, że pan ma taką twarz do zwierzeń.

- Służę nią pani w dalszym ciągu.

- Stokrotne dzięki. Ale pan przyszedł, żeby kupić samochód. Omal nie zapomniałam. Od tych wszystkich zmartwień tracę pamięć. - Jej wzrok ześliznął się i mojej twarzy i pobiegł ku baniakowi z muszkatelem. - Przyznam też gwoli prawdy, że wypłam kilka drinków.

- Zakryła oczy kosmykiem włosów i patrzyła na mnie poprzez ich zasłonę.

Jej zalotność działała na mnie przygnębiająco.

- Kiedy będę mógł obejrzeć jaguara? - zapytałam.

- W każdej chwili. Ale może niech pan lepiej porozmawia z Royem.

- Gdzie go można znaleźć?

- Mnie się pan pyta? Powiem panu prawdę, nie wiem nawet, czy Tommy już oddał ten samochód.

- A dlaczego Roy powiedział, że go ukradziono?

- Nie wiem. Byłam na wpół śpiąca, kiedy wychodził. Nie pytałam go.

Na myśl o śnie ziewnęła. Spuściła głowę i leżała spokojnie. Odgłos ruchu ulicznego przywodził na myśl pochód wrogiej armii. Potem na korytarzu zabrzmiały kroki, które zatrzymały się u drzwi. Jakiś męski głos zapytał cicho:

- Jesteś zajęta, Fran?

Uniosła się na rękach niby bokser, który usłyszał z oddali wyliczanie.

- To ty, kochanie?

- Taa, jesteś zajęta?

- Niespecjalnie. Właż.

Otworzył drzwi, zobaczył mnie i cofnął się, jakby się poczuł intruzem.

- Przepraszam.

W żywych, ciemnych oczach widniała niepewność. Miał trzydzieści parę lat, ale już było w nim to coś nieuchwytnego, lecz zdecydowanego, niby jakaś woń: wyraz człowieka, który stracił punkt zaczepienia i stacza się w dół. Jego ubranie było wyprasowane, ale zbyt dawno nie widziało pralni. Pulchność twarzy nadawała jej bezwładność poćcia tłuszczu, jakby przestała reagować na cokolwiek poza klęskami.

Ta twarz zaciękała mnie. Mężczyzna wyglądał na starszą i łagodniejszą wersję chłopaka, który zrabował mój samochód - chyba że zaczynałem mieć obsesję na punkcie rodzinnych podobieństw. Miał tylko trochę rzadsze i nie tak sprężyste czarne kędziory. Poza tym brutalność w twarzy młodszego brata zastępowała u niego drażliwość.

- Mówiłaś, że nie jesteś zajęta - powiedział do żony.

- Bo nie jestem. Tylko odpoczywam. - Obróciła się na plecy i usiadła. - Ten pan chce kupić jaguara.

- Jaguar nie jest na sprzedaż - Lemberg zamknął za sobą drzwi. - Skąd pan wie, że chcę go sprzedać?

- Ze słyszenia.

- Co jeszcze pan słyszał?

Był bystry. Nie miałem się co łudzić, że da się długo nabierać, więc uderzyłem w czułe miejsce:

- Twój brat jest w tarapatach.

Jego spojrzenie spoczęło na moim ramieniu, potem przesunęło się na dłonie, usta i wreszcie oczy. Sądzę, że w poczuciu zagrożenia chętnie by mnie uderzył. Musiał jednak wiedzieć, że mógłbym go z łatwością przełamać na pół. Mimo to gniew i frustracja ogłupiły go:

- Czy to Schwartz cię przysłał, żeby mi to powiedzieć?

- Kto?

- Nie udawaj głupiego. Otto Schwartz - wybulgotał. - Jeżeli cię przysłał, to i jemu przekaz wiadomość ode mnie. Powiedz, niech zrobi nam wszystkim przysługę i skoczy na łeb do Truckee.

Wstałem. Ręka Lemberga uniosła się instynktownie w górę osłaniając twarz. Gest ten powiedział mi wiele o nim samym i o środowisku, z którego się wywodził.

- Twój brat jest w bardzo ciężkich tarapatach. I ty też. Pojechał wczoraj na Południe, żeby popełnić morderstwo. A ty dostarczyłeś mu samochód.

- Nie miałem pojęcia, co... - Szczęka mu zwiśla i zaraz zamknęła się z kłapnięciem. - Kim ty jesteś?

- Przyjacielem rodziny zamordowanego. Prowadź mnie do Tommy'ego.

- Ja nie wiem, gdzie on jest. Nie ma go w domu. Nie wrócił.
- Czy pan jest z rady opiekuńczej? - spytała kobieta.
- Nie.
- Kim jesteś? - powtórzył Lemberg. - Czego chcesz?
- Twojego brata, Tommy'ego.
- Ja nie wiem, gdzie Tommy. Przysięgam.
- Co Otto Schwartz ma z wami wspólnego?
- Nie wiem.
- Sam wymieniłeś to nazwisko. Czy to Schwartz najął Tommy'ego do zamordowania Culligana?
- Kogo? - spytała kobieta.
- Petera Culligana. Zna go pani?
- Nie - odparł Lemberg za nią. — Nie znamy go. Natarłem na niego.
- Kłamiesz, Lemberg. Radzę ci, przestań się stawiać i powiedz, co wiesz. Nie tylko Tommy jest w tarapatkach. Ty jesteś współnikiem wszystkich jego przestępstw.
- Zaczął się cofać, póki nie dotknął łydkami łóżka. Spojrzał wówczas na żonę, jakby była jego ostatnim ratunkiem. Ona zaś patrzyła na mnie.
- Co, mówi pan, Tommy zrobił?
- Popełnił morderstwo.
- Rany! - Spuściła nogi z łóżka i wstała patrząc na męża. - A ty pożyczyłeś mu samochód.
- Musiałem. To jego samochód. On kupił go na moje nazwisko.
- Ponieważ sam był na warunkowym zwolnieniu? - spytałem. Lemberg nie odpowiedział.
- Kobieta chwyciła go za rękę i potrząsnęła.
- Powiedz temu człowiekowi, gdzie on jest.
- Nie wiem, gdzie on jest. - A potem zwrócił się do mnie: - To szczerą prawdą.
- A co z tym Schwartzem?
- Tommy pracował dla niego, kiedy mieszkaliśmy w Reno. Zawsze go namawiali, żeby wrócił do tej pracy.
- Co to za praca?
- Różne draństwa, co im tylko strzeliło do głowy.

- Włącznie z morderstwem?
- Tommy nigdy nikogo nie zamordował.
- Do wczoraj.
- Uwierzę dopiero, jak się dowiem o tym od niego samego.

Kobieta jęknęła.

- Nie bądź idiotą do końca życia. Co on dla ciebie kiedykolwiek zrobił, Roy?

- Ale jest moim bratem.
- Spodziewasz się od niego wiadomości? - zapytałem.
- Myślę, że się odezwie.
- A dasz mi wtedy znać?
- Oczywiście - skłamał.

Zjechałem windą na dół i położyłem przed recepcjonistą banknot dziesięciodolarowy. Uniósł ospale brew.

- Na co to? Chce pan pokój?

- Dziękuję, nie dziś. To jest świadectwo przynależności do młodszej grupy towarzystwa oczyszczania miasta. Jutro dostanie pan świadectwo grupy średniej.

- Drugą dychę?

- Bystry pan.

- Co mam za to zrobić?

- Zapamiętać gości Lemberga, jeżeli ich będzie miał, i wszystkie rozmowy telefoniczne, zwłaszcza zamiejskowe.

- Zrobi się. - Szybkim ruchem ręki sprzątnął banknot z pola widzenia. - A co z jej gośćmi?

- Dużo ich miewa?

- Jednego po drugim.

- Płaci panu, żeby mogli przychodzić?

- To tylko moja i jej sprawa. Pan z policji?

- Skądże - odparłem, jakby to pytanie było dla mnie obrazą. - Niechaj pan tylko ma oczy i uszy otwarte. Jeśli się powiedzie, może dostanie pan premię.

- Co ma się powieść?

- Sprawy. Wspomnę też o panu w moich pamiętnikach.

- To wspaniale.

- Jak się pan nazywa?

- Jerry Farnsworth.

- Będzie pan rano na dyżurze?
- O której?
- W ogóle.
- Za dopłatą mogę być.
- Dostanie pan piątkę - powiedziałem i wyszedłem.

Na przeciwległym rogu ulicy był sklep z czasopismami. Wszedłem tam, kupiłem „Saturday Review” i przebiłem w okładce dziurkę. Ponad godzinę obserwowałem front hotelu „Sussex Arms”, ufny, że Lemberg nie przeniknie mego literackiego przebrania.

Ale Lemberg nie wyszedł.

## Rozdział 13

Było po piątej, kiedy dotarłem do Redwood City. Pociągi biegły na południe co kilka minut. Powracający z pracy ludzie, jeden w drugiego w kapeluszu, z teczką w rękę i gazetą pod pachą, maszerowali znużeni do oczekujących aut. Policjant kierujący ruchem na rogu koło stacji wyjaśnił mi, jak dojechać do Sherwood Drive.

Była to dzielnica zamieszkała przez młodsze kadry dyrektorskie, wyższa w hierarchii o szczebel od Osiedla Marvista. Domy stały luźniej rozmieszczone i różniły się od siebie w szczegółach architektonicznych. Ogródki współzawodniczyły ze sobą pięknem kwiatów.

Na trawniku przed domem Mathesonów leżał rower. Drzwi otworzył mi mały chłopczyk. Miał czarne oczy matki i krótkie kasztanowe włosy, które sterczały mu na głowie jak widomy przejaw podniecenia.

- Robiłem pompki - oznajmił mi, ciężko dysząc. - Pan chciał się widzieć z moim tatą? Nie ma go, to znaczy jeszcze nie wrócił z pracy.

- A mama?

- Pojechała po niego na stację. Powinni być za jedenaście minut. To właśnie mój wiek.

- Jedenaście minut?

- Jedenaście lat. W zeszłym tygodniu były moje urodziny. Chce pan zobaczyć, jak robię pompki?

- Z przyjemnością.

- Niech pan wejdzie, zaraz panu pokażę.

Wszedłem za nim do salonu, w którym dominował wielki ceglany kominek z podwyższonym paleniskiem. Wszystko było tak nowe i czyste, meble tak pieczołowicie poustawiane, że aż odstręczające. Chłopczyk padł na środek zielonego, ogromnego dywanu.

- Niech pan patrzy.

Robił pompki, póki ręce się pod nim nie załamały. Wstał zziębnięty jak piesek w skwarnej dzień.

- Teraz, jak się nauczyłem, mógłbym robić pompki choćby całą noc.

- Straciłbyś wszystkie siły.

- Gdzie tam, jestem silny. Pan Steele mówi, że jak na swój wiek jestem bardzo silny. To sprawa koordynacji. Niech pan pomaca moje mięśnie.

Podciągnął rękaw swetra, napiął biceps i ukazał jajowate zgrubienie. Pomacałem je.

- Twardy.

- To od pompek. Jak pan myśli, czy jestem duży na swój wiek, czy przeciętny?

- Powiedziałbym, że dosyć spory.

- Taki jak pan, kiedy pan miał jedenaście lat?

- Mniej więcej.

- Ile ma pan teraz wzrostu?

- Ponad metr osiemdziesiąt.

- A ile pan waży?

- Około osiemdziesięciu pięciu kilo.

- Grał pan kiedyś w futbol?

- Trochę, w szkole średniej.

- Jak pan myśli, będzie ze mnie kiedyś futbolista? - spytał z pragnieniem w głosie.

- Czemu by nie.

- To moja ambicja, zostać futbolistą.

Wypadł na zewnątrz i w mgnieniu oka wrócił z owalną piłką,



którą cisnął we mnie od progu.

- Jestem Y. A. Tittle! - krzyknął.

Schwyciłem piłkę i odparłem:

- A ja Hugh McElhenny.

Bardzo go to rozśmieszyło. Śmiał się tak, że aż upadł; przy okazji zrobił kilka pompek.

- Przestań. Na sam widok ogarnia mnie zmęczenie.

- Ja nigdy nie jestem zmęczony - pochwalił się ledwie zipiąc. - Jak skończę robić pompki, obiegnę dookoła cały kwartał.

- Nie mów takich rzeczy, bo zaraz padnę z wyczerpania.

Na podjeździe zatrzymało się auto. Chłopiec zerwał się na nogi.

- To moi rodzice. Powiem im, że pan tu jest, panie Steele.

- Ja się nazywam Archer. Kto to jest pan Steele?

- Mój trener w lidze juniorów. Chyba pomyliłem pana z nim.

Jego to wcale nie speszyło, ale ja się poczułem zakłopotany. Był to bowiem dowód zaufania, a ja nie wiedziałem, co będę musiał zrobić z jego matką.

Weszła sama. Na mój widok twarz jej się skurczyła i stężała.

- Czego pan chce? Co pan robi z piłką mego syna?

- Trzymam. Rzucił mi ją, więc złapałem.

- My się zaprzyjaźniliśmy - powiedział chłopiec. Ale już się nie śmiał.

- Niech pan zostawi mojego syna w spokoju, słyszy pan? - A potem zwróciła się do chłopca: - James, ojciec jest w garażu. Idź, pomóż mu wnieść zakupy do domu.

I weź ze sobą piłkę.

- Proszę. - Cisnąłem mu piłkę. Niósł ją, jak gdyby była z żelaza. Drzwi się za nim zamknęły. - Miły chłopak.

- Nie wzrusza to pana specjalnie, skoro przychodzi mnie pan napastować. Rozmawiałam dziś rano z policją. Nie muszę rozmawiać z panem.

- Myślę jednak, że pani chce.

- Nie mogę. Mój mąż... on o niczym nie wie.

- To znaczy o czym?

- Błagam. - Podeszła do mnie raptem, ciężko, jakby miała upaść, i chwyciła mnie za rękę. - Ron zaraz tu wejdzie. Chce

mnie pan zmusić, żebym mówiła przy nim?

- Proszę go wyprawić.

- Jak? Muszę mu dać obiad.

- Niech pani powie, że potrzebuje pani czegoś ze sklepu.

- Ależ my właśnie wróciliśmy ze sklepu.

- To niech pani coś wymyśli.

Jej oczy zwięzły się w dwie połyskujące szparki.

- Niech pana diabli. Pan tutaj przyszedł, żeby mi zniszczyć życie. Czy ja na to zasłużyłam?

- Właśnie to mnie interesuje, proszę pani.

- Nie może pan teraz odejść i przyjść później?

- Później będę miał inne sprawy do załatwienia. Zróbmy raz z tym koniec.

- Marzę o tym.

Usłyszeliśmy odgłos otwieranych drzwi kuchennych. Odsunęła się ode mnie. Twarz jej wygładziła się i zrobiła bezwładna jak twarz konającego.

- Niech pan siada - powiedziała. - Niechże pan nie stoi.

Siadłem na brzeżku nadmiernie wypchanej kanapy okrytej lśniąco zieloną brokatową narzutą. Kroki przemierzyły kuchnię i zaszeleścił papier. Zabrzmiał podniesiony męski głos:

- Marian, gdzie jesteś?

- Tutaj - odparła ze ściśniętą krtanią.

W drzwiach ukazał się jej mąż. Matheson był niskim, szczupłym mężczyzną w szarym garniturze i wyglądał o jakieś pięć lat młodziej od swojej żony. Patrzył na mnie zza okularów z właściwą ludziom niskim wojowniczością.

- Nie wiedziałem, że masz gościa - zwrócił się do żony.

- Pan Archer jest mężem Sally Archer. Opowiadałam ci przecież o Sally Archer, Ron. - Mimo braku zrozumienia w jego wzroku, ciągnęła dalej: - Obiecałam posłać jej tort na wieczorne zebranie kółka parafialnego i zapomniałam upiec. Nie wiem, co robić.

- Cóż, będziesz musiała dać sobie spokój.

- Nie mogę. Sally na mnie liczy. Jedź do miasta, Ron, i przywieź mi tort, żeby pan Archer mógł go dostarczyć Sally. Dobrze, Ron?

- Teraz? - zapytał z niechęcią.  
- To przecież na dziś wieczór. Sally czeka.  
- Niech czeka.  
- Ale ja nie mogę na to pozwolić. Chciałbyś, żeby gadali, że odmówiłam swego udziału?  
Rozłożył ręce z rezygnacją.  
- Jaki ma być ten tort?  
- Taki za dwa dolary. Czekoladowy. Znasz tę piekarnię w centrum handlowym?  
- Ale to przecież na końcu miasta.  
- Tort musi być dobry, Ron. Nie chcesz chyba, żebym się wstydziła przed przyjaciółkami.  
W tych ostatnich słowach przejawilo się nieco jej rzeczywistych uczuć. Matheson przeszył mnie wzrokiem i przyjrzał się żonie.  
- Słuchaj, Marian, o co chodzi? Nic ci nie jest?  
- Cóż miałyby mi być? - Zmusiła się do uśmiechu. - No, biegnij grzecznie i przynieś mi ten tort. Weź ze sobą Jimmiego, a jak wrócicie, obiad będzie na stole.  
Matheson wyszedł trzaskając na znak protestu drzwiami. Usłyszałem, jak zapala silnik, i usiadłem.  
- Dobrze go pani wyszkoliła.  
- Wyłączmy z tego, proszę, mego męża. On niczym nie zasłużył na tego rodzaju kłopoty.  
- Czy już wie, że była u pani policja?  
- Nie, ale sąsiedzi mu powiedzą. I wtedy znów będę musiała coś wymyślić. Nienawidzę kłamstw.  
- Więc proszę nie kłamać.  
- I powiedzieć mu, że byłam zamieszana w morderstwo? To byłoby wspaniałe.  
- Które morderstwo ma pani na myśli?  
Otworzyła usta. Jej dłoń uniosła się odruchowo, aby je zakryć. Opuściła rękę z wysiłkiem i stała nieruchomo, jak wartownik na straży domowego ogniska.  
- Culligana? - spytałem. - Czy Johna Browna?  
Dźwięk tego nazwiska zatrzęsł nią jak uderzenie w twarz. Przez chwilę była zbyt wzburzona, aby móc wydobyć z siebie

głos. Potem zebrała siły, wyprostowała się i oświadczyła:

- Nie znam żadnego Johna Browna.

- Mówiła pani, że nienawidzi kłamstwa, a teraz pani kłamie. Pracowała pani u niego zimą 1936 roku. Opiekowała się pani jego dzieckiem i żoną.

Milczałem. Wyjąłem jedną z fotografii Antoniego Galtona i podsunąłem jej pod nos.

- Poznaje go pani?

Kiwnęła głową z rezygnacją.

- Poznają. To pan Brown.

- Pracowała pani u niego?

- No to co? Czy praca u kogoś to przestępstwo?

- Przestępstwo, o jakim mówimy, to morderstwo. Kto go zabił? Culligan?

- Kto mówi, że go ktoś zabił? Zabrał manatki i wyjechał. Z całą rodziną.

- Brown nie wyjechał daleko, zaledwie pół metra pod ziemię. Wykopali go na wiosnę, całego oprócz głowy. Głowy nie znaleziono. Kto mu ją odrąbał?

Ohyda tego postępku zasnuła pokój jak dym, wypełniając dalekie kąty, mącąc blask od okna, przyćmiewając jej oczy. Kobieta poruszyła wargami szukając słów, które by mogły tę ohydę rozwiać.

- Zawrę z panią układ - powiedziałem - którego w miarę możliwości postaram się dochować. Nie chcę sprawiać przykrości pani dziecku. Nie mam nic przeciwko pani i pani mężowi. Podejrzewam, że była pani naocznym świadkiem morderstwa. Może prawo określi to mianem współuczestnictwa...

- Nie. - Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy. - Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

- Może. Nie chcę pani niczego imputować. Jeżeli powie mi pani całą prawdę, wszystko, co pani wie, zrobię, co w mojej mocy, by panią ochronić. Ale musi to być cała prawda i muszę usłyszeć ją teraz. Bardzo wiele od tego właśnie zależy.

- Jakże po tylu latach może cokolwiek od tego zależeć?

- A dlaczego po tylu latach Culligana spotkała śmierć?

Uważam, że te dwa zgony są ze sobą powiązane. Myślę też, że właśnie pani może mi powiedzieć, w jaki sposób.

Jej głębiej ukryta, prymitywniejsza, osobowość wypłynęła na powierzchnię.

- A co ja niby jestem? Kryształowa kula?

- Dość tego kręcenia - powiedziałem ostro. - Mamy tylko kilka minut. Chyba że woli pani mówić o tym przy mężu.

- A jeśli w ogóle nie chcę mówić?

- To policja złoży pani następną wizytę. Zacznie się tu, a skończy w sądzie. Wszyscy na zachód od Gór Skalistych będą mieli okazję przeczytać o tym-w gazetach. Proszę mówić.

- Muszę mieć chwilę do namysłu.

- Już ją pani miała. Kto zamordował Browna?

- Ja nie wiedziałam, że go zamordowano, nie byłam pewna. Culligan nie pozwolił mi pójść do tego domu nazajutrz. Powiedział, że Brownowie wyprowadzili się ze wszystkimi manatkami. Chciał mi nawet dać pieniądze, które jakoby dla mnie zostawili.

- Skąd je wziął?

Po chwili milczenia wybełkotała:

- Ukradł im.

- Czy to on zamordował Browna?

- Nie, to nie Culligan. On nie mógłby się na to zdobyć.

- A kto?

- Był z nim jeszcze ktoś. To na pewno on.

- Jak się nazywał?

- Nie wiem.

- Jak wyglądał?

- Nie pamiętam. Widziałam go tylko raz, i do tego w nocy.

Jej zeznania zaczęły się, robić niejasne i wzbudziły we mnie podejrzenia.

- Jest pani pewna, że ten ktoś naprawdę istniał?

- Oczywiście.

- Niech pani to udowodni.

- Był kryminalistą - powiedziała. - Uciekł z więzienia San Quentin. Należał do tego samego gangu co Culligan.

- Jaki to był gang?

- Nie mam pojęcia. Rozwiązał się na długo przedtem, nim wysłałam za Culligana. Culligan nigdy mi nie opowiadał o swojej gangsterskiej przeszłości. Nie ciekawiło mnie to.

- Wróćmy do tego człowieka, który bryknął z pudła. Musiał mieć jakieś nazwisko. Culligan musiał go przecież jakoś nazywać.

- Właśnie nie mogę sobie przypomnieć jak.

- Niech się pani postara.

Spojrzała w stronę okna. W blednącym świetle jej twarz wydawała się wymizerowana.

- Siłacz. Zdaje się, że się nazywał Siłacz.

- A nazwisko?

- Nie pamiętam. Nie sądzę, by Culligan kiedykolwiek je przy mnie wymieniał.

- Jak on wyglądał?

- Był ogromny, ciemnowłosy. Nie mogłam mu się dobrze przyjrzeć, bo było ciemno.

- Co panią skłania do przypuszczeń, że to właśnie on zamordował Browna?

Odpowiedziała cicho, aby ściany jej nowego domu nie słyszały:

- Słyszałam, jak się kłócili w nocy, w samym środku nocy. Siedzieli na zewnątrz w moim samochodzie i kłócili się o pieniądze. Tamten człowiek... Siłacz... powiedział, że wykończy i Petera, jeżeli Peter nie przystanie na jego warunki. Słyszałam, jak to mówił. Ściany domku, w którym mieszkaliśmy, były cienkie jak papier. Ten Siłacz miał dość przenikliwy głos. Domagał się wszystkich pieniędzy i większej części klejnotów.

Peter twierdził, że to niesprawiedliwie, że to był jego pomysł i że mu się należy połowa. Potrzebne mu były te pieniądze, jak diabli. Zawsze mu były potrzebne pieniądze. Mówił, że kilka zrabowanych rubinów, których nie można spieniężyć, na nic mu się nie przyda. W taki właśnie sposób odgadłam, co zaszło. Bo to właśnie ta mała pani Brown miała te wielkie czerwone klejnoty. Ja myślałam, że to szkło. Ale to były rubiny.

- Co się stało z tymi rubinami?

- Tamten musiał je zabrać. Culligan zadowolił się chyba

częścią pieniędzy. Bo miał przez krótki czas forsy pod dostatkiem.

- Pytała go pani, skąd ją wziął?

- Nie. Bałam się.

- Culligana?

- Nie tyle jego samego... - Chciała mówić dalej, ale słowa uwięzły jej w krtani. Pociągnęła skórę na szyi, jakby chcąc ją uwolnić - ... ile prawdy, tego, że mi powie. Nie chciałam uwierzyć w to, co się stało. Ta kłótnia, którą słyszałam przed naszym domem... usiłowałam sobie wmówić, że jest tylko snem. Kochałam wtedy Petera. Nie mogłam przyjąć do wiadomości mego współdziałania.

- Ma pani na myśli fakt, że nie poszła z tym pani na policję?

- Coś gorszego. To ja sama byłam odpowiedzialna za to wszystko. Żyłam mając to na sumieniu przez ponad dwadzieścia lat. Zawiniłam, ponieważ nie trzymałam języka za zębami. - Obrzuciła mnie nieśmiałym spojrzeniem płonących bólem oczu. - Może i teraz powinnam go trzymać.

- W jaki sposób jest pani odpowiedzialna?

Opuściła głowę jeszcze niżej. Oczy ukryły się pod czarnymi brwiami.

- Powiedziałam Culliganowi o pieniądzach - rzekła. - Pan Brown trzymał je w stalowym sejfie w swoim pokoju. Zobaczyłam, kiedy mi płacił. Były tam chyba tysiące. A ja musiałam pójść i powiedzieć o tym mę... Culliganowi. Bodajbym sobie język odcięła. - Uniosła głowę powoli, jakby dźwigając jakiś ciężar. - Więc teraz pan wie wszystko.

- Czy Brown mówił pani kiedykolwiek, skąd wziął te pieniądze?

- Nie. Zażartował sobie, że je ukradł. Ale on nie należał do takich, co kradną.

- A do jakich?

- Pan Brown był dżentelmenem, przynajmniej z urodzenia. Póki się nie ożenił z tą swoją żoną. Nie wiem, co w niej widział, poza ładną buzią. Była głupia, jeśli mam powiedzieć swoje zdanie. A on był mądry, potrafił pięknie mówić.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Uderzyła ją potworność

zbrodni.

- Boże! Ucieli mu głowę? - Nie mnie pytała. Pytała czarnych wspomnień napływających falą z sutereny jej życia.

- Nie wiemy, czy żywemu, czy umarłemu. Więc pani już nie wróciła do tego domu?

- Nie. Pojechaliśmy do San Francisco.

- Nie wie pani, co stało się z resztą rodziny, żoną i dzieckiem? Pokreśliła głową przecząco.

- Staralam się o nich nie myśleć. Co się z nimi stało?

- Nie wiem na pewno, ale sądzę, że pojechali na zachód. W każdym razie prawdopodobnie uszli z życiem.

- Bogu dzięki chociaż za to. - Próbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Jej oczy były wciąż wpatrzone w pełną winy przeszłość. Patrzyła na ściany saloniku, jakby były przezroczyście. - Pewnie się pan zastanawia, jaki ze mnie człowiek, że mogłam tak zostawić swoich podopiecznych na łasce losu. Niech pan nie myśli, że to mnie nie gryzło. O mało nie zwariowałam tamtej zimy. Budziłam się w środku nocy, słuchałam, jak Culligan oddycha, i pragnęłam, aby przestał. Ale trzymałam się go jeszcze przez pięć lat. A potem się rozwiedliśmy.

- I oto właśnie Culligan przestał oddychać.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Że mogła pani nająć płatnego mordercę, żeby go wykończył. Culligan groził, że narobi pani kłopotu. Ma pani wiele do stracenia. - Sam nie wierzyłem swoim słowom, ale chciałem zobaczyć, jak ona na nie zareaguje.

Uniosła obie dłonie do piersi i ścisnęła je bezlitośnie.

- Ja? Sądzi pan, że mogłabym to zrobić?

- Dla zachowania męża i syna, tak. A czy pani to zrobiła?

- Nie. Na miłość boską, nie.

- To dobrze.

- Czemu pan to mówi? - Jej oczy były przymglone koszmarnymi wspomnieniami.

- Bo chcę, aby pani zachowała to, co posiada.

- Proszę mi nie robić łaski.

- Ja jednak zrobię. Postaram się wyłączyć panią ze sprawy



Culligana. A co do informacji, których mi pani udzieliła, zachowam je wyłącznie na swój prywatny użytek. Byłoby mi łatwiej to zrobić, gdybym...

- Czyli, że chce pan po prostu zapłaty za swój trud, tak?

- Tak, ale nie pieniędzmi. Chcę, żeby mi pani zapłaciła zaufaniem i wszelkimi możliwymi informacjami w tej sprawie.

- Ale ja nic więcej nie wiem. To już wszystko.

- Co się stało z Siłaczem?

- Nie wiem. Musiał gdzieś wyjechać. Nigdy o nim więcej nie słyszałam.

- Culligan nigdy o nim nie wspominał?

- Nie. Naprawdę.

- I pani też nigdy nie poruszała tego tematu?

- Nie. Byłam za wielkim tchórzem.

Przed dom zajechał samochód. Zerwała się i podeszła do okna. Na dworze zrobiło się szarawo. W ogródku po przeciwległej stronie ulicy róże płonęły czerwienią jak węgle. Przetarła knykiem oczy, jak gdyby chciała z nich zetrzeć dawne przeżycia i zacząć żyć uczciwie w uczciwym świecie.

Przez drzwi wpadł do pokoju chłopczyk. Tuż za nim wszedł Matheson z pudłem w rękach.

- No, przywożem ten przeklęty tort. - Wręczył mi pudło. - A więc sprawa kółka parafialnego załatwiona.

- Dziękuję.

- Nie ma o czym mówić - rzekł szorstko i zwrócił się do żony:

- Obiad gotowy? Umieram z głodu.

Stała w odległej części pokoju, odcięta od męża ohydą wspomnień.

- Nie przygotowałam obiadu.

- Nie przygotowałaś? Co to znaczy? Powiedziałaś, że będzie gotowy jak wrócę.

Jakieś ukryte siły szarpały jej twarz rozciągając usta, rysując głębokie linie między brwiami. Nagle łzy zasnuły jej oczy i spłynęły w bruzdy twarzy. Łkając usiadła na podmurówce kominka niby ulicznik na krawężniku.

- Co ci, Marian? Co się stało, dziecino?

- Nie jestem dobrą żoną.

Matheson przemierzył pokój, usiadł koło niej i objął ją ramieniem. Ukryła twarz na jego piersi.

Chłopiec ruszył ku nim, a potem wrócił do mnie.

- Czemu mama płacze?

- Czasem trzeba.

- Ja nigdy nie płaczę - powiedział.

## Rozdział 14

Jechałem z powrotem przez pasmo wzgórz ku gasnącym blaskom na zachodzie. Na drodze, która się wiała w dół do Luna Bay, minąłem staruszkę z jutowym workiem na plecach. Był to jeden z dawnych włóczęgów, którzy wciąż podążają za słońcem jak wędrownie ptaki. Ale ptaki lecą, a ci ludzie idą. Ptaki łączą się w pary i wiją gniazda, a ci starzy ludzie nie mają żadnych gniazd. Odmierzają życie krokami wzdłuż szos.

Zatrzymałem samochód, cofnąłem i dałem staremu tort.

- Dziękuję uprzejmie. - Jego usta wyglądały jak szczelina w zmierzwionym futrze. Włożył tort do worka. Był to lichy dar, więc dałem mu jeszcze dolara.

- Podwieźć pana do miasta?

- Nie, dziękuję uprzejmie. Zapaskudziłbym panu samochód.

Ruszył naprzód długim, powolnym, rozkołysanym krokiem bez celu, zatopiony w marzeniach o beczasowej przestrzeni. Kiedy go wyprzedzałem, nie uniósł zarośniętej twarzy. Był jak ruchoma część krajobrazu na krawędzi światła samochodu.

Zjadłem w podrzędnej garkuchni smażoną rybę z frytkami i poszedłem na podkomisariat. Była ósma według zegara na ścianie nad biurkiem Mungana. Podniósł głowę znad papierów:

- Gdzie pan był? Ten młody Brown pana szukał.

- Chcę się z nim zobaczyć. Nie wie . pan, dokąd poszedł?

- Do doktora Dineena. Oni się przyjaźnią. Brown mówił, że doktor uczy go grać w szachy. Ta gra zawsze była dla mnie trochę za mądra. Ale w takiego na przykład pokera mógłbym zagrać w każdej chwili.

Obszedłem kontuar i zaproponowałem mu coś w rodzaju

pokera.

- Właśnie skończyłem rozpytywać różnych ludzi. Wyszło na jaw parę rzeczy, które powinny pana zainteresować. Twierdzi pan, że znał pan kilku tutejszych zbirów w latach trzydziestych. Czy nazwisko „Culligan” coś panu mówi?

- O, tak. Nazywali go Szczęściarzem. Należał do bandy spod „Czerwonego Konia”.

- A jak się nazywali pozostali?

- Zaraz, zaraz. -Mungan potarł swą masywną szczękę. - Był jeszcze Rossi, Nelson Siłacz, Dearborn Mańkut. .. wszyscy oni to rewolwerowcy Lempiego. Culligan był raczej specem od ciemnych interesów, ale lubił przestawać z rewolwerowcami.

- Nelson Siłacz?

- Ten to był chyba największy drań w całej tej zgrai. Nawet kolesie go się bali. -W oczach Mungana błysnęła iskierka chłopięcego podziwu. - Widziałem, jak kiedyś zrobił z Culligana miazgę. Obaj uderzali do tej samej dziewczyny.

- Do jakiej dziewczyny?

- Jednej z tych, co to mieszkały na piętrze nad „Czerwonym Koniem”. Nie wiem, jak się nazywała. Nelson podobno żył z nią przez pewien czas na kocią łapę.

- Jak on wyglądał? .

- Był wielki, prawie jak ja. Kobiety na niego leciały, więc musiał się im wydawać przystojny. Dla mnie to wcale nie był przystojny. Podły skurczybyk z długą ponurą gębą i wrednymi oczyma. On, Rossi i Dearborn poszli do pudła w tym samym czasie co Lempi.

- Do Alcatraz?

- Do Alcatraz poszedł tylko Lempi, kiedy jego sprawę przejęły władze federalne. Tamci siedzieli za kradzieże. Rabunek przewożonych towarów. Cała trójka poszła do San Quentin.

- I co się później z nimi stało?

- Nie interesowałem się ich losami. Nie pracowałem wówczas w policji. Do czego to wszystko prowadzi?

- Mordercą, którego pan szuka, jest najprawdopodobniej Siłacz - powiedziałem. - Czy komisariat w Redwood City może mieć jego akta?

- Wątpię. Nie słyszano tutaj o nim od ponad dwudziestu pięciu lat. To była sprawa stanowa.

- Więc jego akta powinny być w Sacramento. Mógłby pan poprosić, żeby Redwood City wysłało tam dalekopis?

Mungan rozłożył ręce na biurku i wstał kiwając wolno głową.

- Jeżeli nie ma pan nic poza podejrzeniami, nie wolno panu wykorzystywać kanałów urzędowych do sprawdzania tych podejrzeń.

- Myślałem, że współpracujemy ze sobą.

- Ja współpracuję z panem. Pan ze mną nie. Ja gadam, a pan tylko słucha. I to już w ten sposób trwa od dłuższego czasu.

- Powiedziałem przecież, że zabójcą jest prawdopodobnie Nelson. Czy to mało?

- Samo w sobie nic mi nie daje.

- A mogłoby, gdyby pan zechciał. Niech pan spróbuje dowiedzieć się w Sacramento.

- Skąd pan ma tę informację?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie mogę i już, co?

- Obawiam się, że tak.

Mungan patrzył na mnie z rozczarowaniem. Nie ze zdziwieniem, po prostu z rozczarowaniem. Już, już rodziła się między nami piękna przyjaźń i oto okazałem się jej niegodny.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi.

- Mam nadzieję, że tak. Niechże pan spróbuje zająć się sprawą Nelsona. Rzecz warta zachodu. Mogłoby to panu przynieść trochę rozgłosu.

- Nie zależy mi na rozgłosie.

- Brawo.

- A pan może sobie iść do diabła.

Nie potępiałem go, że się wściekał. Nielatwo po półrocznym zajmowaniu się sprawą patrzeć, jak przychodzi pierwszy lepszy facet i sprząta ją człowiekowi sprzed nosa.

Ale nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby go tak zostawić rozgoryczonego. Co więcej, nie chciałem. Przeszedłem na drugą stronę kontuaru i siadłem na drewnianej ławie pod ścianą. Mungan zajął swoje miejsce za biurkiem i nie patrzył na mnie.

Siedziałem jak na pokucie, a tymczasem duża wskazówka zegara pochłaniała drobniutkie kęsy wieczności.

O ósmej trzydzieści pięć Mungan wstał i odegrał wymyślną komedię, że niby nie wiedział o mojej obecności:

- Pan jeszcze tutaj?

- Czekam na przyjaciela... adwokata z południa. Mówił, że będzie tu o dziewiątej.

- Po co? Żeby pomógł panu w praniu mojego mózgu?

- Nie wiem, czemu się pan złości, Mungan. To duża sprawa, większa, niż się panu zdaje. Żaden z nas w pojedynkę się z nią nie upora.

- Czemu jest taka wielka?

- Przez ludzi, których obejmuje, pieniądze i nazwiska. Z jednej strony mamy gang spod „Czerwonego Konia”, albo to, co z niego zostało, z drugiej jedną z najzamożniejszych i najstarszych rodzin w Kalifornii. Właśnie czekam na adwokata tej rodziny, człowieka nazwiskiem Sable.

- Więc co? Mam paść przed nim na kolana? Ja przed nikim się nie płaszczę, wszystkich traktuję jednakowo.

- Pan Sable może będzie w stanie zidentyfikować te kości.

Mungan nie potrafił ukryć zainteresowania.

- To ten, z którym rozmawiał pan przez telefon?

- Tak.

- A pan pracuje dla niego?

- On mnie zaangażował. Może przywiezie pewne dane medyczne, które pozwolą nam na zidentyfikowanie szczątków.

Mungan zajął się z powrotem papierami. Po chwili powiedział niedbale:

- Jeżeli pracuje pan dla adwokata, to zmienia postać rzeczy. Ma pan takie samo prawo do zachowania tajemnicy jak adwokat. Pan zapewne o tym nie wie, ale ja studiowałem trochę prawo.

- Nie podejrzewałem nawet — skłamałem.

- Ludzie na ogół - rzekł wielkodusznie - to dotyczy nawet policjantów, nie znają wszystkich niuansów prawa.

Jego duma i uczciwość zostały zaspokojone. Zadzwoił do sądu powiatowego i poprosił o sprowadzenie z Sacramento

wyciągu akt Nelsona.

Gordon Sable przyszedł za pięć dziewiąta. Był w brązowym płaszczu, brązowym kapeluszu i żółtych rękawiczkach samochodowych ze świńskiej skóry. Powieki jego szarych oczu były lekko zaczerwienione, a kąciki ust opuszczone-, aż do nozdry biegły od nich zmarszczki, świadczące o zmęczeniu.

- Szybko przyjechałeś - powiedziałem.

- Za szybko jak na mój gust. Udało mi się wyrwać dopiero przed trzecią.

Rozejrzał się po komisariacie, jakby wątpił, czy w ogóle opłacało się wyruszać w podróż. Mungan stał wyczekująco.

- Pan Sable, zastępca szeryfa Mungan.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie taksując się nawzajem wzrokiem.

- Miło mi pana poznać - rzekł Mungan. - Pan Archer powiedział, że ma pan pewne dane medyczne o naszym... o szczątkach, które tu odkopaliśmy na wiosnę.

- Niewykluczone. - Sable spojrzał na mnie z ukosa. - Dużo jeszcze omawialiście szczegółów?

- Tylko ten, i że rodzina jest znaczna. Od tej chwili nie będziemy mogli zachować jej anonimowości.

- Wiem o tym - warknął. - Ale dokonajmy najpierw identyfikacji, jeśli zdołamy. Rozmawiałem przed wyjazdem z lekarzem, który zestawiał złamaną kość. Rzeczywiście zrobił zdjęcie rentgenowskie kości, ale niestety zdjęcie się nie zachowało. Ma jednak opis złamania i podał mi jego... ehm... istotne szczegóły. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni złożony arkusik papieru. - Było to czyste złamanie prawej kości ramieniowej o dwa cale powyżej łokcia. Stało się to przy upadku z konia.

- Zgadza się - rzekł Mungan.

- Możemy obejrzeć szczątki - zwrócił się do niego Sable.

Mungan wszedł do pomieszczenia w głębi.

- Gdzie chłopak? - spytał Sable półgłosem.

- U przyjaciół, grają w szachy. Zaprowadzę cię tam, jak tylko skończymy.

- Antoni był szachistą. Czy naprawdę sądzisz, że to jego syn?

- Nie wiem. Czekam, aż decyzja sama zapadnie.  
- Na podstawie kości?  
- Częściowo. Znalazłem jeszcze jeden dowód. Brown został zidentyfikowany na podstawie jednego ze zdjęć Antoniego Galtona.

- Nie mówiłeś mi o tym przedtem.

- Bo jeszcze nie wiedziałem.

- Kto dokonał identyfikacji?

- Kobieta nazwiskiem Matheson z Redwood City. Jest eks-żoną Culligana i eks-pielęgniarką żony i dziecka Galtona. Zobowiązałem się, że nie włączę jej nazwiska do oficjalnej sprawy, którą prowadzi policja.

- Czy to roztropne? - Głos Sable'a zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie.

Roztropne czy nieroztropne, musi być, jak jest.

Byliśmy bliscy sprzeczki, ale wejście Mungana jej zapobiegło. Kości grzechotały w skrzynce. Mungan dźwignął ją na kontuar i podniósł wieko. Sable spojrzał na szczątki Johna Browna. Twarz miał poważną.

Mungan wyjął prawą kość ramieniową i położył na kontuarze. Następnie podszedł do biurka i wrócił ze stalową miarką. Złamanie znajdowało się dokładnie dwa cale od końca.

Oddech Sable'a był przyspieszony. Tłumiąc podniecenie, rzekł:

- Wygląda na to, że znaleźliśmy Antoniego Galtona. Dlaczego nie ma czaszki? Co z nią zrobiono?

Mungan powiedział mu, co wiedział. Po drodze do Dineena dopowiedziałem mu resztę.

- Muszę pogratulować ci, Archer. Masz wyniki.

- Spadły mi po prostu z nieba. I to jest jedna z rzeczy, które wzbudziły we mnie podejrzenia. Zbyt wiele spraw zbiegło się naraz: morderstwo Culligana, morderstwo Browna-Galtona, pojawienie się syna Browna- Galtona, jeżeli nim jest. Mam nieodparte uczucie, że wszystko zostało z góry zaplanowane. Pamiętaj, że w grę wchodzi gangsterzy. Ci chłopcy bywają czasem bardzo dalekowzroczni i potrafią długo czekać na szmal.

- Szmal?
- Pieniądze Galtonów. Uważam, że zabójstwo Culligana było wynikiem gangowych porachunków. Sądzę, że nie przypadkiem zaczął u ciebie pracować przed trzema miesiącami. Twój dom był dla niego świetną kryjówką, a także miejscem, z którego mógł obserwować rozwój wypadków w rodzinie Galtonów.
- W jakim by to robił celu?
- Jeszcze nie sięgałem myślą tak daleko - odparłem. - Ale jestem prawie pewien, że Culligan przyszedł do ciebie nie z własnej inicjatywy.
- Więc kto go przysłał?
- Oto jest pytanie. - Po krótkiej przerwie zagadnąłem: - A jak się ma twoja żona?
- Źle. Musiałem ją umieścić w lecznicy. Nie mogłem zostawić jej samej.
- Morderstwo Culligana tak na nią wpłynęło?
- Lekarze twierdzą, że mogło spowodować załamanie. Ale już wcześniej miewała zaburzenia psychiczne.
- Jakiego rodzaju?
- Wolałbym o tym nie mówić - rzekł posepnie.

## **Rozdział 15**

Doktor Dineen otworzył nam drzwi ubrany w aksamitną czerwoną bonżurkę, która mi przypominała pluszowe obicia starych wagonów kolejowych. Na jego pomarszczonej twarzy malował się wyraz skupienia. Obrzucił mnie niecierpliwym spojrzeniem:

- O co chodzi?
- Myślę, że zidentyfikowaliśmy tego naszego kościotrupa.
- Naprawdę? Jak?
- Na podstawie złamania kości ramienia. Doktorze Dineen, to jest pan Sable. Pan Sable jest adwokatem reprezentującym rodzinę zmarłego.
- Kto jest tą rodziną?
- Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Antoni Gal- ton. Był



synem pani Galton z Santa Teresa.

- Niesłychane. Widywałem to nazwisko w kronikach towarzyskich. Swego czasu czyniła nie lada spustoszenia w sercach mężczyzn.

- Wyobrażam sobie - odparł Sable. - Teraz to staruszka.

- Wszyscy się starzejemy, prawda? Ale proszę, wejdźcie, panowie.

Odstąpił na bok, żeby nas przepuścić. W przedpokoju zapytałem go:

- Jest u pana Brown?

- Owszem, jest. Zdaje się, że próbował pana znaleźć nieco wcześniej. Obecnie siedzi w mojej kancelarii i duma nad szachownicą. Przyda mu się to. Zamierzam go bowiem pokonać w sześciu ruchach.

- Czy może nam pan poświęcić chwilkę sam na sam, doktorze?

- Jeżeli to jest ważna sprawa, a mniemam, że tak, to proszę.

Zaprowadził nas do stołowego, w którym stały piękne stare mahoniowe meble. Światło z żółknącego kryształowego żyrandola padało na ciemne drewno i srebrną zastawę do herbaty, która stała w geometrycznym porządku na kredensie. Pokój ten przypomniał mi wrażenie, które odniosłem rano: że dom doktora jest enklawą solidnej przeszłości.

Usiadł u szczytu stołu, a nam wskazał miejsca po swoich obu bokach. Sable pochylił się nad rogiem stołu. Wypadki ostatnich dni wyostrzyły mu profil:

- Jakie jest pana zdanie o sylwetce moralnej tego młodego człowieka?

- Przyjmuję go w swoim domu. To powinno panu wystarczyć za odpowiedź.

- Uważa go pan za swojego przyjaciela?

- Tak. Nie zwykłem przyjmować u siebie przygodnych znajomych. W moim wieku nie ma się czasu na ludzi drugiej kategorii.

- Czy to znaczy, że jest człowiekiem kategorii pierwszej?

- Tak by się zdawało. - Uśmiech doktora był powolny, ledwie różniący się od skrzywienia. - Przynajmniej ma na to zadatki.

Trudno wymagać więcej od chłopca, który ma dwadzieścia dwa lata.

- Od jak dawna go pan zna?

- Od urodzenia, jeżeli liczyć to nasze pierwsze spotkanie. Pan Archer pewnie panu mówił, że przyjmowałem go na świat.

- Czy jest pan pewien, że to ten sam chłopiec?

- Nie mam powodu w to wątpić.

- Czy zeznałby pan to pod przysięgą, doktorze?

- Jeśli to konieczne.

- Może okazać się konieczne. Kwestia jego tożsamości jest bardzo ważna. W grę wchodzi znaczne pieniądze.

Stary doktor uśmiechnął się czy też skrzywił.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli nie wywarło to na mnie należytego wrażenia. Pieniądze są w końcu tylko pieniędzmi. Nie sądzę, aby John specjalnie ich pożądał. Prawdę mówiąc, wiadomości, jakie mamy, będą dla niego silnym ciosem. On tu przyjechał w nadziei odnalezienia ojca, żywego.

- Jeśli kwalifikuje się na spadkobiercę - rzekł Sable - powinno to być dla niego pocieszeniem. Nie wie pan, czy jego rodzice byli legalnie poślubieni?

- Tak się składa, że mogę odpowiedzieć na to pytanie twierdząco. John prowadził na własną rękę dochodzenie. Właśnie w ubiegłym tygodniu dowiedział się, że John Brown i Teodora Gavin wzięli we wrześniu 1936 roku ślub cywilny w miejscowości Benicia. To zdążyło, acz w ostatniej chwili, uczynić go ich prawowitym synem.

Sable siedział przez chwilę w milczeniu. Patrzył na Dineena jak prokurator usiłujący ocenić wiarygodność świadka.

- No więc - rzekł stary lekarz - jest pan zadowolony? Nie chciałbym się okazać niegościnnym, ale jestem rannym ptaszkiem i już pora na mnie.

- Jeśli pan pozwoli, doktorze, chciałbym omówić jeszcze parę spraw. Zastanawiam się, na przykład, czemu j est pan tak świetnie obeznany ze sprawami tego chłopca.

- Bo chcę - odparł Dineen krótko.

- A dlaczego?

Doktor spojrział na Sable'a z lekką niechęcią.

- Moje motywy nic pana nie obchodzą, mecenasie. Ten młody człowiek zapukał przed miesiącem do moich drzwi w poszukiwaniu śladów swej rodziny. Zrobiłem naturalnie wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Ma on moralne prawo oczekiwać pomocy i wsparcia u swej rodziny.

- Jeżeli zdoła udowodnić, że do niej należy.

- To się wydaje nie ulegać kwestii. Myślę, że pan bezpodstawnie jest dla niego taki surowy. Nic nie wskazuje na to, żeby chłopiec był oszustem. Ma metrykę urodzenia, na której jest moje nazwisko jako lekarza asystującego przy porodzie. Dlatego właśnie przyszedł do mnie.

- Blankiet metryki urodzenia bardzo łatwo dostać - powiedziałem. - Potem wystarczy go wypełnić, zapłacić i gotowe.

- Owszem, jeśli się jest oszustem i łajdakiem. Oburza mnie, że się to imputuje temu chłopcu.

- Proszę się nie oburzać - rzekł Sable łagodniejszym tonem. - Jako adwokat pani Galton mam obowiązek odnosić się do tych roszczeń sceptycznie.

- John nie występował z żadnymi roszczeniami.

- Pewnie jeszcze nie. Ale zacznij. W grę wchodzi ważne czynniki zarówno ludzkie, jak finansowe. Pani Galton jest słabego zdrowia. Nie mam zamiaru stwarzać sytuacji, w której mogłoby ono jeszcze ucierpieć.

- Nie wierzę, że mamy do czynienia z podobnym przypadkiem. Pytał mnie pan o zdanie, teraz je pan zna. Ale żadna ludzka sytuacja nie jest w całości do przewidzenia, prawda? - Stary doktor pochylił się, aby wstać. Jego naga czaszka zalśniła jak wypolerowany kamień w świetle żyrandola. — Zapewne chcą panowie porozmawiać z Johnem. Powiem mu, że jesteście.

Wyszedł i za chwilę wrócił z chłopcem. John miał na sobie flanelowe spodnie i szary sweter nałożony na rozpiętą pod szyją koszulę. Wyglądał jak niedawny absolwent uniwersytetu, którym jakoby był, ale nie czuł się swobodnie w sytuacji, jaką zastał. Jego oczy wciąż wędrowały od Sable'a do mnie. Dineen stał przy nim w pozie niemal opiekuńczej.

- To jest pan Sable - rzekłem neutralnym tonem. - Pan Sable

jest adwokatem z Santa Teresa i bardzo się tobą interesuje.

Sable podszedł i dziarsko uściśnął mu dłoń.

- Miło mi cię poznać.

- Mnie również. - Szare oczy Johna były równie czujne jak Sable'a. - Podobno pan wie, kto jest moim ojcem.

- Był, chłopcze - powiedziałem. - Zidentyfikowaliśmy te kości niewątpliwie. Należały one do człowieka nazwiskiem Antoni Galton. Wszystko wskazuje, że by twoim ojcem.

- Ale mój ojciec nazywał się John Brown.

- Tak, posługiwał się i tym nazwiskiem. Początkowo był to jego pseudonim literacki. - Spojrzałem na stojącego przy mnie Sable'a. - Możemy chyba uznać, że Galton i Brown to był ten sam człowiek, i że został zamordowany w 1936 roku?

- Tak to wygląda. - Sable położył dłoń na moim ramieniu. - Wolalbym, żebyś zostawił tę sprawę mnie w grę wchodzą zagadnienia prawne.

Zwrócił się do chłopca, który wyglądał, jakby śmierci ojca do niego nie docierał. Doktor objął swojego podopiecznego ramieniem.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, John. Wiem jakie to ma dla ciebie znaczenie.

- Śmieszna rzecz, ale ja się czuję, jakby mnie to wcale nie dotyczyło. Nigdy nie znałem ojca. To są dla mnie tylko słowa o kimś obcym.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - rzekł Sable. - Gdzie-moglibyśmy to zrobić?

- Myślę, że najlepiej w moim pokoju. O czym będziemy rozmawiali?

- O tobie.

Mieszkał w hotelu robotniczym na drugim końcu miasta. Był to zdezelowany drewniany dom stojący wśród innych, które pamiętały lepsze czasy. Gospodyni zagroziła nam drogę przy drzwiach. Była to Portugalka o wielkich piersiach, z kolczykami w uszach i wonnym oddechem. Coś w twarzy chłopca sprawiło, że zapytała:

- Co się stało, Johnny? Masz kłopoty?

- Ależ skąd, pani Gorgello - odparł z wymuszoną swobodą. -

Panowie są moimi przyjaciółmi. Mogę ich poprosić do swego pokoju?

- To twój pokój, płacisz komorne. Właśnie dzisiaj ci go pięknie wysprzątałam. Wchodźcie, panowie - rzekła z miną królowej.

A potem już mniej po królewsku szturchnęła chłopaka pod zebro, gdy ją mijał w korytarzu.

- Rozchmurz ponurą twarz, Johnny. Wyglądasz, jakbyś szedł na ścięcie.

Pokój okazał się małą pustą kłitką na pierwszym piętrze od tyłu. Domyśliłem się, że kiedyś, gdy dom był prywatną rezydencją, musiał to być pokoik służącej. Wydarte kawałki i plamy wśród wyblakłych róż tapety sugerowały długie dzieje upadku.

W pokoju stało żelazne łóżko, nakryte kocem wojskowym, poplamiona komódka z sosnowego drewna, na niej przymglone lustro, w kącie chybotliwa szafa, przy stole kuchenne krzesło. Mimo leżących na stole książek, coś w atmosferze tego pokoju przypominało mi nieżyjącego już Culligana. Być może woń - połączenie niewidocznego brudu z wilgotnym i zastarzałym męskim zapaszkiem.

Przeskoczyłem myślą do wielkopańskiej rezydencji pani Galton. A był to skok ogromny. Zastanawiałem się, czy ten chłopak zdoła owego skoku dokonać.

Stał przy jedynym oknie patrząc na nas jak gdyby z wyzwaniem. Swoją postawą zdawał się mówić, że to jego pokój, i możemy sobie iść, jeśli nam się nie podoba. Uniósł kuchenne krzesło, obrócił oparciem do stołu:

- Proszę siadać. Jeden z panów może usiąść na łóżku.

- Dziękuję, wolę stać - rzekł Sable. - Długo tu jechałem i jeszcze tej nocy muszę wracać.

- Przykro mi, że ze względu na mnie musiał pan sobie zadać tyle trudu - odparł chłopak sztywno.

- Nonsens. To moja praca i nie ma w tym nic osobistego. Mówiono mi, że masz swoją metrykę. Czy mogę ją obejrzeć?

- Proszę bardzo.

Wysunął górną szufladę komody i wyjął z niej złożony

dokument. Sable włożył okulary w rogowej oprawie. Zerknąłem znad jego ramienia. Dokument stwierdzał, że John Brown junior urodził się przy Bluff Road, w powiecie San Mateo, 2 grudnia 1936 r.; ojciec John Brown; matka Teodora Gavin Brown; przy porodzie asystował lekarz, dr George T. Dineen.

Sable podniósł wzrok zdejmując szybkim ruchem okulary jak perorujący polityk:

- Zdajesz sobie sprawę, że ten dokument sam w sobie nic nie znaczy? Każdy może wystąpić o świadectwo urodzenia, jakiegokolwiek świadectwo urodzenia.

- To jest moje świadectwo, proszę pana.

- Widzę, że jest wydane zaledwie w marcu. Gdzie byłeś w marcu?

- Ciągle jeszcze w Ann Arbor. Mieszkałem tam ponad pięć lat.

- Cały czas uczęszczając na uniwersytet? - spytałem.

- Większość czasu. Najpierw, przez półtora roku, byłem w szkole średniej, potem poszedłem na uniwersytet. Dyplom uzyskałem tej wiosny. - Umilkł. Zagryzł pełną dolną wargę. - Przypuszczam, że będzie pan to wszystko sprawdzał, więc z góry powiem, że nie uczęszczałem do szkoły pod własnym nazwiskiem.

- Czemu? Nie znałeś własnego nazwiska?

- Oczywiście znałem. Znałem je od początku. Jeśli panowie chcą, żebym się wdawał w szczegóły, chętnie to wyjaśnię.

- Myślę, że to byłoby bardzo pożądane - rzekł Sable.

Chłopiec wziął ze stołu jedną z książek. Była zatytułowana „Dramat modernistyczny”. Otworzył ją na pustej kartce przed kartą tytułową i pokazał wykonany atramentem podpis: „John Lindsay”.

- To było nazwisko, którym się posługiwałem, John Lindsay. Imię należało oczywiście do mnie. Nazwisko do pana Lindsaya, który przyjął mnie do swego domu.

- Mieszkał w Ann Arbor? - spytał Sable.

- Tak, przy Hill Street numer 1028. - Ton chłopca był lekko ironiczny. - Mieszkałem u niego kilka lat. Nazywał się w pełnym brzmieniu Gabriel R.Lindsay. Był nauczycielem i radcą prawnym szkoły.

- Czy to nie dziwne, że posługiwałeś się jego nazwiskiem?  
- W moich warunkach nie uważałem tego za dziwne. To właśnie te warunki były, mówiąc łagodnie, dziwne, a pan Lindsay był człowiekiem, który się naprawdę zainteresował moją sprawą.

- Twoją sprawą?

Chłopiec uśmiechnął się kwaśno..

- Bo ze mną była ciężka sprawa. Dzięki panu Lindsayowi odbyłem długą drogę w ciągu tych pięciu lat. Przedstawiłem się tragicznie, kiedy się zgłosiłem do tej szkoły - tragicznie pod wielu względami. Byłem po dwóch dniach spędzonych w drodze, nie miałem nawet przyzwoitego ubrania, nic. Naturalnie nie chcieli mnie przyjąć. Nie miałem żadnych świadectw i nie chciałem powiedzieć, jak się nazywam.

- Czemu?

- Bo się śmiertelnie bałem, że mnie odeślą do Ohio i wsadzą do poprawczaka. Z kilkoma chłopakami, którzy uciekli z sierocińca, już tak zrobiono. Poza tym dyrektor mnie nie lubił.

- Dyrektor sierocińca?

- Tak. Nazywał się Merriweather.

- A jak się nazywał sierociniec?

- Cristal Springs. To jest koło Cleveland. Oni nie nazywali tego sierocińcem. Tylko Domem. Co wcale nie znaczy, że była tam domowa atmosfera.

- Mówisz, że to twoja matka cię tam umieściła? - spytałem.

- Jak miałem cztery lata.

- Pamiętasz swoją matkę?

- Oczywiście. Zwłaszcza jej twarz. Była bardzo blada i chuda. Niebieskie oczy. Myślę, że była chora. Paskudnie kaszłała. Głos miała ochryply, bardzo cichy i łagodny. Pamiętam jej ostatnie słowa do mnie: „Twój tatuś też się nazywał John Brown i urodził się w Kalifornii”. Nie wiedziałem, co to jest ta Kalifornia, ani gdzie się znajduje, ale zapamiętałem to słowo. Rozumiecie teraz dlaczego, po latach, przyjechałem właśnie tutaj. - W jego głosie jakby pobrzmiwały wszystkie doznane przeżycia.

Sable pozostał niewzruszony.

- Gdzie ci to powiedziała?

- W kancelarii dyrektora, kiedy mnie tam zostawiała. Obiecała wrócić po mnie, ale nie wróciła. Nie wiem, co się z nią stało.

- Ale zapamiętałeś te słowa, mimo że miałeś tylko cztery lata?

- Byłem bardzo rozgarnięty na swój wiek - odparł rzeczowo. - Jestem rozgarnięty i wcale się tego nie wstydzę. Bardzo mi się to przydało, kiedy starałem się dostać do szkoły średniej w Ann Arbor.

- Czemu wybrałeś właśnie Ann Arbor?

- Bo słyszałem, że tam są dobre szkoły. Nauczyciele z sierocińca to byli straszni ciemniacy. A ja chciałem się uczyć, uczyć. Przeszedłem test u pana Lindsaya, który stwierdził, że zasługuję na to, żeby mnie kształcić, mimo że nie mam żadnych świadectw. Stoczył ogromną walkę, żeby mnie przyjął. A potem drugą, z ludźmi z opieki społecznej. Chcieli mnie oddać do poprawczaka albo znaleźć rodzinę zastępczą. Pan Lindsay przekonał ich, że jego opieka wystarczy, mimo że nie ma żony. Był wdowcem.

- Z tego wynika, że to przyzwoity człowiek - zauważyłem.

- Najprzyzwoitszy w świecie. Któż może wiedzieć lepiej ode mnie. Mieszkałem z nim prawie cztery lata. Palilem w piecu do centralnego, latem kosiłem trawnik, wykonywałem różne prace domowe, żeby mu jakoś odpłacić za żywność i mieszkanie. Ale żywność i mieszkanie to najmniejsze, co mu zawdzięczam. Byłem zwykłym włóczykijem, kiedy się mną zajął. On wy kierował mnie na ludzi.

Umilkł i jego wzrok omijając nas pobiegł gdzieś daleko, daleko. A potem wrócił do mnie.

- Nie powinienem był dziś mówić panu, że nigdy nie miałem ojca. Gabe Lindsay był dla mnie ojcem.

- Chętnie bym go poznał - powiedziałem.

- Aby sprawdzić to, co mówię?

- Niekoniecznie. Nie czuj się urażony, John. Jak mówi pan Sable, w tym nie ma nic osobistego. Naszym obowiązkiem jest poznać fakty.

- Pan Lindsay już ich panu nie dostarczy. Umarł dwa lata



temu w zimie. Był dla mnie dobry do ostatka swoich dni i później. Zostawił mi dość pieniędzy, żebym mógł skończyć studia.

- Ile? - spytał Sable.

- Dwa tysiące. Jeszcze trochę mam.

- Na co umarł?

- Zapalenie płuc. Umarł w szpitalu uniwersyteckim w Ann Arbor. Byłem przy jego śmierci. Może pan to sprawdzić. Następne pytanie.

Była to ironia młodzieńcza, podszyta urazą. Nie zdołał zamaskować nią swoich uczuć. Pomyślałem, że jeśli te uczucia nie są prawdziwe, John nie potrzebuje pieniędzy Galtonów, może zrobić majątek jako aktor.

- Czym się powodowałaś przyjeżdżając tu, do Luna Bay? - zapytał Sable. - To nie mógł być przecież czysty zbieg okoliczności?

- Kto mówi, że był? - W krzyżowym ogniu pytań zaczął się załamywać. - Miałem prawo tu przyjechać. Przecież tu się urodziłem.

- Tak?

- Widział pan przecież moje świadectwo urodzenia.

- Skąd je masz?

- Napisałem do Sacramento. Czy jest w tym coś złego? Podałem datę swego urodzenia, a oni mi powiedzieli, gdzie się urodziłem.

- Skąd to nagłe zainteresowanie miejscem urodzenia?

- Wcale nie takie nagłe. Niech pan zapyta każdego sierotę, jakie to ma dla niego znaczenie. Nagła w tym była tylko myśl, żeby napisać do Sacramento. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

- Skąd znalazłeś datę swego urodzenia?

- Pewnie matka podała ją w sierocińcu. Zawsze dostawałem drugiego grudnia prezent urodzinowy. - Uśmiechnął się kwaśno. - Ciepłą bieliznę zimową.

Sable też się uśmiechnął mimo woli. Pomachał ręką przed twarzą, jakby chciał odegnać panujące w pokoju napięcie.

- Jesteś zadowolony, Archer?

- Jak na razie. Mieliśmy wszyscy ciężki dzień. Może po prostu pójdziemy spać?

- Ja nie mogę. Mam ważną sprawę spadkową jutro o dziesiątej. A przedtem muszę porozmawiać z sędzią. - Nagle zwrócił się do chłopca: - Umiesz prowadzić samochód?

- Nie mam własnego, ale potrafię.

- Pojechałbyś ze mną do Santa Teresa? Teraz zaraz?

- Na stałe?

- Jak wszystko pójdzie dobrze. A sądzę, że pójdzie. Twoja babka będzie bardzo chciała cię zobaczyć.

- Ale pan Turnell liczy na moją pomoc na stacji benzynowej.

- Niech sobie znajdzie kogoś innego - powiedziałem. - Lepiej jedź, John. Czeka cię ogromna zmiana losu, a to jest właśnie jej początek.

- Dają ci dziesięć minut na spakowanie rzeczy - rzekł Sable.

Przez chwilę chłopiec wydawał się oszołomiony. Rozglądał się po nędznym pokoiku, jakby się bardzo niechętnie z nim rozstawał. Może bał się uczynić ten wielki skok.

- No - ponaglał Sable. - Żwawo.

John otrząsnął się z apatii i wyciągnął starą skórzaną walizkę z szafy. Staliśmy i patrzyliśmy, jak pakuje swoje ubogie mienie: ubranie, kilka koszul, skarpetki, przybory do golenia, kilkanaście książek i swoje cenne świadectwo urodzenia.

Zastanawiałem się, czy robimy mu przysługę. Do domu Galtonów pieniądze płynęły nieprzerwanym strumieniem. Ale pieniędzy nigdy nie dostaje się darmo. Jak za wszystko inne, trzeba za nie płacić.

## **Rozdział 16**

Długo jeszcze siedziałem w swoim pokoju w motelu robiąc notatki z opowieści Johna Browna. Pozornie była to opowieść nieprawdopodobna. Tylko wyraźna szczerłość chłopca czyniła ją przekonującą; i jeszcze fakt, że łatwo było ją sprawdzić. W którymś punkcie rozmowy założyłem się sam ze sobą w duchu, że John Brown mówi prawdę. To znaczy, John Galton.

Rano wysłałem te notatki do swojego biura w Hollywood. Potem złożyłem wizytę w komisariacie. Za biurkiem Mungana siedział młody zastępca szeryfa z włosami na jeża.

- Słucham pana?

- Jest tu gdzieś szeryf Mungan?

- Przykro mi, ale ma dziś wolne. Jeżeli pan się nazywa Archer, mam tu dla pana list od niego.

Wyjął z szuflady długą kopertę i podał mi ponad kontuarem. Znalazłem w niej skreślone pośpiesznie na żółtej kartce z notatnika słowa:

*„Z R.C. przedzwoniono mi informację dotyczącą Freda Nelsona. Notowany już w latach dwudziestych w dokach S.F. Umyślne spowodowanie obrażeń ciała. Postępowanie umorzono. Od 1928 goryl Lempiego. W 1930 aresztowany pod zarzutem morderstwa, następnie zwolniony z braku dowodów winy. W 1933 usiłowanie ucieczki i przedłużenie wyroku. Zbiegł w grudniu 1936 roku, dotąd nie ujęty. Mungan”.*

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zadzwoniłem z automatu do „Sussex Arms”, hotelu Roya Lemberga. W słuchawce usłyszałem głos recepcjonisty:

- „Sussex Arms”. Przy telefonie Farnsworth.

- Mówi Archer. Czy jest Lemberg?

- Kto mówi?

- Archer. Dałem panu wczoraj dziesięć dolarów. Lemberg jest?

- Państwo Lemberg wymeldowali się z hotelu.

- Kiedy?

- Wczoraj po południu, zaraz po pana wyjściu.

- Dlaczego nie widziałem, jak wychodzą?

- Może dlatego, że wyszli tylnym wyjściem. Nie zostawili nawet adresu przesyłkowego. Ale przed wyprowadzeniem się Lemberg odbył rozmowę międzymiastową. Z Reno.

- Z kim tam rozmawiał?

- Ze sprzedawcą używanych samochodów, niejakim Hojnym

Joem. Lemberg zdaje się kiedyś u niego pracował.

- Czy to już wszystko?

- Tak jest - odparł Farnsworth. - Myślę, że o to właśnie panu chodziło.

Pojechałem na lotnisko międzynarodowe, oddałem wynajęty samochód i złapałem samolot do Reno. W południe już parkowałem inny wynajęty samochód przed parcelą z wystawionymi na sprzedaż samochodami Hojnego Joego.

Wielka tablica ukazywała uśmiechniętego mężczyznę w typie Świętego Mikołaja, rozrzucającego srebrne dolary. W rogu parceli stał kiosk, a z przodu rząd najnowszych modeli samochodów, osłaniający z pół akra starych gruchotów. W głębi mieściła się wielka szopa z falistej blachy z szyldem: „Lakierowanie nadwozi”.

Pełen zapachu młodzieniec w krawacie z surowej skóry wyskoczył z kiosku, nim jeszcze zdążyłem zatrzymać samochód. Pogłaskał i poklepał zderzak mego samochodu.

- Ładny. Bardzo ładny. Piękny stan, czyściuteńki. Jeśli nie jest obciążony, może go pan zamienić na inny i jeszcze otrzyma dopłatę.

- Wsadziliby mnie do pudła. To wynajęty gruchot.

Młody człowiek przełknął ślinę, wykonał w duchu salto przez plecy i pewnie wyładował na nogach.

- A po co płacić za wynajęcie? U nas może pan za mniejsze pieniądze dostać samochód na własność.

- Pan nie jest przypadkiem Hojnym Joem?

- Pan Culotti jest na zapleczu. Chce pan z nim rozmawiać?

Powiedziałem, że tak. Wskazał mi ręką szopę i wrzasnął:

- Hej, panie Culotti, klient!

Z szopy wyszedł siwowłosy mężczyzna ubrany z tanią elegancją w kremowy garnitur. Twarz miał smagłą i ospowatą, przy czym obie jej połowy niezbyt do siebie pasowały. Podeszedłszy bliżej zobaczyłem, że jedno z jego piwnych oczu jest szklane. Wyglądał na nieustannie zaniepokojonego.

- Pan Culotti?

- Tak, to ja. - Uśmiechnął się do mnie promiennie. - Czym mogę panu służyć? - Mówił z lekkim akcentem

śródziemnomorskim.

- Wczoraj do pana dzwonił człowiek nazwiskiem Lemberg.

- Tak jest, on kiedyś u mnie pracował, chciał znowu. Nici z tego. - Gest rozpostartej dłoni wtrącił Lemberga do kosza na śmieci.

- Czy on jest w Reno? Poszukuję go.

Culotti podłubał w nosie i zrobił mądrą minę na swój zaniepokojony sposób. Uśmiechnął się szeroko i objął mnie ojcowskim ramieniem w pół.

- Niech pan wejdzie, porozmawiamy.

Popchnął mnie lekko w stronę drzwi. Z szopy dochodziły syczące odgłosy i czuć było słodkawy narkotyczny zapach rozpylanej farby. Culotti otworzył drzwi i odstąpił na bok. Mężczyzna w ochronnych okularach, z pistoletem lakierniczym w rękę, odwrócił się od błękitnego samochodu.

Próbowałem właśnie przypomnieć sobie, kto to taki, kiedy dostałem od Culottiego w plecy jak taranem. Zachwiałem się w stronę mężczyzny w okularach. Usłyszałem syk pistoletu w jego dłoni.

Poczułem w oczach piekącą błękitną chmurę. W piekącym, błękitnawym mroku przypomniałem sobie, że recepcjonista Farnsworth nie przypomniał mi o obiecanych pieniądzach. Potem poczułem miękkie uderzenie ołowianką w tył głowy. Zacząłem się staczać z błękitnych zboczy bólu w jamę, która się nagle otworzyła na moje przyjęcie.

Potem była rozmowa.

- Lepiej obmyj mu oczy - rzekł pierwszy grabarz. - Nie chcemy go oślepić.

- A niech oślepnie - odparł drugi grabarz. - Będzie miał nauczkę. Ja dostałem hakiem w oko.

- I dało ci to nauczkę, Ślepy? Rób, co ci mówię.

Słyszałem, jak Culotti sapie, niczym rozjuszony byk.

Splunął, ale nie odpowiedział. Ręce miałem związane na plecach. Twarzą leżałem na betonie. Spróbowałem zamrugać powiekami. Były mocno sklezione.

Lęk przed ślepotą jest najgorszym z lęków. Wpełzł mi na twarz i wdarł się w usta. Chciałem ich błagać, żeby ratowali mi

oczy. Uporczywa jasna plamka gdzieś za oczami, w głębi, zawstydziła mnie i kazała trwać w milczeniu.

Jakiś płyn zbulgotał w blaszance.

- Nie benzyną, ty durny makaroniarzu.

- Tylko mnie tak nie nazywaj, bo...

- Bo co? Jesteś ślepakiem, makaroniarzem, bokserem przerobionym na hamburgera. - Głos był swobodny i niemal beznamiętny. - Masz trochę zwykłej oliwy?

- Ile tylko chcesz, ale w domu.

- To idź i przynieś. Ja popilnuję interesu.

Musiałem na jakiś czas stracić przytomność. Gdy ją odzyskałem, oliwa ciekła mi po policzkach jak łzy. Przypomniał mi się mój przyjaciel Angelo, który wyciskał oliwę z własnych oliwek hodowanych na zboczach góry w dolinie. Mafia zabiła mu ojca.

W polu przymglonego widzenia ukazała mi się twarz, twarz Culottiego. Wisiała nade mną ze sflaczałymi ustami. Okręciłem się na plecy i wyrznąłem go obiema nogami. Zawadziłem piętą o podbródek i gruchnął jak długi. Coś stuknęło i poturlało się po podłodze. Potem Culotti stanął znów nade mną, jednooki, z zakrwawionymi ustami. Kopniakiem w głowę przeniósł mnie znowu w ziemisty mrok.

Było to fatalne popołudnie. Nagle zrobił się z niego fatalny wieczór. Ktoś mnie obudził swoim chrapaniem. Przez chwilę nasłuchiwałem owego chrapania. Gdy wstrzymywałem oddech, ustawało, a gdy wypuszczałem powietrze z płuc, znów się zaczynało. Przez długi czas nie mogłem pojąć, co to znaczy.

Istniało zbyt wiele innych ciekawych rzeczy do zrobienia i przemyślenia. Jasna zionąca plamka znów się pojawiła gdzieś w środku mego mózgu. Poruszyła się, a wraz z nią ruszyły się moje ręce, zaczęły obmacywać twarz. Znudzilo mnie to jednak. Ruiny zawsze mnie nudziły.

Leżałem w pokoju. Pokój miał ściany. W jednej ze ścian było okno. Za oknem wznosiły się okryte śniegiem góry na tle żółtego nieba, które po chwili stało się zielone, a potem błękitne. W pokoju zawisł zmierzch jak błękitny dym.

Usiadłem. Skrzypnęły pode mną sprężyny. Nie zauważony

przeze mnie dotychczas mężczyzna oderwał się od ściany, o którą stał oparty. Opuściłem nogi na podłogę i zwróciłem się do niego twarzą, ostrożnie i powoli, żeby nie stracić równowagi.

Był to krępy młody człowiek o lśniących kędziarach opadających na czoło. Jedną rękę miał na temblaku. Druga ścisnęła rewolwer. Jego zapalczywe oczy i chłodny wylot lufy wzięły namiar na mój mostek.

- Witaj, Tommy - usiłowałem powiedzieć. A wyszło mi: - Hykaj Tony.

Miałem w ustach ciągnące się włókna krwi. Spróbowałem je wypluć. Wywołało to jednak reakcję łańcuchową, która rzuciła mnie z powrotem na łóżko z wymiotnymi skurczami żołądka. Tommy Lemberg stał i przyglądał mi się.

Kiedy się uspokoiłem, powiedział:

- Pan Schwartz chce z tobą pogadać. Chcesz się trochę oporządzić?

- Hje to mogę hjobić? - zapytałem swoim niezrównanym żargonem.

- W końcu korytarza jest łazienka. Możesz chodzić?

- Mogę.

Ale musiałem trzymać się ścian, żeby dojść do łazienki. Tommy Lemberg stał i patrzył, jak myję twarz i płuczę usta. Starałem się nie patrzeć w lustro nad umywalką. W końcu jednak spojrzałem wycierając twarz ręcznikiem. Jeden z przednich zębów miałem wylamany. Nos przypominał ugotowany kartofel.

Zgniewało mnie to. Rzuciłem się na Tommy'ego. Odstąpił w tył. Straciłem równowagę, upadłem na kolana i dostałem kolbą rewolweru w kark. Przeszył mnie tak wielki i tępy ból, że aż się przestraszyłem. Wstałem przytrzymując się umywalki.

Tommy uśmiechał się z podnieceniem.

- Nie rób takich rzeczy. Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Culligana też nie chciałeś skrzywdzić, co? - Mówiłem już lepiej, ale wciąż widziałem niewyraźnie.

- Culligana? A kto to? Nigdy nie słyszałem o kimś takim.

- I nigdy nie byłeś w Santa Teresa?

- Gdzie to jest?

Poprowadził mnie korytarzem, a potem w dół po schodach do dużego ciemnego pokoju. W jego panoramicznych oknach góry odcinały się teraz czernią od mroczniejszego nieba. Rozpoznałem w nich szczyty położone na zachód od Reno. Tommy zapalił światło, które wymazało je z mego pola widzenia. Poruszał się po pokoju, jakby był u siebie.

Przypuszczam, że był to salonik domu Ottona Schwartza, ale przypominał raczej hall hotelowy albo pokój rekreacyjny jakiejś instytucji. Meble stały wokół w bezosobowych grupkach, przykryte plastikiem, aby nic ich nie mogło uszkodzić. Jeden koniec pokoju zajmował antyczny bar i cała ściana butelek. Wzdłuż przeciwległej ściany stała szafa grająca, pianola, ruletka i kilka automatów do gry.

- Możesz sobie usiąść - Tommy wskazał mi rewolwerem jedno z krzeseł.

Usiadłem i zamknąłem oczy, którymi wciąż widziałem niezbyt wyraźnie. Wszystko, na co patrzyłem, miało podwójny zarys. Bałem się, że mam wstrząs mózgu. Bałem się niejednego.

Tommy włączył pianolę. Zaczęła wydzwaniać jakąś melodyjkę o małym hiszpańskim miasteczku. Tommy zrobił kilka tanecznych kroków w jej rytm, cały czas zwrócony do mnie twarzą i z rewolwerem w dłoni. Zupełnie jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Pragnąłem, żeby odłożył ten rewolwer i stworzył mi szansę, ale nigdy by mu to nie przyszło do głowy. Widać było, że ten facet uwielbia trzymać w ręku broń. Trzymał ją na rozmaite sposoby, pozując przed własnym odbiciem w oknie. Zacząłem szkicować w myślach list do członka kongresu zalecający wprowadzenie zakazu produkowania broni na użytek osób cywilnych.

W tej samej chwili do pokoju wszedł pan J. Edgar Hoover. Zapewne umiał czytać cudze myśli, ponieważ rzekł, że popiera mój plan i zamierza go przedstawić prezydentowi. Dotknąłem czoła. Było gorące i suche. Pan Hoover rozpląnął się w powietrzu. Pianola grała wciąż tę samą melodyjkę, można było dostać szału.

Lodowate, zielone oczy mężczyzny, który wszedł potem,



promieniowały chłodem. Jego nos znamionował okrucieństwo, a usta uśmiechały się przez rozciągnięcie w linię poziomą. Musiał mieć pod sześćdziesiątkę, ale był mocno opalony, a przy tym szczupły i zwawy. Miał na sobie lekki kapelusz filcowy i płaszcz.

Podobnie ubrany był człowiek, który szedł krok za nim i przewyższał go o pół głowy. Ten drugi miał tępe, nieprzeniknione oczy i zmasakrowaną twarz, a w niej patologiczną beznamiętność płatnych morderców z dawnych czasów. Gdy jego szef zatrzymał się przede mną, stanął z boku z psią czujnością. Tommy zatrzymał się obok niego jak młody terminator.

- Kiepsko wyglądasz. - Głos Schwartza był też zimny i bardzo cichy, jak u człowieka przywykłego, że się go uważnie słucha. - Jestem Otto Schwartz, jeżeli nie wiesz. Nie mam czasu na rozmowy z byle detektywami. Mam inne sprawy na głowie.

- Jakież to są sprawy? Morderstwo?

Zesztywniał. Zamiast mnie uderzyć, zdjął kapelusz i cisnął go Tommy'emu. Był zupełnie łysy. Wsadził ręce do kieszeni, odchylił się w tył na piętach i spojrzał na mnie z ukosa.

- Zakładałem, że nie wiedziałeś co robisz, kiedy się tu wtrądzaleś. A jak myślisz, co się stanie, jeżeli dalej będziesz namolny i nie przestaniesz kłapać dziobem o morderstwie i tak dalej? - Pokiwał głową z powagą z boku na bok. - Jezioro Tahoe jest bardzo głębokie. Możesz dać w nie nura, i to bez akwalungów, a za to z blokiem cementu u nóg.

- A ty możesz usiąść na krześle elektrycznym, i to bez poduszki, a za to z elektrodami na łysym łbie.

Goryl zrobił krok w moją stronę, nie odrywając psiego wzroku od twarzy Schwartza, i zaczął poruszać lekko wielkimi barkami. Schwartz zaskoczył mnie swoim śmiechem, dosyć płaskim.

- Dzielny z ciebie młody człowiek. Podobasz mi się. Nie chcę, żeby ci się stała jakaś krzywda. Co proponujesz? Trochę pieniędzy i szlus?

- Jakieś morderstwo. Wymorduj wszystkich. Wtedy będziesz największy z ludzi.

- Ja już jestem wielki, nie obawiaj się. - Jego usta nagle ściągnęły się jakoś dziwnie, przypominając pomarszczoną starą ranę. - Nikomu nie pozwalam się obrażać! I nikomu nie pozwalam się okradać.

- Czy Culligan cię okradł? Dlatego kazałeś go zabić?

Schwartz znowu utkwiał we mnie wzrok. W jego oczach były ciemne plamki. Pomyślałem o głębinach jeziora Tahoe i biednym utopionym Archerze z cementowym blokiem u nóg.. Byłem w drażliwym nastroju i starałem się ten nastrój opanować. Tommy Lemberg powiedział:

- Czy mogę coś powiedzieć, panie Schwartz? Wcale nie załatwiłem tego faceta. Gliniarze się mylą. Na pewno upadł na ten nóż i sam się przebił.

- Tak! Kretynie! - Schwartz obrócił całą swoją wstrzymywaną furię przeciwko Tommy'emu. - Idź, powiedz to gliniarzom. Tylko z łaski swojej nie włączaj w tę sprawę mnie.

- Oni mi nie uwierzą - odparł Tommy skamłaco. - Zwałą wszystko na mnie. I to tylko dlatego, że próbowałem się bronić. Przecież on mnie postrzelił. Wyciągnął na mnie rewolwer.

- Milcz! Milcz! - Schwartz przytknął rozcapierzoną dłoń do czubka głowy i zaczął szarpać wyimaginowane włosy. - Czyżby na tym świecie nie było już inteligentnych ludzi? Sami kretyni!

- Ludzie inteligentni nie tknęliby twoich brudnych interesów nawet dziesięciometrową zerdzią.

- Dość już tych obelg.

Kiwnął głową na goryla, który zaczął zdejmować płaszcz.

- Mam go wziąć w obroty, panie Schwartz?

Był to ten sam swobodny, beznamiętny głos, który rozprawiał przedtem z Culottim. Na jego dźwięk uniosłem się z krzesła. Ponieważ miałem akurat pod ręką Schwartza, wyrzuciłem go w brzuch. Zgiął się jak scyzoryk i zwałił na ziemię, jak ryba łapiąc ustami powietrze. Niewiele mi zwykle potrzeba do szczęścia, więc uszczęśliwiło mnie to na pierwszych kilka minut lania, jakie zacząłem dostawać.

Potem widziałem twarz goryla już tylko w czerwonych przeblaskach. Kiedy otoczyła mnie zupełna ciemność, w mojej głowie znów pojawiła się natarczywa jasna plamka. Głos

Schwartz powtarzał wciąż płaskie dowcipy:

- Obiecaj tylko, że zapomnisz o całym zdarzeniu, a wszystko będzie dobrze. Wystarczy mi twoje słowo. Ja zawsze dotrzymuję słowa, a wiem, że ty też. Wystarczy, że wrócisz do L.A. i przestaniesz węszyć, a żadna krzywda cię nie spotka.

Jasna plamka tkwiła jak gwóźdź w moim mózgu. Nie pozwalała mi opuścić pokoju. Przeklinałem ją, ale nie chciała zniknąć. Wypisywała krótkie świetliste uwagi na tle szkarłatnych, huczących ciemności: „To już koniec. Przygotuj się”.

Potem przemieniła się w światło odpływające ode mnie jak światło statku. Popłynąłem ku niemu, ale uniosło się w górę i zawisło na ciemnym niebie nieruchomo jak gwiazda. Puściłem się huczącego pokoju i poleciałem wysoko, hen, ponad czarne góry.

## **Rozdział 17**

Ocknąłem się nazajutrz wczesnym rankiem na urazówce szpitala w Reno. Kiedy już nauczyłem się mówić z zatkanym tamponami nosem i zdrutowaną szczęką, detektywi zaczęli mnie wypytywać, kto zrabował mi portfel. Nie próbowałem nawet odbierać im złudzenia, że padłem ofiarą napadu rabunkowego.

Szkoda było słów, żeby im mówić cokolwiek o Schwartzu. Ponadto Schwartz był mi potrzebny. Myśl o nim pomogła mi przetrwać najcięższe dni, kiedy to raz po raz opadało mnie zwątpienie, czy będę mógł w przyszłości działać. Wszystko miało zamazane kontury. Obrzydły mi zamazane pielęgniarki i zamazani młodzi a pełni zapału lekarze, którzy wciąż pytali, czy mnie nie boli głowa.

Czwartego dnia jednak zacząłem widzieć na tyle dobrze, że mogłem czytać wczorajsze gazety, które społeczni opiekunowie przynosili pacjentom do szpitala. Dowiedziałem się z nich, że na niebie gromadzą się groźne chmury, a na ziemi panuje niezgoda. Specjalna depecha na ostatnich stronach donosiła o

pewnym wydarzeniu jak z bajki, które znalazło szczęśliwe zakończenie, kiedy to dawno zaginiony John Galton powrócił na łono swojej babki, wdowy po potentacie naftowym i kolejowym. Umieszczona obok fotografia ukazywała Johna Galtona w nowej sportowej marynarce i z uśmiechem z rodzaju „świat należy do mnie”.

Było to dla mnie jak ostroga. Pod koniec pierwszego tygodnia zacząłem się już ruszać. Któregoś ranka, po kleiku, przekradłszy się koło dyżurki zdołałem zamówić rozmowę telefoniczną płatną przez abonenta z Santa Teresa. Zanim przełożona pielęgniarek złapała mnie i odprowadziła z powrotem na oddział, zdążyłem powiedzieć Gordonowi Sable, gdzie jestem.

Przyjechał, gdy jadłem na obiad zestaw posiłków dla niemowląt. Pomachał, gdzie trzeba, książeczką czekową. Zanim się opamiętałem, już leżałem w separacie z butelką Old Foreстера, którą mi Sable przywiózł. Siedziałem z nim do późna popijając przez szklaną rurkę whisky i poświstując przez resztkę zębów jak gangster z pierwszych filmów dźwiękowych.

- Musisz sobie założyć koronkę na ten ząb - rzekł Sable pocieszająco. - A także poddać się operacji plastycznej nosa. Jesteś ubezpieczony?

- Nie.

- Obawiam się, że nie mogę obciążyć tym pani Galton. -

A potem przyjrzał mi się jeszcze raz i trochę złagodniał: - Ee tam, chyba mogę. Myślę, że uda mi się ją skłonić, żeby pokryła ten wydatek, mimo że przekroczyłeś instrukcje.

- To bardzo pięknie z twojej i jej strony. - Ale moje słowa nie zabrzmiały ironicznie. Miałem za sobą osiem bardzo ciężkich dni. - Czy ją zupełnie nie obchodzi, kto zamordował jej syna? I co z Culliganem?

- Nie bój się, policja już się zajęła obydwoma sprawami.

- To jest jedna sprawa. Policja siedzi z założonymi rękami. Schwartz ich przekupił.

Sable pokręcił głową.

- Jesteś na fałszywym tropie, Lew.

- Nieprawda. Tommy Lemberg to jego człowiek. Czy już go

aresztowali?

- Tommy znikł. Ale nie przejmuj się tym. Jesteś pełen dobrej woli, ale nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za wszystko i uzdrawiać całego świata. Przynajmniej nie w obecnym stanie.

- Jeszcze tydzień, a stanę na nogi. Nawet prędeż. - Poziom whisky w butelce opadał jak barometr. Byłem pełen burzliwego optymizmu. - A potem dasz mi jeszcze tydzień i będziesz miał całą sprawę jak na dłoni.

- Na pewno, Lew. Ale nie bierz na siebie za wiele obowiązków. Oberwałeś, więc naturalnie jesteś wzburzony.

Siedział wprost pod lampą, ale zarys jego twarzy stawał się coraz mniej wyraźny. Wychyliłem się z łóżka i chwyciłem go za ramię.

- Słuchaj, Sable, nie potrafię tego udowodnić, ale czuję to o tu, w środku. Ten niby Galton to oszust uczestniczący w wielkim spisku, za którym stoi cała organizacja.

- Sądzę, że się mylisz. Długo rozważałem tę jego opowieść. Wszystko w niej gra. Poza tym pani Galton po raz pierwszy od lat czuje się naprawdę szczęśliwa.

- Ja nie.

Wstał i pchnął mnie łagodnie na poduszki. Byłem ciągle słaby jak dziecko.

- Dość się jak na jeden wieczór nagadałeś. Daj już spokój i o nic się nie martw. Pani Galton weźmie wszystkie wydatki na siebie, a jak nie będzie chciała, to ją do tego zmuszę. Zasłużyłeś sobie na jej wdzięczność. Bardzo nam wszystkim przykro, że to się stało.

Uściskał mi rękę i skierował się ku drzwiom.

- Wracasz jeszcze dziś do domu? - spytałem.

- Muszę. Żona jest w kiepskim stanie. A ty się nie. przejmuj. Wkrótce się z tobą skontaktuję. Zostawiam ci trochę pieniędzy w recepcji.

## Rozdział 18

W trzy dni później wyrwałem się ze szpitala i znalazłem na pokładzie samolotu do San Francisco. Z lotniska międzynarodowego udałem się taksówką do hotelu „Sussex Arms”.

W głębi ciemnego hallu za kontuarem zastałem recepcjonistę Farnswortha, który wyglądał, jakby się stamtąd nie ruszał od dwóch tygodni. Czytał magazyn kulturystyczny i nie oderwał od niego wzroku, póki się nie znalazłem tak blisko, żeby móc zobaczyć poślizgnięte białka jego oczu. Nawet wtedy minęło trochę czasu, zanim mnie poznał: bandaż na mojej twarzy był skuteczną maską.

- Życzy pan sobie pokój?

- Nie. Życzę sobie porozmawiać z tobą.

- Ze mną? - Brwi podskoczyły mu do góry, a potem opadły w grymasie skupienia.

- Jestem ci coś winien.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie. Nic mi pan nie jest winien. Wszystko w porządku.

- Następną dychę plus dopłata. To czyni piętnaście. Przepraszam za zwłokę. Ale zatrzymano mnie.

- Bardzo mi przykro. - Wykręcił szyję i spojrzał za siebie, ale nie było tam nic prócz centralki telefonicznej z gniazdkami, która wyglądała jak ściana pustych oczu.

- Niech cię to nie trapi, Farnsworth. To nie była twoja wina.

- Nie. - Przełknął kilka razy ślinę. - Nie moja wina.

Stałem i uśmiechałem się do niego spod bandaża częścią twarzy.

- A co się stało? - zapytał po chwili.

- To długa i smutna historia. Znudziłaby cię.

Wyjąłem z tylnej kieszeni spodni nowiutki skrzypiący portfel i położyłem na kontuarze dwa banknoty, pięć - i dziesięciodolarowy. Siedział i patrzył na te pieniądze.

- Weź - powiedziałem.

Ani drgnął.

- Nie bądź taki nieśmiały. Bierz, to twoje.

- No, to dziękuję.

Powoli i opornie wyciągnął rękę po banknoty. Chwyciłem go lewą dłonią za nadgarstek i przytrzymałem. Drgnął konwulsyjnie, sięgnął pod kontuar i wy dostał spod niego rewolwer.

- Puszczaj.

- Nie ma mowy.

- Będę strzelał! - Ale rewolwer podrygiwał w powietrzu.

Ścisnąłem mu drugi nadgarstek, wykręciłem i rewolwer upadł na dzielący nas kontuar. Był to kaliber 7,8 mm, taka sobie niklowana pukawka dla samobójców. Puściłem jego rękę, wziąłem rewolwer i wymierzyłem w węzeł jego krawata. Stojąc nieruchomo Farnsworth wyglądał jakby się cofał przed bronią. Czy mu się zbliżyły do siebie.

- Błagam. Nie mogłem temu zapobiec.

- Czemu nie mogłeś zapobiec?

- Kazano mi dać panu ten kontakt na Reno.

- Kto ci kazał?

- Roy Lemberg. Nie miałem wyjścia.

- Lemberg nikomu nie rozkazuje. To taki facet, który tylko wypełnia rozkazy.

- Tak, on tylko przekazał mi ten rozkaz.

- Od kogo?

- Od jednego szulera z Nevady, nazwiskiem Schwartz. - Farnsworth zwilżył językiem zsiniałe usta. - Niech pan słucha, chyba nie chce mnie pan zniszczyć. Bukmacheruję trochę na boku, mam taki mały udziałik w grubych zakładach. Gdybym nie robił tego, co mi każą grubsze ryby, byłbym skończony. Niech pan ma nade mną litość.

- Jeśli będziesz ze mną szczery. Czy Lemberg pracuje dla Schwartz?

- On nie. Tylko jego brat.

- Gdzie są teraz Lembergowie?

- O tym nie wiem nic, A Roy wyjechał, tak jak powiedziałem, razem z żoną. Niech pan odłoży ten rewolwer. Jezu. Ja mam nerwicę żołądka.

- Dorobisz się perforacji wrzodu, jak nie zaczniesz gadać.

Dokąd Lembergowie pojechali?

- Chyba do Los Angeles.

- Dokąd do Los Angeles?

- Nie wiem. - Rozłożył ręce. Drżały mu jak suche gałązki na wietrze. - Słowo daję.

- Wiesz co, Farnsworth? - powiedziałem nowym, groźnym głosem, przez zaciśnięte zęby. - Daję ci pięć sekund na odpowiedź.

Obejrzał się znów na centralkę, jakby to było narzędzie egzekucji, i przełknął głośno ślinę.

- Dobra, powiem panu. Są w motelu przy Bayshore, koło Moffett Field. W motelu „Tryton”. Przynajmniej powiedzieli, że tam jadą. Niech pan już odłoży ten rewolwer.

Zanim natężenie jego lęku zdążyło osłabnąć, zapytałem:

- Znasz człowieka, który się nazywa Peter Culligan?

- Znam. Mieszkał tu przez jakiś czas, ponad rok temu.

- Z czego się utrzymywał?

- Grał w konie.

- I z tego żył?

- Jeździł jeszcze trochę na taryfie. Niech pan już odłoży ten rewolwer, co? Powiedziałem przecież, co pan chciał wiedzieć.

- Dokąd Culligan stąd wyjechał?

- Podobno dostał jakąś pracę w Reno. ,

- U, Schwartza?

- Podobno. Mówił, że był kiedyś bandziorem.

Wrzuciłem rewolwer do kieszeni marynarki.

- Hej - powiedział. - To mój rewolwer. Sam go kupiłem.

- Lepiej na tym wyjdiesz, jeśli go nie będziesz miał.

Obejrawszy się od drzwi zobaczyłem, że Farnsworth jest w połowie drogi do centralki. Zamarł w bezruchu. Wróciłem do niego przez hall.

- Jeżeli się okaże, że skłamałeś albo dałeś cynk Lembergom, to ja tu jeszcze wrócę. Zrozumiałeś.

Coś jakby wewnętrzny skurcz przeszedł przez jego ciało od pasa do twarzy przypominającej rybi brzuch.

- Tak. Dobra. Dobra.

Tym razem już się nie obejrzałem. Poszedłem na Union



Square i kupiłem bilet na popołudniowy lot do L.A. Potem wynająłem samochód i pojechałem autostradą Bayshore zostawiając z boku lotnisko międzynarodowe.

Hangary lotniska marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych Moffett Field majaczyły w smogu jak szare lewiatany. Motel „Tryton” stał wśród szop na skraju pasa wyznaczającego kierunek lądowania. Jego zabudowania były łososiowego koloru, wypłowiałe. Jedyne atrakcje motelu były uwidoczniona na tablicy reklamowej: „Pokój 2-osobowy-3 doi.” Odrzutowce brzęczały w powietrzu jak muchy.

Zaparkowałem na żuźlowym podjeździe koło małego jak kurnik biura recepcji. Kobieta, która je prowadziła, miała na sobie sznur sztucznych pereł zabrudzonych od szyi. Powiedziała mi, że państwo Lemberg nie są u niej zarejestrowani.

- Może występują pod panińskim nazwiskiem - zażartowałem i opisałem ich.

- To mi wygląda na tę dziewczynę spod siódemki. Prosiła, żeby jej nie niepokoić, to znaczy w dzień.

- Ona nie weźmie mi tego za złe. Nie mam na nią żadnych zakusów.

Zjeżyła się.

- Jeszcze by tego brakowało. Pan sobie myśli, że co ja tu prowadzę?

Trudno mi było na to odpowiedzieć, więc zapytałem:

- Pod jakim nazwiskiem ona występuje?

- Pan może z policji? Ja nie chcę żadnych kłopotów z policją.

- Miałem wypadek. Ona może mi pomóc znaleźć kierowcę.

- To co innego. - Prawdopodobnie mi nie uwierzyła, ale wolała udać, że wierzy. - Oni się tu zameldowali jako Hamburgowie, państwo Hamburgowie.

- Jest z nią mąż?

- Wyjechał przed tygodniem. Może to i lepiej - dodała tajemniczo.

Zapukałem do zniszczonych drzwi pod zardzewiałą metalową siódemką. Usłyszałem zza nich szuranie stóp. Fran Lemberg zamrugnęła powiekami w blasku dziennego światła. Oczywiście miała

podpuchnięte. Włosy przy skórze ciemniejsze. Jej szlafrok nabierał już patyny brudu.

Przestała mrugać powiekami, kiedy mnie poznała.

- Niech pan stąd idzie.

- Przyszedłem na chwilę. Nie chce pani chyba narobić sobie kłopotu?

Spojrzała poza mnie. Obejrzałem się. Kobieta w brudnym naszyjniku z pereł przyglądała nam się z okna swego biura.

- No dobrze, niech pan wejdzie.

Przepuściła mnie przodem i zatrzasnęła drzwi przed światłem dziennym. W pokoju pachniało winem i dymem, nadpsutymi skórkami pomarańczowymi i kobiecym snem, i jeszcze perfumami, których nie mogłem poznać, być może „Grzechem Pierworodnym”. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do nocnych ciemności, zobaczyłem nieład na meblach i podłodze: części ubrania, pończochy z popuszczanymi oczkami, pantofle, puste butelki, popiół i papierosy, zeschłe resztki hamburgerów i frytek.

Usiadła w pozycji obronnej na skraju nie zaścielonego łóżka. Uprzątnąłem sobie kawałek miejsca na krześle.

- Co się panu stało? - zapytała.

- Miałem małe spotkanie z koleżkami Tommy'ego. Pani mąż je zorganizował.

- Roy?

- Niechże pani nie udaje, przecież pani wtedy z nim była. Sądziłem, że to przyzwoity facet, który chce pomóc swemu bratu, a to tymczasem jeszcze jedno popychłę gangsterów.

- Nie. To nieprawda.

- Bo tak pani powiedział?

- Żyję z nim prawie dziesięć lat, więc powinnam wiedzieć. Kiedyś rzeczywiście pracował w handlu używanymi samochodami u jednego kanciarza w Nevadzie, ale kiedy się dowiedział, jakie facet robi kanty, przestał. On już taki jest.

- Jeżeli ten pracodawca nazywa się Hojny Joe, to trudno nazwać Roya harcerzykiem.

- Wcale nie mówiłam, że jest harcerzykiem. Chce po prostu jakoś żyć.

- Utrudniając życie innym.
- Nie może pan winić Roya za to, że nie chce się podkładać. Szukają go za współudział w zbrodni. A to niesprawiedliwe. Nie można go winić za postęпки brata.
- Lojalna z pani żona - powiedziałem. - Ale dokąd panią ta lojalność zaprowadzi?
- Kto mówi, że ja chcę dokądkolwiek dojść?
- Znam lepsze miejsca od tego.
- Niech pan mi nie mówi. Ja też znam niektóre z nich.
- Dawno Roy wyjechał?
- Prawie dwa tygodnie temu. Ja czasu nie mierzę. Dzięki temu prędzej mi upływa.
- Ile pani ma lat, Fran?
- Nie pana interes. - Po chwili dodała: - Sto dwadzieścia osiem.
- Czy Roy wróci?
- Mówił, że tak. Ale on zawsze w ciężkich chwilach staje po stronie brata. - Smutek zamglił jej oczy, ale zaraz znów odpłynął. - Chyba nie mogę go za to winić. Tym razem chwile są naprawdę ciężkie.
- Tommy jest w Nevadzie - powiedziałem, próbując zrobić jakiś wyłom w skorupie, w którą się schowała.
- Tommy jest w Nevadzie?
- Widziałem go tam. Schwartz wziął go pod swoją opiekę. Roya pewnie też.
- Nie wierzę panu. Roy mówił, że wyjeżdżają z kraju.
- Może z Kalifornii. Na pewno powiedział, że wyjeżdżają z Kalifornii.
- Z kraju - powtórzyła z uporem. - Dlatego właśnie nie mógł mnie zabrać ze sobą.
- Kiwali panią. Po prostu nie chcieli, żeby im pani przeszkadzała. Dlatego siedzi pani teraz w tym lichym burdeliku przy Bayshore. Sprzedaje się pani za hamburgery, podczas gdy oni żyją sobie jak królowie w Nevadzie.
- To kłamstwo! - krzyknęła. - Oni są w Kanadzie!
- Ale się pani daje nabierać.
- Roy ma mnie sprowadzić do siebie, jak tylko stanie na

nogach.

- A więc miała pani od niego wiadomość.

- Tak, miałam. - Jej obwisłe wargi zacisnęły się, ale za późno, żeby powstrzymać te słowa. - Dobra, wyciągnął pan to ze mnie. Ale niczego więcej się pan nie dowie. - Złożyła ręce na swoich na wpół nagich piersiach i spojrzała na mnie ponuro: - Niech pan stąd zjeżdża. Pan nie ma żadnych dowodów przeciwko mnie i nigdy ich pan nie znajdzie.

- To niech mi pani pokaże list Roya.

- Nie ma żadnego listu. Przekazał mi wiadomość ustnie.

- Przez kogo?

- Przez jednego faceta.

- Jakiego faceta?

- Po prostu faceta. Roy kazał mu mnie odszukać.

- Pewnie go przysłał z Nevady.

- Nie. Ten facet przyjechał tu aż z Detroit. Roy z nim rozmawiał w Detroit.

- Czy Roy i Tommy właśnie tam przeszli granicę?

- Chyba tak.

- Dokąd się udali?

- Nie wiem, a gdybym wiedziała, też bym nie powiedziała.

Usiadłem obok niej na łóżku.

- Niech pani posłucha, Fran. Chce pani odzyskać swego męża?

- Ale nie w więziennym kitlu ani na marach.

- Wcale tak nie musi być. Nas obchodzi w pierwszym rzędzie Tommy. Jeżeli Roy odda go w nasze ręce, wyzbędzie się wielu kłopotów. Może mu pani to przekazać?

- Jeżeli do mnie zadzwoni albo da znać inaczej. Ja mogę tylko czekać.

- Ale musi się pani orientować, dokąd mniej więcej się udali.

- Tak, mówili coś o jakimś mieście w Ontario, koło Windsoru.

To był pomysł Tommy'ego.

- Jak się to miasto nazywa?

- Nie powiedzieli mi.

- Czy Tommy był już kiedyś w Kanadzie?

- Nie, ale Peter Culligan...

Zakryła ręką dolną część twarzy i patrzyła na mnie sponad niej. Lęk i strapienie wyjrzały z jej oczu, ale nie na długo. Miała zbyt rozwodnione uczucia, aby mogły długo trwać.

- A więc Tommy znał Culligana – powiedziałem.

Kiwnęła głową.

- Czy miał jakiś osobisty powód, żeby go zabić?

- Nic o tym nie wiem. To byli kumple.

- Kiedy ich pani widziała razem?

- Ubiegłej zimy w San Francisco. Tommy zamierzał bryknąć spod nadzoru policyjnego, a Roy go od tego odmawiał, i właśnie wtedy Peter powiedział im o tym mieście w Kanadzie. Czy to nie ironia losu, że po zabiciu Petera Tommy się właśnie tam ukrywa?

- Czy Tommy przyznał się przy pani, że zabił Culligana?

- Nie, trzeba było słyszeć, jak się rozwodził nad swoją niewinnością! Roy nawet mu uwierzył.

- Ale pani nie?

- Już na drugi dzień po poznaniu go przysięgłam, że nigdy nie będę mu wierzyła. Ale nie wchodźmy w tę sprawę.

- Gdzie jest ta kanadyjska kryjówka?

- Nie wiem. - W jej głosie zaczęła pobrzmiwać nutka hysterii.

- Niechże pan wreszcie zostawi mnie w spokoju.

- Czy da mi pani znać, jak oni się odezwą?

- Może tak, a może nie.

- Jak pani stoi z pieniędzmi?

- Mam forsy jak lodu - odparła. - Co pan myślał? Że siedzę w tym burdelu, bo mi odpowiada jego zaciszna atmosfera?

Wychodząc rzuciłem jej na kolana banknot czterdziestodolarowy. Przed odlotem do Los Angeles zdążyłem jeszcze zadzwonić do szeryfa Traska. Dostarczyłem mu dodatkowych szczegółów, kładąc specjalny nacisk na przypuszczalne powiązania Culligana ze Schwartzem. W trzeźwym świetle dnia pomyślałem, że będzie rozsądniej nie zachowywać Schwartz'a wyłącznie dla siebie.

## Rozdział 19

Rano, po wizycie u dentysty, otworzyłem drzwi swojego biura przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Skrzynka na listy była wypchana kopertami, które zawierały głównie rachunki i okólniki. Były również dwa listy, wysłane w ostatnich dniach z Santa Teresa.

Pierwszy z nich zawierał czek na tysiąc dolarów i krótki list Gordona Sable'a napisany na maszynie', na papierze z nadrukiem firmowym jego biura. W liście Sable donosił, że aczkolwiek fakt śmierci Antoniego Galtona jest smutny, oboje z klientką uważają wynik dochodzenia za wręcz przerastający ich najśmielsze oczekiwania. Sable ufał, że jestem już zdrow i pełen sił, i prosił, abym mu przesłał wszystkie rachunki za leczenie, gdy tylko je dostanę.

Drugi list, od Johna Galtona, zawierał starannie skreślone słowa:

*Drogi Panie Archer!*

*Piszę ten list, aby podziękować Panu za wszelkie trudy, jakie Pan poniósł z mego powodu. Śmierć mego ojca była dla nas wszystkich tutaj bardzo bolesnym ciosem. Na sytuacji, w jakiej się znalazłem, zaciążył tragizm, który będę musiał nauczyć się znosić. Ale jest w niej również szansa dla mnie. Ufam, że się okaże godny otrzymanej spuścizny.*

*Pan Sable opowiedział mi, jak Pan,, wpadł w jaskinię zbójów". Mam nadzieję, że już powrócił Pan do zdrowia, a moja Babcia przyłącza się do tych życzeń. Niech mi Pan wierzy lub nie wierzy, ale to ja ją przekonałem, że powinna Panu przysłać dodatkowy czek w dowód uznania. Oboje zapraszamy Pana, aby nas Pan odwiedził, gdy tylko to będzie możliwe.*

*Bardzo bym chciał z Panem porozmawiać.*

*Z poważaniem John Galton*

Wyglądało mi to na czystą wdzięczność, pozbawioną jakiegokolwiek wyrachowania, póki nie przyszło mi na myśl, że John Galton przypisuje sobie zasługę z tytułu przysłania mi czeku przez Sable'a. Ten list obudził we mnie podejrzenia, które od mojej rozmowy z Sable'em w szpitalu drzemały w moim umyśle. Kimkolwiek John był w istocie, trzeba powiedzieć, że to bystry chłopak i działał szybko. Zastanawiałem się, czego mógł ode mnie chcieć.

Przejrzawszy resztę poczty zadzwoniłem do swego biura kontaktowego. Dziewczyna z centrali zdziwiła się, że jeszcze jestem pośród żywych, i powiedziała, że niejaki doktor Howell stara się ze mną porozumieć. Zadzwoniłem do Santa Teresa pod numer, który zostawił.

Odpowiedział mi dziewczęcy głos:

- Mieszkanie doktora Howella.

- Mówi Lew Archer! Czy to panna Howell? - Próbna koronka, którą akurat tego ranka mi założono, wypychała mi górną wargę powodując seplenienie.

- Tak, proszę pana.

- Pani ojciec prosił, abym się z nim skontaktował.

- Och. Właśnie wybiera się do szpitala. Zobaczę, może uda mi się go złapać.

Po chwili na linii zabrzmiał precyzyjny głos Howella:

- Cieszę się, że pan dzwoni, Archer. Zapewne pan pamięta, że poznaliśmy się podczas krótkiego spotkania u pani Galton. Chciałbym zaprosić pana na lunch.

- Wspaniale. Kiedy i gdzie?

- Kiedy pan tylko zechce... im prędzej, tym lepiej. Nasz klub podmiejski w Santa Teresa byłby dla mnie najdogodniejszym miejscem.

- Ale to dla mnie za daleko jak na lunch.

- Mam na myśli coś więcej niż lunch. — Ściszył głos, jakby się obawiał, że zostanie podsłuchany. - Chciałbym skorzystać z pańskich usług detektywa, o ile jest pan wolny.

- W jakiej sprawie?

- Wolalibyśmy nie mówić o tym przez telefon. Czy mógłby się pan ze mną dzisiaj spotkać?

- Tak. Będę w klubie o pierwszej.
- Człowieku, nie zdąży pan dojechać tu przez trzy godziny.
- Przylecę południowym samolotem.
- To świetnie.

Usłyszałem stuk odkładanej słuchawki i zaraz potem drugi. Ktoś słuchał z drugiego telefonu. Dowiedziałem się, kto to był, gdy tylko wysiadłem w Santa Teresa z samolotu. Przy barierce czekała na mnie młoda dziewczyna o oczach łani i włosach koloru miodu.

- Przypomina mnie pan sobie? Jestem Sheila Howell . Przyszło mi na myśl, że dobrze będzie wyjechać po pana.

- To miło z pani strony.
- Miałam wyższy cel na względzie.

Uśmiechnęła się uroczo. Poszedłem za nią przez zalany słońcem dworzec do jej samochodu.

- Będę z panem szczerą. Podśluchałam pana rozmowę z tatusiem i chciałam porozmawiać z panem o Johnie, zanim on to zrobi. Ojciec ma jak najlepsze zamiary, ale od dziesięciu lat jest wdowcem i ma swoje słabe strony. Nie rozumie nowoczesnego świata.

- A pani, oczywiście, tak?

Zaczerwieniła się leciutko jak brzoskwinia w słońcu.

- Lepiej od tatusia. Studiuję socjologię na uniwersytecie. Teraz już się po prostu nie mówi ludziom, kim mają się interesować. To już sprawa przebrzmiała, jak przysłowiowy zeszłoroczny śnieg. Nawet bardziej. - Kiwnęła główką z emfazą.

- Pierwszy rok socjologii?

Rumieniec na policzkach się pogłębił. Oczy miała szczere, barwy nieba.

- Skąd pan wiedział? W każdym razie przeszłam na drugi. - Jak gdyby fakt ten stanowił różnicę między okresem młodzieńczym a dojrzałością.

- Umiem czytać w cudzych myślach. Pani interesuje się Johnem Galtonem?

Czyste spojrzenie nie ugięło się ani na chwilę.

- Kocham Johna. Myślę, że on mnie też.

- Czy właśnie to chciała mi pani powiedzieć?



- Nie. - Straciła nagle głowę. - Nie to chciałam powiedzieć. Ale to prawda. - Jej oczy pociemniały. - A to, co tatuś myśli, nie jest prawdą. Tatuś jest człowiekiem starej daty, pełnym uprzedzeń do chłopca, który mi się podoba. Wierzy w najstraszniejsze rzeczy, jakie tylko można przeciwko niemu wymyślić, albo przynajmniej udaje.

- Jakie rzeczy, Sheila?

- Nie chcę ich nawet powtarzać. Usłyszy je pan od niego. Ja wiem, po co tatuś pana wezwał. Zdradził się z tym wczoraj wieczorem.

- Po co mnie wezwał?

- Proszę pana - zaprotestowała - niech pan nie mówi do mnie jak do dziecka. Mam wyżej uszu tego tonu. Tatuś nigdy nie mówi do mnie inaczej. On nie zdaje sobie sprawy, że właściwie jestem już dorosła. Zaraz będę miała dziewiętnaście lat.

- No, no - powiedziałem z podziwem.

- Więc dobra, niech pan sobie używa. Może istotnie nie jestem jeszcze zupełnie dojrzała. Ale dostatecznie dojrzała, żeby odróżniać dobrych ludzi od złych.

- Wszyscy popełniamy w tej sprawie pomyłki, bez względu na wiek.

- Ale ja nie mogę się mylić co do Johna. To najmiłszy chłopiec ze wszystkich, jakich znam.

- Ja też go lubię - powiedziałem.

- To bardzo się cieszę. - Jej dłoń dotknęła mego ramienia leciutko, jak ptak, który na chwilę przysiadł i znów poszybował. - John też pana lubi, inaczej bym się panu nie zwierzała.

- Czy zamierzacie się pobrać?

- Jeszcze nie teraz - odparła, jakby moje pytanie świadczyło o poglądach starej daty. - John ma mnóstwo spraw, które chce przedtem załatwić, i oczywiście ja nie mogłabym postąpić wbrew woli ojca.

- A co John chce przedtem załatwić?

- Coś z sobą zrobić - odparła niejasno. - Jest bardzo ambitny. Oczywiście jego największym zadaniem jest odkrycie, kto zabił jego ojca. O niczym innym nie myśli.

- Czy zrobił już coś w tym kierunku?

- Jeszcze nie, ale wiem, że ma zamiar. Nie zdradza mi wszystkich swoich planów. Prawdopodobnie nie umiałabym się w nich połapać. Jest dużo inteligentniejszy ode mnie.

- Cieszę się, że zdaje sobie pani z tego sprawę. Dobrze jest mieć to na względzie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała słabiutkim głosem. Ale wiedziała, co chce powiedzieć: -To nieprawda, co mówi ojciec, że John jest oszustem. Nie może być prawda!

- Skąd ta pewność?

- Stąd. - Dotknęła ręką serca, leciuteńko. - Nie mógłby mi kłamać. A Cassie mówi, że to wykapany ojciec. I ciocia Maria.

- Czy John mówił pani kiedykolwiek o swojej przeszłości?

Spojrzała na mnie z narastającą nieufnością.

- Teraz znów pan zaczyna jak ojciec. Niech mnie pan nie pyta o Johna. To byłoby niesprawiedliwe wobec niego.

- Niech pani pomyśli trochę i o sobie samej - powiedziałem. - Nie sądzę, żeby to było prawdopodobne, ale jeżeli John jest oszustem, czeka panią dużo bólu i kłopotów.

- Wszystko mi jedno, czy nim jest, czy nie! - wykrzyknęła i wybuchnęła płaczem.

Z dworca lotniczego wyszedł młody człowiek w kombinezonie i popatrzył na mnie groźnie. Doprowadziłem ładną dziewczynę do płaczu, a chyba jest jeszcze na świecie jakieś prawo. Przybrałem więc bardzo zgodny z prawem wyraz twarzy. Młody człowiek znikł za drzwiami.

Mój samolot wystartował z rykiem. Ryk z wolna przeszedł w brzęczenie cykady w północnej stronie nieba. Łzy Sheili minęły jak letnia ulewa. Włączyła silnik i powiozła mnie do miasta, bardzo sprawnie, jak szofer głuchoniemy.

John był bardzo szybkim chłopcem.

## Rozdział 20

Przed pozostawieniem mnie w głównej sali klubu Sheila przeprosiła za swój wybuch, jak to nazwała, i wymamrotała coś nieartykułowanego o tym, żebym nie mówił nic tatusiowi.

Odpowiedziałem, że żadne przeprosiny nie są potrzebne, i że nie powiem.

Okna sali wychodziły na pola golfowe. Gracze wyglądali jak kolorowe confetti rozrzucone na torach i murawach. Przypatrywałem się im z pięć minut, zanim wszedł Howell.

Uścisnął mi energicznie dłoń.

- Rad pana widzę, Archer. Myślę, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy od razu poszli zjeść. Zaraz po drugiej mam zebranie komitetu.

Zaprowadził mnie do ogromnej sali jadalnej. Większość stolików była odgradzona linką i pusta. Usiedliśmy przy oknie wychodzącym na osłonięty murem basen, w którym baraszkowało i pluskało się kilkoro młodych ludzi. Kelner odnosił się do Howella z taką uniżonością, jakby doktor był prezesem klubu.

Ponieważ nie wiedziałem nic o tym człowieku, zapytałem go o pierwsze, co mi przyszło na myśl:

- Jaki to komitet?

- Wszystkie komitety są takie same. Trawią całe godziny na podejmowaniu zbiorowych decyzji w sprawach, które każdy z poszczególnych członków potrafiłby rozstrzygnąć niemal bez namysłu. Zamierzam powołać komitet do zwalczania komitetów. - Jego uśmiech był jak gwałtowny rozbłysk. - Tym razem jednak chodzi o komitet Towarzystwa Kardiologicznego. Układamy plan kampanii społecznej na rzecz funduszu Towarzystwa, a ja jestem jego przewodniczącym. Napije się pan czegoś? Ja piję dżin.

- Ja też proszę o dżin.

Zamówił u krzątającego się wokół nas kelnera dwa dżiny.

- Jako lekarz uważam za swój obowiązek popieranie zbawiennych nałogów. Bezpieczniej jest nadużywać alkoholu niż jedzenia. Co pan zje?

Zajrzałem do jadłospisu.

- Jeśli pan lubi skorupiaki - rzekł rozstrzygająco - homar newberski jest łatwy do pogryzienia. Gordon Sable powiedział mi o wypadku, jaki pana spotkał. Jak szczęka?

- Goi się, dziękuję.

- Co właściwie zaszło, o ile wolno spytać?

- To długa opowieść, którą właściwie można streścić tak: Antoni Galton został zabity w celach rabunkowych przez niejakiego Nelsona, kryminalistę, który uciekł z więzienia. Zatem pańskie przypuszczenia były bardzo bliskie prawdy. Ale to jeszcze nie wszystko. Jestem przekonany, że śmierć Antoniego Galtona i Petera Culligana mają z sobą jakiś związek.

Howell pochylił się nad stołem. Jego krótkie, siwe włosy sterczały jak szczecina.

- Jaki związek?

- Właśnie kiedy starałem się ten problem wyjaśnić, złamano mi szczękę. Zadam panu pytanie, doktorze. Jakie wrażenie zrobił na panu John Galton?

- Chciałem zapytać pana o to samo. Ponieważ pan zrobił to pierwszy, ja pierwszy odpowiem. Chłopak sprawia wrażenie szczerego i otwartego. Jest z całą pewnością inteligentny i chyba ujmujący, jeśli na kogoś działa ten typ uroku. Jego bab... pani Galton wydaje się nim oczarowana.

- Nie kwestionuje jego tożsamości?

- Ani trochę, nie kwestionowała jej od początku. Dla Marii chłopiec jest nowym wcieleniem jej syna, Antoniego. Jej towarzyszką, panną Hildreth, odnosi to samo wrażenie. Sam muszę przyznać, że podobieństwo jest uderzające. Ale takie rzeczy są do zaaranżowania, jeśli w grę wchodzi wielkie pieniądze. Przypuszczam, że nie ma takiego człowieka, który by nie miał gdzieś w świecie swego sobowtóra.

- Sugeruje pan, że jest on właśnie takim wynajętym sobowtorem?

- A czy panu nie przyszła na myśl taka możliwość?

- Przyznam, że tak. Uważam, że powinno się tę rzecz zbadać.

- Cieszę się, że pan to powiedział. Będę szczerzy. Kiedy ten chłopak się tu pojawił, pomyślałem, że pan może też należeć do sprzysiężenia. Ale Gordon Sable ręczy za pana, a poza tym dowiadywałem się gdzie indziej. - Przyglądał mi się szarymi oczyma. - W dodatku posiada pan znamiona uczciwości w twarzy,

- Trudno przy ich pomocy dowieść, że się jest uczciwym.

Howell uśmiechnął się lekko i spojrzał w stronę basenu. Ukazała się tam jego córka, Sheila, w kostiumie kąpielowym. Była pięknie zbudowana, ale ten fakt jak gdyby nie sprawiał jej przyjemności. Usiadła sama, blada i zamknięta w sobie, przeżywając cierpienia miłosne. Spoczęło na niej przelotne spojrzenie ojca; jego twarz ogarnęło dziwne odrętwienie.

Kelner przyniósł nam napoje i zamówiliśmy lunch. Kiedy się oddalił, Howell rzekł:

- Najwięcej mnie niepokoją dzieje tego chłopca. Podobno panu pierwszemu je opowiadał. Co pan o nich myśli?

- Przemaglowaliśmy je niezłe z Sable'em. Wyszedł z tego cało. Zanotowałem sobie wszystko, co mówił. Dziś rano, po rozmowie telefonicznej z panem, przejrzałem notatki i nie znalazłem w nich żadnych sprzeczności.

- Ta historia mogła być skrzętnie przygotowana. Niech pan pamięta, że idzie o bardzo wysoką stawkę. Może zaciekawi pana fakt, że Maria nosi się z zamiarem wniesienia poprawki do testamentu na korzyść chłopca.

- Tak szybko?

- Tak szybko. Może nawet już ją wniosła. Gordon Sable nie chciał się na to zgodzić, wezwała więc innego adwokata, żeby sporządził nową wersję testamentu. Maria jest zupełnie szalona... tak długo tłumila swoje uczucia, że teraz już nad nimi nie panuje.

- Czyżby była nieodpowiedzialna?

- W żadnym razie - powiedział spieszenie. - Nie chcę wyolbrzymiać tej sprawy. Przyznaję, że ma pełne prawo robić ze swymi pieniędzmi, co tylko chce. Z drugiej strony nie wolno pozwolić, aby padła ofiarą jakiegoś oszusta.

- Jak wielkie pieniądze wchodzi w grę?

Howell uniósł wzrok nad moją głowę, jakby zobaczył nagle górę złota w dali.

- Nie potrafię określić. Mniej więcej tyle, ile wynosi zadłużenie państwa europejskiego średniej wielkości. Wiem, że Henry zostawił jej studnie naftowe, których wydajność tygodniowa idzie w tysiące dolarów. Ma także setki tysięcy w

papierach wartościowych.

- Komu dostaną się te pieniądze, jeśli nie chłopcu?

- Jest to tajemnica, którą przypadkiem znam. Ale w żadnym razie nie wolno mi jej zdradzić.

- Jest pan ze mną szczerzy - powiedziałem - więc i ja będę z panem szczerzy. Chciałbym wiedzieć, czy jest pan osobiście zainteresowany sprawą tego majątku?

Howell podrapał się w brodę dość gwałtownie, ale poza tym nie zdradził żadnych oznak zmieszania.

- Tak, i to z wielu względów. W swoim pierwszym testamencie pani Galton wyznaczyła mnie egzekutorem. Zapewniam pana jednak, że sprawy osobiste nie mają wpływu na mój osąd. Myślę, że dostatecznie znam swoje motywacje, aby móc to twierdzić.

Pomyślałem, że to wielkie szczęście.

- A niezależnie od pieniędzy, które wchodzi w grę, co pana niepokoi?

- Dzieje tego młodego człowieka. Wygląda na to, że zaczynają się dopiero od szesnastego roku życia. Nie mam sposobu zbadania ich wcześniejszego biegu ani pochodzenia chłopaka.

- Obawiam się, że nie bardzo pana rozumiem. John mówi, że przed szesnastym rokiem życia był w sierocińcu. W Cristal Springs w Ohio.

- Porozumiałem się ze znajomym z Cleveland... kolegą z medycyny. Sierociniec w Cristal Springs spłonął doszczętnie przed trzema laty.

- To jeszcze nie czyni z Johna kłamcy. On mówi, że odszedł stamtąd pięć i pół roku temu.

- Tak, to nie czyni z niego kłamcy. Jednakże sprawia, że jeśli nim jest; nigdy mu nie będziemy mogli tego udowodnić. Archiwa sierocińca przestały istnieć. Personel rozproszył się po świecie.

- Ale dyrektora można znaleźć. Jakże on się nazywa... Merriweather?

- Merriweather zmarł podczas pożaru na atak serca. Wszystko to wskazuje na możliwość... powiedziałbym: prawdopodobieństwo, że John sfabrykował tę część życiorysu

ex post facto. Albo że postarano mu się o nią. On lub jego mocodawcy postarali mu się o bezpieczną przeszłość, bezpieczną, bo nie do sprawdzenia. Ta przeszłość to Cristal Springs, instytucja, która już nie istnieje, której archiwa się nie zachowały. Kto wie, czy John Brown spędził tam choć jeden dzień.

- Musiał pan dużo o tym myśleć.

- To prawda, ale nie powiedziałem panu wszystkiego. Jest jeszcze na przykład kwestia jego wymowy. John twierdzi, że jest Amerykaninem, urodzonym i wychowanym w Stanach Zjednoczonych.

- Czyżby był obcokrajowcem?

- Właśnie. Zawsze interesowałem się różnicami wymowy pomiędzy różnymi krajami angielskiej strefy językowej i tak się składa, że spędziłem pewien czas w centralnej Kanadzie. John wymawia niektóre słowa jak Kanadyjczyk.

- Jest pan pewien swych przypuszczeń?

- To nie są przypuszczenia. To fakt. Zasięgałem w tej sprawie opinii specjalistów.

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni?

- W ciągu ostatnich dwóch dni - odparł. - Nie zamierzałem o tym mówić, ale moja córka, Sheila, jest... ech... zainteresowana tym chłopcem. Jeśli zaś, jak podejrzewam, on się okaże przestępcą... - Howell urwał, nieomal dławiąc się słowami.

Spojrzeliśmy obaj w stronę basenu. Sheila była wciąż sama, siedziała na krawędzi i rozchlapywała nogami wodę. Przez tę krótką chwilę, gdy na nią patrzyłem, dwa razy odwracała głowę w stronę wejścia. Jej szyja i ciało aż zeszytywniały w oczekiwaniu.

Kelner przyniósł zamówione dania i jedliśmy przez kilka minut w milczeniu. Nasza część jadalni z wolna zapełniała się ludźmi w sportowych ubraniach. Wszyscy rozmawiali o golfie. Doktor Howell rozglądał się raz po raz z niechęcią, jakby chcąc dać golfistom do zrozumienia, że zakłócają mu spokój.

- Co pan zamierza zrobić, doktorze?

- Chcę pana zatrudnić. Wiem, że Gordon zrezygnował już z pana usług.

- O ile mi wiadomo, tak. Rozmawiał pan z nim o tym?

- Naturalnie. Uważa tak samo jak ja, że należałoby przeprowadzić dalsze dochodzenie. Niestety, Marianie chce o tym słyszeć, a Gordon, jako jej adwokat, nie może wszcząć postępowania na własną rękę. Ja natomiast mogę.

- Czy omawiał pan to z panią Galton?

- Próbowałem. - Howell się skrzywił. - Nie można przy niej powiedzieć ani słowa na tego świętego młodzianka. Człowiek, mówiąc łagodnie, czuje się bezsilny, ale rozumiem, dlaczego ona wiąże z nim swoje nadzieje. Śmierć Antoniego była dla niej wielkim wstrząsem. Musiała znaleźć w czymś oparcie i znalazła je w domniemanym synu Antoniego, który tylko na to czekał. Być może cała rzecz została w ten właśnie sposób zaplanowana. W każdym bądź razie chwyciła się tego chłopaka, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

- Jakie byłyby konsekwencje, gdybyśmy udowodnili, że on jest oszustem?

- Naturalnie wsadzilibyśmy go za kratki, gdzie jest jego miejsce.

- Myślę o jej stanie zdrowia. Sam mi pan mówił, że każdy poważniejszy wstrząs może ją zabić.

- Tak jest, mówiłem.

- Czy to pana nie niepokoi?

Na jego twarz wystąpiły czerwone plamy.

- Bardzo niepokoi. Ale w życiu obowiązuje jakaś etyka. Nie możemy patrzeć spokojnie na zbrodniczą działalność tylko dlatego, że jej ofiara jest osobą chorą. Im dłużej będziemy na to przymykali oczy, tym gorzej może się to odbić na Marii.

- Zapewne ma pan słuszość. W każdym razie to pan odpowiada za stan zdrowia pani Galton. Chętnie podejmę się prowadzenia dochodzenia. Kiedy mam zacząć?

- Zaraz.

- Prawdopodobnie będę musiał zacząć od wyjazdu do stanu Michigan. To kosztuje.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ile?

- Pięćset.

Howell nawet nie mrugnął. Wyjął książeczkę czekową i



wieczne pióro. Wypisując czek powiedział:

- Byłoby dobrze, gdyby pan porozmawiał najpierw z chłopcem. Jeżeli oczywiście zdoła pan to zrobić bez wzbudzenia podejrzeń.

- Myślę, że zdołam. Dostałem od niego dziś rano zaproszenie.

- Zaproszenie?

- Pisemne zaproszenie do domu Galtonów.

- Swobodnie sobie poczyna z własnością pani Galton. Ma pan może to zaproszenie przy sobie?

Podał mu list. Howell czytał z rosnącym podnieceniem.

- Miałem rację, na Boga!

- O co chodzi?

- Ten marny hipokryta jest Kanadyjczykiem. Niech pan spojrzy. - Położył list na stole i dźgnął w niego palcem. - O tu, na to słowo. To jest brytyjska pisownia obowiązująca do dziś w Kanadzie. On nawet nie jest Amerykaninem. To oszust.

- Trzeba czegoś więcej, żeby to udowodnić.

- Wiem. Niech się pan bierze do roboty, człowieku.

- Jeżeli pan pozwoli, skończę najpierw lunch.

Howell mnie nie słyszał. Znów patrzył za okno, uniesiony nad krzesłem.

Koło basenu stał rozmawiając z Sheilą ciemnowłosy chłopak w brązowej sportowej koszuli. Odwrócił lekko głowę. Poznałem w nim Johna Galtona. Poklepał ją poufale po ramieniu okrytym płaszczem kąpielowym. Sheila uśmiechnęła się do niego promiennie.

Lekkie krzesło Howella przewróciło się do tyłu. Zanim zdążyłem go powstrzymać, już go nie było w jadalni. Stojąc przy frontowych drzwiach klubu zobaczyłem, jak sady wielkimi krokami przez trawnik do wejścia na pływalnię.

W wejściu ukazali się John i Sheila. Szli trzymając się za ręce i byli tak zajęci sobą, że nie widzieli Howella, póki na nich nie wpadł. Rzucił się między nich i zaczął szarpać chłopaka za ramię. Jego głos był jak brzydka wyrwa w panującej wokół ciszy:

- Wynoś się stąd, słyszysz? Nie jesteś członkiem klubu.

John wyrwał mu się i stał błądy i zeszywniały.

- Sheila mnie zaprosiła.

- A ja cię wypraszam. - Kark Howella był czerwono- siny. Sheila dotknęła ramienia ojca.

- Tato, proszę cię, nie rób sceny. Nic na tym nie zyskasz. Ośmieliło to Johna, który powiedział:

- Mojej babce nie będzie się podobało, gdy się o tym dowie, doktorze.

- Będzie, kiedy pozna fakty. - Ale ta groźba nieco utemperowała Howella. Przestał krzyczeć.

- Tato, proszę cię — powtórzyła Sheila. - John nie robi nikomu nic złego.

- Czy ty nie rozumiesz, Sheila, że chcę cię ochronić?

- Przed czym?

- Przed zepsuciem.

- Ależ, tato, to nonsens. Mówisz, jakby John był przestępcą.

Głowa chłopca nagle pochyliła się, jakby to słowo poraziło jakiś nerw w jego szyi.

- Nie spieraj się z nim, Sheila. Nie powinienem był tu przychodzić.

Obrócił się na pięcie i odszedł z pochyloną głową w stronę parkingu. Sheila udała się w przeciwnym kierunku. Owinięte szczelnie płaszczem kąpielowym jej ciało miało w sobie masywność i tajemniczość, jakich przedtem w nim nie dostrzegałem. Jej ojciec stał i patrzył za nią, póki nie znikła za wejściem na teren pływalni. Scena nabrała znaczenia symbolicznego — dziewczyna zdecydowanie i nieodwołalnie wymykała się spod jego kontroli.

Wszedłem z powrotem do sali jadalnej i poczekałem na Howella. Przyszedł błądy i z obwisłą twarzą, jakby doznał znacznego upływu krwi. Jego córka była teraz w basenie - pływała od brzegu do brzegu powolnymi, silnymi ruchami. Jej stopy pozostawiały za sobą biały ślad piany.

Pływała jeszcze, kiedy wychodziliśmy. Howell podwiózł mnie do sądu. Spojrzał spode łba na okratowane okienka powiatowego więzienia.

- Niech go pan wsadzi za kraty, o nic więcej nie proszę.

## Rozdział 21

Zastąpiłem szeryfa Traska w jego biurze. Ściany biura były zawieszane dyplomami uznania organizacji obywatelskich i klubów społecznych oraz fotografiami samego szeryfa w towarzystwie gubernatora stanu i innych notabli. Gdy wszedłem, Trask miał mniej pogodną twarz niż na tych fotografiach.

- Kłopoty? - zapytałem.

- Niech pan siada. To przez pana. Najpierw pan rozpętuje burzę, a potem ginie z pola widzenia. Cały kłopot z wami, prywatnymi detektywami, że jesteście nieodpowiedzialni.

- To zbyt surowe słowa, szeryfie. - Dotknąłem leciutko palcami kości twarzy.

- Tak, wiem, że został pan pobity, i bardzo współczuję. Ale co mogę na to poradzić? Otto Schwartz jest poza moją jurysdykcją.

- Nie słyszał pan, że granice stanu nie stanowią przeszkod, gdy w grę wchodzi morderstwo?

- Słyszałem, i słyszałem też, że bez dowodów winy oskarżony nie podlega ekstradycji. Nie mając żadnych dowodów nie mogę nawet poddać Schwartza przesłuchaniu. A wie pan, czemu nie mam dowodów?

- Postaram się zgadnąć. Znowu z mojego powodu.

- To wcale nie śmieszne, Archer. Ja ufałem, że zachowa pan dyskrecję. Czemu pan poszedł i wygadał wszystko Royowi Lembergowi? Czemu wystraszył mi pan świadków z kraju?

- Byłem nadgorliwy i popełniłem błąd. Ale nie ja jeden.

- Co to ma oznaczać?

- Pan mi powiedział, że Lembergowi skradziono samochód.

- Bo zmiana tablic rejestracyjnych zwykle właśnie to oznacza.

- Trask siedział i myślał przez chwilę, wysuwając dolną wargę. - Dobra. Wszyscy robimy błędy. Ja się nie popisałem, a pan załatwił rzecz na cacy. Więc dostał pan za to lanie. Nie będziemy tu chyba siedzieć i płakać. Co teraz zrobimy?

- Pan prowadzi tę sprawę, szeryfie. Ja jestem tylko

cierpliwym pomocnikiem.

Pochylił się ku mnie, potężny w ramionach i pełen zapału.

- Naprawdę chce mi pan pomóc? Czy też ma pan jakieś ukryte motyw?

- Mój jedyny motyw to prawdziwa chęć pomocy.

- Zobaczmy. Czy nadal pracuje pan dla Sable'a... to znaczy dla pani Galton?

- Już nie.

- Kto pana opłaca? Doktor Howell?

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Diabła tam, wiedziałem o tym wcześniej od pana. Howell przychodził do mnie z prośbą, żebym sprawdził pana referencje w L.A. Wygląda na to, że ma pan dobrych przyjaciół na Południu. Jeśli pan kiedykolwiek naciągał jakieś starsze panie, to przynajmniej nigdy nie dał się pan przyłapać.

- Bardziej odpowiadają mi młode.

Trask zbył ten żart niecierpliwym gestem.

- Zakładam, że wynajęto pana do zbadania pochodzenia chłopaka. Howell chciał, żebym ja to zrobił. Naturalnie powiedziałem mu, że nie mogę, bo nie mam żadnego dowodu, że zламаł prawo. Ma pan taki dowód?

- Jeszcze nie.

- Ani ja. Rozmawiałem z chłopcem, ale nie mogę mu nic zarzucić. Nie wnosi nawet żadnych określonych roszczeń. Po prostu mówi, że ludzie uważają go za syna jego ojca, i tak prawdopodobnie jest.

- Sądzi pan, że ktoś go wystawił do tej gry, szeryfie?

- Nie wiem. Może prowadzi ją na własną rękę. Kiedy przyszedł tutaj do mnie, nie miało to pozornie nic wspólnego z ustalaniem jego tożsamości. Chciał tylko informacji o morderstwie jego ojca, jeżeli ten John Brown był jego ojcem.

- Czyż nie zostało to udowodnione?

- O tyle, o ile było możliwe. Moim zdaniem sprawa pozostawia nieco wątpliwości. Ale zacząłem mówić, że przyszedł tu, aby mnie pouczać, co mam robić. Chciał, żebyśmy zaczęli energiczniej działać w związku z tamtym morderstwem. Powiedziałem, że sprawa jest w gestii władz San Mateo, i wie

pan, co wtedy zrobił? Pojechał do San Mateo, żeby z kolei wziąć się za tamtejszego szeryfa.

- Facet chyba nie może być poważny.

- Albo jest dobrym psychologiem. Tego rodzaju zachowanie nie chadza w parze z nieczystym sumieniem.

- Syndykat zatrudnia dobrych adwokatów.

Trask zadumał się nad tym, z oczyma ukrytymi pod nawisami brwi.

- Sądzi pan, że to robota syndykatu? Wielka zmowa?

- I wielki zysk, idący w miliony. Howell powiedział mi, że pani Galton zmienia testament, że zapisuje wszystko chłopcu. Uważam, że powinno się wziąć jej dom pod nadzór.

- Naprawdę pan sądzi, że będą próbowali ją wykończyć?

- Oni potrafią zabijać ludzi dla byle głupstwa. Dlaczego nie mieliby tego zrobić dla majątku Galtonów?

- Niech pana nie ponosi wyobraźnia. To się nie może stać, przynajmniej w okręgu Santa Teresa.

- Zaczęło się już dwa tygodnie temu, kiedy stuknęli Culligana. To morderstwo miało wszelkie znamiona gangsterskich porachunków, i to właśnie w pana okręgu.

- Niech mi pan tego nie wymawia. Zresztą sprawa nie jest jeszcze zakończona.

- To jedna i ta sama sprawa - powiedziałem. - Zabójstwo Browna, zabójstwo Culligana i podszywanie się pod młodego Galtona, o ile to jest podszywanie się, pięknie się komponują.

- Łatwo to powiedzieć. Ale jak udowodnić?

- Poprzez chłopca. Dziś wieczorem lecę do Michigan. Howell uważa, że on mówi z akcentem środkowo-kanadyjskim. To by go łączyło z Lembergami. Podobno przekradli się z Detroit do Kanady i udali się pod adres, który im dał Culligan. Gdyby tak można było sprawdzić, czy Culligan...

- Pracujemy nad tym. - Trask uśmiechnął się ponuro. - Ten pański ślad wiodący do Reno był prawdziwy, Archer. Zamówiłem wczoraj międzymiastową do przyjaciela w Reno, szefa detektywów. Dzisiaj przed południem dostałem od niego informację. Culligan pracował u Schwartza mniej więcej przed rokiem.

- Jako kto?

- Naganiacz do jego kasyna. I jeszcze jedna ciekawostka: jakieś pięć, sześć lat temu Culligan był aresztowany w Detroit. FBI ma go w swojej kartotece.

- W związku z czym?

- W związku z jakąś kradzieżą. Wygląda na to, że chcąc uniknąć kary, uciekł za granicę, a kiedy się znów pokazał na amerykańskiej ziemi, zaraz go przydybali i spędził kilka następnych lat w więzieniu na południu stanu Michigan.

- Kiedy go aresztowano w Detroit?

- Nie pamiętam dokładnie. Jakies pięć i pół roku temu. Mógłbym to sprawdzić, jeżeli to ważne.

- Ważne.

- Czemu?

- Bo John Galton zjawił się w Ann Arbor jakieś pięć i pół roku temu. Ann Arbor jest praktycznie rzecz biorąc przedmieściem Detroit. Ciekawym, czy nie przekroczył granicy Kanady razem z Culliganem.

Trask gwizdnął cicho i włączył mikrofon na biurku.

- Conger, przynieś mi kartotekę Culligana. Taa, jestem u siebie.

Pamiętałem surową, opaloną twarz Congera. On początkowo mnie nie poznał, potem przyjrzał mi się jeszcze raz:

- Dawnośmy się nie widzieli.

- Jak tam kajdanki? - zażartowałem kiepsko.

- Trzaskają.

Trask szeleścił papierami, które przyniósł Conger, i krzywił się ze zniecierpliwienia. Gdy wreszcie uniósł wzrok, oczy mu błyszczały.

- Trochę ponad pięć i pół roku. Culligan został aresztowany w Detroit 7 stycznia. Czy to się zgadza z pana datą?

- Jeszcze nie wiem, ale będę wiedział.

Wstałem. Trask uścisnął mi gorąco dłoń na pożegnanie.

- Jeśli pan na coś natrafi, niech pan zaraz dzwoni na mój koszt, bez względu na porę dnia czy nocy. I niech pan nie wsadza palca między drzwi.

- Postaram się.

- Przy okazji, pana samochód jest w garażu powiatowych

władz. Mogą go panu zwrócić.

- Nie będę go teraz zabierała. I zaopiekujcie się starszą panią, dobra?

Zanim zdążyłem dojść do drzwi, szeryf już wydawał Congerowi odpowiednie polecenia odnośnie pani Galton.

## Rozdział 22

Zdążyłem tuż przed zamknięciem banku o trzeciej zrealizować czek Howella. Kasjer powiedział mi, gdzie mieści się biuro podróży, i zamówiłem miejsce na samolot z Los Angeles do Detroit. Samolot do Los Angeles odlatywał dopiero za trzy godziny.

Przeszedłem kilka przecznic do biura Sable a. Prywatna winda zawiozła mnie do przedpokoju z dębową boazerią.

Pani Haines oderwała wzrok od pracy i uniosła rękę, żeby wygładzić farbowane na rudo włosy. Powitała mnie słowami pełnymi matczynej troski:

- Ależ pana pokaleczyli, panie Archer. Pan Sable mówił mi o tym, ale nie wiedziałam, że aż...

- Proszę przestać, bo zacznę się sam nad sobą litować.

- A co w tym złego? Ja się wciąż lituję sama nad sobą. To mi bardzo dodaje otuchy.

- Bo pani jest kobietą.

Skłoniła jasną główkę, jakbym powiedział jej komplement.

- Cóż za różnica, czy się jest mężczyzną, czy kobietą?

- Chyba nie chce pani, abym ją wyłożył?

Zachichotała, dość zresztą miło, i próbowała się spłonić, ale jej doświadczona twarz oparła się skutecznie wysiłkowi.

- Może kiedy indziej. A czym teraz mogę panu służyć?

- Zastałem pana Sable'a?

- Bardzo mi przykro, ale jeszcze nie wrócił z lunchu.

- Jest w pół do czwartej.

- Wiem. Myślę, że dziś już nie przyjdzie. Będzie żałował, że pan go nie zastał. Biedaczysko, wszystkie plany mu się zawaliły, odkąd ma ten kłopot w domu.

- Myśli pani o morderstwie?

- Tak, i innych rzeczach. Jego żona nie czuje się dobrze.

- Słyszałem. Gordon mówił, że miała nerwowe załamanie.

- Och, powiedział panu? Mało komu o tym mówi. Jest strasznie wrażliwy na tym punkcie. - Zrobiła konspiracyjny gest osłaniając usta wypielęgnowaną dłonią. - Mówiąc między nami, nie pierwszy to raz ma z nią kłopoty.

- A kiedy je miał poprzednio?

- Miewał, forma częstotliwa. Przyszła tu kiedyś wieczorem, gdy pracowaliśmy nad podatkiem dochodowym, i oskarżyła mnie, że chcę jej zabrać męża. Mogłam jej powiedzieć parę słów prawdy, gdyby go przy tym nie było. Mówię panu, to jest święty człowiek. Ile on przez nią wycierpiał, a wszystko jedno się nią opiekuje.

- Co ona mu zrobiła?

Policzki jej lekko poczerwieniały od złości, jakby była pod rauszem.

- Mnóstwo rzeczy. Ubiegłego lata szalała po całym kraju puszczając na lewo i prawo jego uczciwie zapracowane pieniądze, w dodatku na mężczyzn. Czy może pan to sobie wyobrazić? Wreszcie odnalazł ją w Reno, gdzie żyła z innym facetem.

- W Reno?

- W Reno - powtórzyła głucho. - Prawdopodobnie chciała się z nim rozwieść, czy co innego, w każdym razie zrezygnowała później z tego pomysłu. Jeżeli chce pan wiedzieć, jakie jest moje zdanie, to wyświadczyłaby mu jedynie przysługę, gdyby się z nim rozwiodła. Ale ten biedaczysko nakłonił ją, żeby z nim wróciła. On za nią świata nie widzi. - Jej głos był pełen żalu. Po chwili powiedziała: - Nie powinnam była panu tego mówić. Prawda?

- Wiedziałem, że były z nią kłopoty. Gordon sam mi powiedział, że musiał ją umieścić w klinice.

- Właśnie. Prawdopodobnie jest teraz u niej. Przeważnie chodzi do niej na lunch i najczęściej spędza tam z nią resztę dnia. Stracone zachody, według mnie. To małżeństwo jest przegrane. Stawiałam na nie horoskop i jeszcze nie widziałam



w gwiazdach podobnego antagonizmu.

- Nie tylko w gwiazdach. Gdzie jest ta klinika, proszę pani?

- To klinika doktora Trencharda na Light Street. Ale ja na pana miejscu bym tam nie szła. Pan Sable nie lubi, jak mu się przeszkadza, kiedy jest u żony.

- Zaryzykuję. I nawet nie wspomnę, że tu byłem. Dobra?

- Chyba tak - rzekła niepewnie. - To jest po stronie zachodniej, Light Street numer 235.

Pojechałem tam taksówką. Kierowca przyjrzał mi się z ciekawością, kiedy wysiadałem. Pewnie próbował odgadnąć, czy jestem pacjentem, czy tylko odwiedzającym.

- Mam zaczekać?

- Chyba tak. A jak nie wyjdę, będzie pan wiedział, co to znaczy.

Odszedłem zanim do niego dotarło, co powiedziałem. Klinika była długim otynkowanym budynkiem, stojącym w głębi ogrodu. Nic nie wskazywało na jej specjalne przeznaczenie, oprócz wysokiej siatki, która przegradzała patio.

Za ogrodzeniem zobaczyłem mężczyznę i kobietę siedzących na huśtawce z niebieskiego płótna. Siedzieli do mnie tyłem, ale poznałem siwą głowę Sable'a. Jasna główka kobiety była oparta na jego ramieniu.

Wstrzymałem odruch, żeby do nich zawołać. Wszedłem na długą werandę, niewidoczną z patio, i nacisnąłem guzik dzwonka przy frontowych drzwiach. Drzwi otworzyła mi pielęgniarka w bieli, ale bez czepka. Była zaskakująco młoda i ładna.

- Słucham pana?

- Chciałbym się zobaczyć z panem Sable.

- A kogo mam zaanonsować?

- Jestem Lew Archer.

Zostawiła mnie w saloniku czy poczekalni, której meble były obite jaskrawym perkalem. Dwie starsze panie w szalach oglądały mecz baseballowy w telewizji. Młody człowiek z bródką siedział w kucki w kącie i obserwował przeciwległy róg sufitu. Poruszał cały czas ustami.

Jedno z na wpół osłoniętych okien było skierowane na patio.

Widziałem, jak młoda pielęgniarka podchodzi do niebieskiej huśtawki i jak twarz Sable'a budzi się niby ze snu. Odsunął się od żony, której ciało opadło w niezdarnej pozycji. W błękitnym cieniu płóciennego daszku huśtawki jej twarz miała martwy wyraz lalki.

Sable szedł wlokąc za sobą cień po imitacji kamiennych płyt ścieżki. Wydawał się jakiś mały, dziwnie pomniejszony pod wysokim błękitem nieba. Wrażenie to zachowało się nawet, gdy wszedł do saloniku. Czuł brzemień wieku. Był nie ostrzyżony i miał przekrzywiony na bok krawat. Patrzył na mnie zaczerwienionymi oczami, głos miał niepewny.

- Co cię tu sprowadza?

- Chciałem się z tobą zobaczyć. Niewiele mam czasu.

- No więc mnie widzisz. - Uniósł ramiona i znów je opuścił.

Starsze panie, które powitały go uśmiechami i skinieniami głów, zareagowały jak wystraszone dzieci na jego gorzyc. Jedna z nich owinęła szczelnie szyję szalem i wyniosła się chyłkiem z pokoju. Druga wyciągnęła rękę w stronę Sable'a, jakby chcąc go pocieszyć. Zastygła w tej pozycji i dalej oglądała mecz. Młody człowiek z brodą nadal kontemplował róg sufitu.

- Jak się ma twoja pani?

- Niedobrze. - Skrzywił się i wyprowadził mnie na korytarz. - Grozi jej melancholia. Doktor Trenchard mówi, że cierpiała już na podobną dolegliwość przed... przed naszym ślubem. Szok, jaki przeżyła przed dwoma tygodniami, spowodował nawrót. Boże, czy to się stało zaledwie dwa tygodnie temu?

Zaryzykowałem pytanie:

- Z jakiego środowiska ona się wywodzi?

- Alice była modelką w Chicago, była też już raz zamężna. Straciła dziecko i jej pierwszy mąż źle ją traktował. Próbowałem jej to wynagrodzić. Ale z bardzo kiepskim skutkiem.

Jego głos pobrzmiwał rozpaczą.

- Ale ją leczą.

- Oczywiście. Doktor Trenchard jest jednym z najlepszych psychiatrów na wybrzeżu. Jeśli jej stan się pogorszy, zastosuje terapię wstrząsową. - Oparł się o ścianę i spuścił głowę. Jego

zaczerwienione oczy zdawały się płonąć.

- Powinieneś iść do domu i trochę się przespać.

- Niewiele sypiam ostatnio. Łatwo powiedzieć: przespać się. Ale nie można zmusić się do snu. Poza tym Alice mnie potrzebuje. Robi się dużo spokojniejsza, kiedy jestem z nią. - Otrząsnął się i wyprostował. - Ale przyszedłeś tu nie po to, żeby rozmawiać o moich nieszczęściach.

- To prawda, nie po to. Chciałem ci podziękować za czek i zadać parę pytań.

- Pieniądze sam zarobiłeś. A na pytania w miarę możliwości odpowiem.

- Doktor Howell mnie najął, żebym zbadał przeszłość Johna. Ponieważ to ty wprowadziłeś mnie w tę sprawę, chciałbym wiedzieć, czy nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ skąd. Nie zgłaszam żadnego sprzeciwu. Ale nie mogę się wypowiadać za panią Galton.

- Rozumiem. Howell mi powiedział, że ona jest całkowicie przekonana do tego chłopaka. On sam uważa go za oszusta.

- Rozmawialiśmy już o tym. Zdaje się, że tam jest jakiś romans między Johnem a córką Howella.

- Czy Howell może mieć jakieś inne specjalne powody?

- Do czego?

- Do badania przeszłości Johna, zapobiegania zmianie testamentu pani Galton?

Sable popatrzył na mnie z odrobiną swej dawnej bystrości.

- To dobre pytanie. Dotychczasowy testament jest dla Howella korzystny z wielu względów. Howell jest jego egzekutorem, a w dodatku sam dziedziczy znaczną sumę. Nie mogę, niestety, ci jej zdradzić. Jego córka, Sheila, również dziedziczy znaczną sumę, i to bardzo znaczną sumę. Po zaspokojeniu zaś innych roszczeń spadkowych ogromna większość majątku idzie na rozmaite cele dobroczynne, z których jednym jest rozwój Towarzystwa Kardiologicznego. Henry Galton zmarł na chorobę naczyń wieńcowych. Howell jest natomiast prezesem Towarzystwa. Wszystko to sprawia, że jest bardzo zainteresowany w utrzymaniu dotychczasowego testamentu.

- Zainteresowany, a zarazem interesujący. Czy testament został już zmieniony?

- Tego nie wiem. Mówiłem pani Galton, że w tych okolicznościach nie mogę z czystym sumieniem zająć się zmianą jej testamentu. Odpowiedziała mi na to, że znajdzie kogoś innego. Nie wiem, czy znalazła.

- A więc i ty nie jesteś przekonany do chłopca.

- Byłem. Ale teraz już nie wiem, co myśleć. Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym wiele. - Poruszył się niecierpliwie i zrobiwszy niezręczny ruch uderzył barkiem o ścianę. - Pozwól, że wrócę już do żony.

Młoda pielęgniarka odprowadziła mnie do drzwi.

Spojrzałem przez siatkę. Pani Sable trwała w tej samej pozycji na huśtawce. Mąż usiadł obok niej w błękitnym cieniu. Uniósł jej bezwładną głowę i wsunął pod nią ramię. Siedzieli tak jak bardzo stare małżeństwo, czekając, aż popołudniowe cienie wydłużą się i wtopią w nocny mrok.

## **Rozdział 23**

Kierowca zatrzymał taksówkę przed bramą rezydencji Galtonów. Przewiesił ramię przez oparcie siedzenia i spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

- Niech pan się nie obrazi, ale mam podjechać od frontu czy do wejścia dla służby?

- Od frontu.

- Załatwione. Ja tylko nie chciałem popełnić omyłki.

Zatrzymał się na krytym podjeździe. Zapłaciłem i powiedziałem, żeby nie czekał. Czarna pokojówka wpuściła mnie do hallu i kazała czekać wśród portretów przodków.

Podszedłem do jednego z wysokich wąskich okien. Wychodziło na trawnik od frontu, gdzie świeciło pogodnie późnopołudniowe słońce. Odczułem coś z atmosfery owego strzeżonego pilnie spokoju, jaką tchnęły niegdyś te otoczone murem rezydencje. W dzisiejszym świetle ich mury przypominają raczej mury więzień albo druciane siatki wokół

klinik psychiatrycznych. Jeśli już o to chodzi, wołę wejścia dla służby. Ludzie w kuchni są jacyś przyjemniejsi.

Usłyszałem szybkie kroki na schodach i do hallu weszła Cassie Hildreth. Była w spódnicy i swetrze, który podkreślał jej figurę. Wydawała się bardziej kobieca i bardziej subtelna. Coś musiało spowodować zmianę jej stylu.

Podawała mi rękę.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę. Proszę siadać. Pani Galton za chwilę zejdzie.

- O własnych siłach?

- Tak. Czy to nie wspaniałe? Robi się coraz bardziej czynna. John zabiera ją niemal co dzień na przejażdżkę.

- To miło z jego strony.

- On to naprawdę robi z przyjemnością. Z miejsca się polubili.

- Właściwie to przyszedłem do niego. Czy jest w domu?

- Nie widziałam go od lunchu. Pewnie pojechał gdzieś swoim samochodem.

- Swoim samochodem?

- Ciocia Maria kupiła mu ślicznego thunderbirda. John jest nim zachwycony. Zachowuje się jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Powiedział mi, że to jego pierwszy w życiu samochód.

- Pewnie jest wiele rzeczy, które ma pierwszy raz na własność.

- Tak. Bardzo się cieszę, ze względu na niego.

- Pani jest kobietą wielkoduszną.

- O, nie. Mam powody do zadowolenia. Teraz, kiedy John jest w domu, nie zamieniłabym się z nikim na los. Może to brzmi dziwnie, ale życie stało się nagle jak dawniej... przed wojną, kiedy jeszcze żył Antoni. Zapanowała harmonia.

Mówiła, jakby przeniosła swoje jedyne trwałe uczucie z Antoniego na Johna Galtona. Na jej twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. Chciałem ją ostrzec, żeby na to nie stawiała zbyt wiele. Wszystko się mogło znowu zawalić.

Usłyszałem na schodach kroki. Cassie podeszła do drzwi na spotkanie pani Galton. Starsza pani miała na sobie czarny kostium z czymś białym pod szyją; włosy ułożone w zimnoszare fale przypominające ocynkowaną stal. Wyciągnęła do mnie

kościstą dłoń.

- Jakże się cieszę, że pana widzę. Tak chciałam móc osobiście wyrazić panu moje uznanie. Pan uczynił ten dom szczęśliwym.

- Pani czek był bardzo miłym wyrazem uznania - odparłem.

- Jaka praca, taka płaca. - Być może wyczuła, że niezbyt taktownie się wyraziła, ponieważ dodała: - Zostanie pan na herbacie? Mój wnuk bardzo się ucieszy. Ma przyjść na herbatę. Powinien już być.

Jak widać, gderliwość jej nie opuściła. Zastanawiałem się, ile z jej obecnego szczęścia to uczucie autentyczne, ile zaś uporczywa wiara, że i nieszczęsnej starej bogaczce też może się zdarzyć coś dobrego. Osunęła się na krzesło, przesadnie podkreślając trudność poruszania. Cassie zaniepokoiła się.

- Myślę, że jest w klubie, ciociu.

- Z Sheilą?

- Chyba tak - odparła Cassie.

- Czy nadal często się z nią widuje?

- Mniej więcej codziennie.

- Trzeba będzie z tym skończyć. Jest o wiele za młody, żeby się interesować jedną tylko dziewczyną. Sheila to oczywiście kochane dziecko, ale nie możemy pozwolić, żeby monopolizowała Johna. Mam w związku z nim inne plany.

- Jakie - powiedziałem - o ile można spytać?

- Zamierzam wysłać Johna jesienią do Europy. Trzeba mu rozszerzyć horyzonty, a poza tym bardzo się interesuje współczesnym dramatem. Jeżeli to zainteresowanie okaże się trwałe i będzie się pogłębiać, zbuduję mu teatr tu, w Santa Teresa. John jest bardzo utalentowany. Indywidualność Galtonów znajduje w każdym pokoleniu inny przejaw.

Jakby dla zilustrowania tej tezy, na podjazd zajechał z impetem czerwony thunderbird z otwieranym dachem. Trzasnęły drzwiczki. Wszedł John. Twarz miał czerwoną i ponurą. Zatrzymał się w drzwiach, wetknął pięści głęboko w kieszenie marynarki i wysunął głowę do przodu, jak ktoś wyglądający zza węgła.

- Patrzcie no! - powiedział. - Co za zgromadzenie. Trzy Parki, Clotho, Lachesis i pan Archer.

- To wcale nie śmieszne, John - powiedziała Cassie ostrzegawczym tonem.

- Dla mnie śmieszne. Nawet bardzo śmieszne.

Podszedł do nas, lekko chwiejąc się na nogach, przesadnie poruszając barkami. Wszedłem mu na spotkanie.

- Witaj, John.

- Odejdź ode mnie. Wiem, po co przyszedłeś.

- Więc powiedz.

- Zaraz ci powiem.

Zamachnął się pięścią w moją stronę, tracąc równowagę. Podszedłem bliżej, obróciłem go plecami, chwyciłem obiema dłońmi za kołnierz marynarki i ściągnąłem mu ją do połowy ramion. Uwięziony wykrzykiwał do mnie w podnieceniu słowa, które zalatywały wyziewami z kolumny destylacyjnej. Czulem jednak wibrującą w nim morderczą siłę.

- Opanuj się - powiedziałem.

- Rozwałę ci łeb.

- Musiałbyś mieć solidniejszy napęd niż whisky.

Pani Galton pociągnęła nosem.

- Czy on pił?

John sam odpowiedział z chłopięcą przekorą:

- Tak, piłem. I myślałem. Piłem i myślałem. A to kiepska kombinacja.

- Co? - zapytała. - Co się stało?

- Wiele rzeczy. Powiedźcie temu facetowi, żeby mnie puścił.

- Niech pan go puści - rzekła pani Galton rozkazującym tonem.

- Sądzi pani, że już można?

- Do diabła, puszczaj!

Szarpnął się gwałtownie i wyrwał ręce z rękawów marynarki. Okręcił się na pięcie i podniósł pięści do góry.

- Chodź, będziemy się bić. Nie boję się ciebie.

- To ani pora, ani miejsce po temu.

Rzuciłem mu marynarkę. Schwycił ją i trzymał, patrząc na nią z głupim wyrazem. Cassie wkroczyła między nas. Wzięła marynarkę i pomogła mu się ubrać. Poddał się jej zabiegom potulnie.

- Musisz się napić kawy, John. Zaraz przyniosę ci kawy.  
- Nie chcę kawy. Nie jestem pijany.  
- Ale piłeś! - Głos pani Galton uniósł się niemal o oktawę i pozostał na tej gderliwej nucie. - Twój ojciec też zaczął pić za młodu. Nie możesz dopuścić, żeby to się zaczęło. Obiecuj mi, proszę.

Starsza pani uczepliła się ramienia Johna wydając trwoźne pomruki, a Cassie próbowała ją uspokoić. John obrócił głowę i spojrział na mnie.

- Wyrzućcie tego człowieka! On mnie szpieguje z polecenia doktora Howella.

Pani Galton spojrzała na mnie. Pod warstewką ciała zarysowały się wyraźnie kości jej twarzy.

- Ufam, że mój wnuk się myli co do pana. Wiem, że doktor Howell nie mógłby postąpić niełojalnie wobec mnie.

- Nie bądź tego taka pewna - rzekł John. - On nie chce, żebym widywał się z Sheilą. Nie wstrzyma się przed niczym, by temu zapobiec.

- Pytam pana, panie Archer. Czy doktor Howell rzeczywiście pana zaangażował?

- Będzie go pani musiała sama spytać.

- A więc to prawda?

- Nie mogę odpowiedzieć, proszę pani.

- A więc proszę opuścić mój dom. Wszedł pan tu pod fałszywymi pozorami. Jeżeli jeszcze raz pan to uczyni, zaskarżę pana w sądzie. Zastanowię się, czy już teraz nie udać się do władz.

- Nie rób tego, babciu - rzekł John. - Sami sobie poradzimy.

Chłopak gwałtownie trzeźwiał. Do rozmowy włączyła się Cassie:

- Nie wolno ci się tak podniecać byle czym. Wiesz, co doktor Howell...

- Nie wymieniaj tego nazwiska w mojej obecności. Żeby doczekać się takiej zdrady ze strony starego i zaufanego przyjaciela... oto co znaczy mieć pieniądze. Wszyscy roszczą sobie do nich prawo. Rozumiem teraz, do czego August Howell zmierzał wdzierając się z tą swoją dzierlatką w moje życie.



Dobrze, więc nie dostanie ode mnie ani centa. Przejrzałam jego grę.

- Ciociu Mario, uspokój się, proszę.

Cassie próbowała posadzić ją z powrotem na krześle. Pani Galton nie ustępowała jednak. Zawołała chrapliwym głosem w moją stronę:

- Może pan iść i powiedzieć Augustowi Howellowi, że przebrał miarę. Nie dostanie ode, mnie ani centa, ani jednego centa. Całe pieniądze zostaną w rodzinie.

I niech ta jego córunia trzyma się z dala od mojego wnuka. Mam w związku z nim inne plany.

Jej oddech stał się rżęzący. Zamknęła oczy. Jej twarz przypominała maskę pośmiertną. Zachwiała się i omal nie upadła. John przytrzymał ją za ramiona.

- Niech się pan wynosi - rzekł do mnie. - Moja babcia jest chora. Nie widzi pan, co pan jej robi?

- To ktoś inny jej to robi.

- Wyjdzie pan sam czy mam wezwać policję?

- Niech pan lepiej idzie - powiedziała Cassie. - Ciocia Maria jest chora na serce.

Ręka pani Galton automatycznie uniosła się ku sercu. Głowa opadła bezwładnie na ramię Johna. Poglaskał jej siwe włosy. To była bardzo wzruszająca scena.

Zastanawiałem się, ile jeszcze zniesie takich scen serce starszej pani. Myśl o tym nie dawała mi spać w nocnym samolocie do Chicago.

## **Rozdział 24**

Spędziłem dwa dni na dreptaniu po Ann Arbor, gdzie przedstawiłem się jako inspektor do spraw personalnych firmy posiadającej kontrakty zagraniczne. Relacja Johna z pobytu w szkole średniej i na uniwersytecie zgadzała się co do joty. Ustaliłem jeden ciekawy dodatkowy szczegół: John wstąpił do szkoły średniej pod nazwiskiem „John Lindsay” 9 stycznia przed pięciu i pół laty. Peter Culligan został aresztowany w

Detroit, czterdzieści mil dalej, 7 stycznia tego samego roku. Najwyraźniej wystarczyło chłopcu zaledwie dwa dni, aby sobie znaleźć nowego protektora w osobie Gabriela Lindsaya.

Rozmawiałem z przyjaciółmi Lindsaya, głównie nauczycielami szkoły średniej. Pamiętali Johna jako miłego chłopaka, aczkolwiek, jak się jeden z nich wyraził: „Początkowo dosyć czupurnego”. Domyślali się, że Lindsay wziął go po prostu z ulicy.

Gabriel Lindsay lubił pomagać młodym ludziom w tarapatkach. Był starszym człowiekiem, który stracił na wojnie syna, a żonę wkrótce po nim. Zmarł w Szpitalu Uniwersyteckim na zapalenie płuc w lutym zeszłego roku.

Jego lekarz pamiętał, że John stale przebywał u jego łóżka. Kopia testamentu w sądzie powiatowym w Washtenaw świadczyła, iż pozostawił dwa tysiące dolarów „memu przybranemu synowi, Johnowi Lindsayowi, na dalszą naukę”. W testamencie zmarłego nie było żadnych innych darowizn, co prawdopodobnie oznaczało, że pieniądze te stanowiły cały jego majątek.

John ukończył uniwersytet w czerwcu i zdał egzamin końcowy z wyróżnieniem. W dziekanacie powiedziano mi, że był studentem, który nie stwarzał żadnych problemów. Studentem niezbyt może lubianym przez kolegów - nie miał żadnych bliższych przyjaciół. Z drugiej strony bardzo udzielał się w teatrze akademickim i pod koniec studiów osiągnął znaczny sukces jako aktor.

Ostatnio mieszkał w pokoju umeblowanym przy Catherine Street, niedaleko uczelni. Właścicielka domu nazywa się pani Haskell. Może ona będzie mogła mi pomóc.

Pani Haskell mieszkała na parterze dwupiętrowego brązowego domu. Ze stosów listów na stole za drzwiami wynioskowałem, że resztę pokoi wynajmuje. Zaprowadziła mnie po wypolerowanym parkiecie do salonu z pozasłanianymi do połowy oknami. Salon ten był oazą chłodu wśród lipcowych upałów Michigan.

Gdzieś nad naszymi głowami dziobała ciszę maszyna do pisania. W głosie pani Haskell pobrzmiwało jak dźwięki

mandoliny echo przeciągłej południowej wymowy.

- Proszę, niech pan siada, proszę powiedzieć mi coś o Johnie. Jak on się spisuje w pracy? - Splotła entuzjastycznie ręce na swoim drukowanym w kwiatki łonie. Kręte loczki grzywki na czole poruszyły się jak milczące dzwoneczki.

- Jeszcze nie zaczął u nas pracować, proszę pani. Właśnie celem moich pytań jest stwierdzenie, czy nadaje się na pewne stanowisko wymagające kogoś zaufanego.

- Czy to oznacza, że tamto poprzednie zamierzenie nie doszło do skutku?

- Jakie poprzednie zamierzenie?

- Aktorstwo. Zapewne pan nie wie, ale John Lindsay jest bardzo dobrym aktorem. Jednym z najbardziej utalentowanych chłopców, jakich tu u siebie miałam. Nie opuściłam żadnego jego występu w teatrze Lydii Mendelssohn. Ubiegłem zimy w „Wyborze Hobsona” był niezrównany.

- Na pewno. Powiada pani, że miał propozycje występów?

- Nie wiem nic o propozycjach, w liczbie mnogiej, ale wiem, że miał jedną bardzo dobrą. Jakiś wielki producent filmowy chciał z nim podpisać kontrakt i wykształcić go na zawodowego aktora. Słyszałam tylko, że John się zgodził, ale chyba zmienił zdanie, skoro się związał z pana firmą. Chodziło mu pewnie o zabezpieczenie finansowe.

- Ta sprawa z aktorstwem jest bardzo ciekawa - powiedziałam. - Cieszymy się, gdy nasi pracownicy mają jakieś szersze zainteresowania. Pamięta może pani nazwisko tego producenta?

- Obawiam się, że go nawet nie znałam.

- A skąd przyjeżdżał?

- Tego też nie wiem. John był bardzo skryty, gdy szło o jego osobiste sprawy. Nie zostawił nawet adresu przesyłkowego, kiedy wyjechał w czerwcu. Wszystko, co wiem na ten temat, powiedziała mi panna Reichler po jego odjeździe.

- Panna Reichler?

- Jego przyjaciółka. Nie znaczy to, że była jego dziewczyną. Może uważała się za jego dziewczynę, ale on był innego zdania. Ostrzegałam go, żeby się nie zadawał z bogatymi pannami, jak

ona, co to jeżdżą sobie w różnych cadillakach i kabrioletach. Moi chłopcy wciąż się zmieniają, ale próbuję na nich wpływać, żeby nie przekraczali pewnych granic. Panna Reichler jest o kilka lat starsza od Johna. - Jej usta składały się do tego imienia z matczyną łapczywością. Mandolinowy pogłos stawał się coraz wyraźniejszy.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy chłopaka, jakiego potrzebujemy. Ruchliwy towarzyszko, podoba się kobietom.

- O, tak. Zawsze się podobał. Co wcale nie znaczy, że latał za pannami. Nie zwracał na nie uwagi, jeżeli same mu się nie narzucały. A już Ada Reichler niemal wydeptała ścieżkę do jego drzwi. Przyjeżdżała tu tym swoim cadillakiem co drugi, trzeci dzień. Jej ojciec jest wielką szyszką w Detroit. Części samochodowe.

- Świetnie - powiedziałem. - Kontakty na wysokich szczeblach biznesu.

- Na to niech pan za bardzo nie liczy. Panna Reichler była wściekła jak wszyscy diabli, kiedy John wyjechał bez pożegnania. Była naprawdę przybita. Próbowałam jej tłumaczyć, że młody człowiek nie może wchodzić w życie z nadmiernym bagażem, a wtedy ona ni stąd, ni zowąd wściekła się na mnie. Trzasnęła drzwiami samochodu i omal nie rozwalila skrzyni biegów tego swojego cadillaka.

- Jak długo się znali?

- Tyle co ja z nim, przynajmniej rok. Musiała mieć jakieś zalety, boby inaczej tak długo się jej nie trzymał. Jest nawet dość ładna, jeżeli ktoś lubi szczupłe.

- Ma pani jej adres? Chciałbym z nią pogadać.

- Ona może kłamać. Pan wie: „Nawet piekło nie zna takiej furii, jak furia kobiety wzgardzonej”.

- Mogę wziąć na to poprawkę.

- Koniecznie. John to wspinały młody człowiek i będziecie mieli szczęście, jeśli zechce u was pracować. Jej ojciec ma zdaje się na imię Ben. Ben Reichler. Mieszkają w tej dzielnicy nad rzeką.

Jechałem krętymi drogami przez na wpół zalesiony obszar. W końcu odnalazłem skrzynkę na listy Reichlerów. Ich podjazd

prowadził klonową aleją do niskiego ceglanego domu z wielkim płaskim dachem. Wydawał się mały z oddali, a okazał się masywny, kiedy się zbliżyłem. Zacząłem rozumieć, jak John mógł dokonać skoku z pensjonatu pani Gorgello do domu Galtonów. Szkolił się w tym celu.

Jakiś mężczyzna w kombinezonie i ze spryskiwaczem w ręku wszedł po granitowych schodkach wiodących do ogrodu w dole.

- Państwa nie ma w domu - rzekł. - W lipcu zawsze wyjeżdżają.

- A gdzie można ich znaleźć?

- Jak w sprawach urzędowych, pan Reichler bywa trzy, cztery razy w tygodniu w swoim biurze w Gmachu Reichlera.

- Ja chcę się zobaczyć z panną Adą Reichler.

- O ile wiem, jest z matką w Kingsville. W Kanadzie. Oni mają tam dom. Pan jest przyjacielem panny Ady?

- Przyjacielem przyjaciela - odparłem.

Był wczesny wieczór, kiedy dojechałem do Kingsville. Upał nie zelżał i koszula przywierała mi do pleców. Leżące pod miastem jezioro było jak błękitna mgiełka, w której tkwiły jakby zawieszono pionowo za rozki, białe żagle.

Letni dom Reichlerów stał na brzegu owego jeziora, Od domu teren opadał zielonymi tarasami do prywatnej przystani z krytym pomieszczeniem dla łodzi. Sam budynek był starym drewnianym dworkiem, którego brązowe kryte gontem ściany gęsto spowijał bluszcz. Reichlerowie nie prowadzili tu jednak obozowego życia. Służąca, która otworzyła mi drzwi, miała na sobie świeżutki wykrochmalony fartuszek, nawet czepek. Powiedziała mi, że pani Reichler odpoczywa, a panna Ada pływa łódką. Lada chwila powinna być, jeżeli zechcę poczekać.

Zaczekałem na pomoście pełnym tabliczek „Wstęp Wzbroniony”. Podniósł się lekki powiew i żagłówki zaczęły się kierować ku brzegowi. Obok, niby ptak otrząsający skrzydła z białej wody, przemknął ślizgacz. Fala, którą wzbudził, zachwiała pomostem. Ślizgacz zawrócił i zwalniając podpłynął do brzegu. Przy kole sterowym siedziała dziewczyna z ciemnymi włosami i w ciemnych okularach. Przechyliła głowę

pytająco i wymierzyła palec w swoją opaloną na brąz pierś.

- Pan mnie szuka?

Kiwnąłem głową i wpłynęła do przystani. Schwyciłem cumę, którą mi rzuciła, i pomogłem jej wyjść na pomost. Wyglądała szczupło i gibko w czarnym dwuczęściowym kostiumie. Twarz, gdy zdjęła okulary, miała pociągłą i pełną napięcia.

- Kim pan jest?

Już wcześniej postanowiłem odrzucić swoją poprzednią rolę.

- Nazywam się Archer. Jestem prywatnym detektywem z Kalifornii.

- Przyjechał, pan aż z tak daleka, żeby się ze mną zobaczyć?

- Tak.

- Czemu?

- Ponieważ pani zna Johna Lindsaya.

Jej twarz wyrażała gotowość przyjęcia wszystkiego - złego i dobrego.

- John pana przysłał?

- Niezupełnie.

- Jest w tarapatach?

Nie odpowiedziałem. Szarpnęła mnie za rękę jak dziecko domagające się uwagi.

- Niech mi pan powie, czy John jest w tarapatach. Niech się pan nie boi, potrafię to znieść.

- Nie wiem, czy jest w tarapatach, panno Reichler. Dlaczego pani tak sądzi?

- Nie wiem, nie ma żadnych powodów, dla których miałabym tak sądzić. - Jej głos wznosił się staccato. - Przedstawił mi się pan jako detektyw. Czy to nie znamionuje kłopotów?

- Powiedzmy, że jest w tarapatach. Co wtedy?

- Wtedy naturalnie chciałabym mu pomóc. Dlaczego mówimy zagadkami?

Podobał mi się jej gwałtowny, zdecydowany charakter, domyślałem się, że jest podbudowany uczciwością.

- Nie lubię zagadek tak samo jak pani. Zawrę z panią układ, panno Reichler. Ja powiem pani, co wiem, a pani mnie.

- Co to ma być? Godzina prawdziwej szczerości?

- Ja mówię poważnie i jestem gotów pierwszy zacząć. Jeżeli

panią interesuje sytuacja Johna...

- Sytuacja to takie miłe, neutralne słowo.

- Dlatego go użyłem. Więc jak? Zgoda?

- Zgoda. - Podąła mi rękę na przypieczętowanie owej zgody, jakby to zrobił mężczyzna. - Z góry jednak pana ostrzegam, że nie powiem nic, co by świadczyło przeciwko niemu. Nic zresztą nie wiem, co mogłoby przeciw niemu świadczyć, chyba tylko to, że potraktował mnie jak... zresztą sama sobie jestem winna. - Wzruszyła chudymi ramionami, strząsając z siebie przeszłość. - Możemy porozmawiać w ogrodzie, jeśli pan chce.

Wspięliśmy się tarasami do otoczonego murem ogrodu w cieniu domu. Pełno w nim było barw, woni i kwiatów. Kazała mi usiąść na leżaku naprzeciwko siebie. Powiedziałem jej, gdzie jest John i co robi.

Oczy miała czarne i łagodne, rozjaśnione migotliwym światłem od wewnątrz. Ich wyraz stanowił odbicie wątku moich słów. Kiedy skończyłem, powiedziała:

- To brzmi jak jedna z bajek Grimma. Pastuch okazuje się księciem w przebraniu. Albo jak dzieje Edypa. John miał własną teorię na temat Edypa: że Edyp zabił ojca, ponieważ ojciec wygnał go z królestwa. Uważałam, że to bardzo mądre. - Głos jej się łamał. Starąła się zyskać na czasie.

- John jest mądrym chłopcem - powiedziałem. - A pani jest mądrą dziewczyną i zna go pani dobrze. Czy wierzy pani, że jest tym, za kogo się podaje?

- A pan? - Widząc zaś, że milczę, powiedziała: - Więc ma już dziewczynę w Kalifornii. — Jej dłonie leżały rozwarte na szczupłych udach. Ścisnęła je udami.

- Właśnie ojciec dziewczyny mnie zaangażował. On uważa, że John jest oszustem.

- A pan też?

- Nie chciałbym, ale obawiam się, że tak. Są pewne rzeczy, które wskazują, że cała historia została zmyślona w określonym celu.

- Odziedziczenia pieniędzy?

- Ogólnie biorąc tak. Rozmawiałem z jego gospodynią w Ann Arbor, panią Haskell.

- Znam ją - odparła krótko.

- Wie pani coś o tej ofercie, którą John otrzymał od producenta filmowego?

- Tak, wspominał mi o niej. Miał to być jeden z tych specjalnych kontraktów, jakie producenci filmowi zawierają z obiecującymi młodymi aktorami. Ten człowiek go widział w „Wyborze Hobsona”.

- Kiedy?

- W lutym.

- Poznała go pani osobiście?

- Nie. John powiedział, że producent już wyjechał na wybrzeże zachodnie. W ogóle nie chciał o tym mówić.

- Czy John wymieniał jakieś nazwiska przed swoim zniknięciem?

- Nie przypominam sobie. Sądzi pan, że kłamał o tym producencie? Że to nie była wcale oferta aktorska?

- Bardzo możliwe. Albo dał się po prostu nabrać. Oszuści podali się za producentów albo agentów filmowych, a dopiero potem powiedzieli mu, czego od niego żądają.

- A czemuż by John miał się dać wciągnąć w ich plany? On nie jest przestępcą.

- Majątek Galtonów jest wart miliony. Lada dzień odziedziczy to wszystko. Nawet część tego majątku uczyniłaby go człowiekiem bogatym.

- Ale pan nigdy nie dbał o pieniądze, przynajmniej takie stanowiące spadek. Mógł się ożenić ze mną. Jedną z przyczyn, dla których tego nie zrobił, były pieniądze mego ojca. Przynajmniej tak mówił. Prawdziwym powodem, jak się domyślam, było to, że mnie nie kochał. Czy kocha tamtą?

- Córkę mojego klienta? Nie wiem tego na pewno. Może nie kocha nikogo.

- Jest pan bardzo uczciwy, panie Archer. Dałam panu okazję, ale pan jej nie wykorzystał przeciwko mnie. Mógł pan powiedzieć, że on za nią szaleje, i w ten sposób rozdmuchać żar mojej zazdrości. - Skrzywiła się na tę drwinę z samej siebie.

- Staram się postępować uczciwie wobec uczciwych ludzi.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.



- Te słowa mają mnie załatwić.

- Tak.

Odwróciła głowę i patrzyła ponad wody jeziora, jakby potrafiła sięgnąć wzrokiem aż do Kalifornii. Ostatnie żagle zbliżały się do brzegu, zmykając przed zmrokiem, który opadał jak sadza na linię horyzontu. W miarę jak z nieba spełzało światło, zdawał się coraz bardziej gęstnieć na powierzchni wód.

- Co mu zrobią, jeżeli stwierdzą, że jest oszustem?

- Wsadzą do więzienia.

- Na jak długo?

- Trudno powiedzieć. Łżej się z nim obejdą, jeżeli szybko położymy temu kres. Nie wystąpił jeszcze z żadnymi większymi roszczeniami ani nie wziął większych pieniędzy.

- Sądzi pan naprawdę, szczerze i uczciwie, że wyświadczę mu przysługę przez podważenie jego historii?

- Takie jest moje najszczerze zdanie. Jeżeli jego historyjka jest jedynie stekiem łgarstw, prędzej czy później dowiemy się o tym. Im prędzej, tym lepiej.

Wahała się. Jej profil jak gdyby zastygł. Pod skórą na szyi widniała pojedyncza żyła.

- A więc on twierdzi, że wychował się w sierocińcu w Ohio.

- W Cristal Springs w Ohio. Czy wspominał kiedykolwiek o tej miejscowości?

Zaprzeczyła krótkim, szybkim ruchem głowy. -

- Są pewne dane, że wychował się tutaj, w Kanadzie – powiedziałam.

- Jakie?

- Jego wymowa, pisownia.

Wstała nagle, poszła w koniec ogrodu, schyliła się, żeby zerwać lwią paszczę, i rzuciła ją wzgardliwym ruchem. Wróciła do mnie i stanęła z na wpół odwróconą głową. Szorstkim, oschłym głosem powiedziała:

- Niech mu pan tylko nie mówi, że wie pan to ode mnie. Nie zniosłabym, gdyby mnie znienawidził, choćbym go nawet nigdy nie miała zobaczyć. Ten nieszczęsny bałwan urodził się i wychował tu, w Ontario. Nazywa się naprawdę Theodore Fredericks, a jego matka prowadzi pensjonat w Pitt, nie więcej

jak sześćdziesiąt mil stąd.

Wstałem, zmuszając ją, żeby na mnie spojrzała.

- Skąd pani wie, panno Reichler?

- Rozmawiałam z panią Fredericks. Nie było to bardzo szczęśliwe spotkanie. Nic nie dało żadnej z nas. Nie powinnam była tam jeździć.

- To on panią tam zawiózł, żeby przedstawić swojej matce?

- Skądże. Sama do niej pojechałam przed kilkoma tygodniami, kiedy John zniknął z Ann Arbor. Gdy nie dostałam od niego listu, przyszło mi na myśl, że może pojechał do domu, do Pitt.

- Skąd się pani dowiedziała, że mieszkał w Pitt? Powiedział pani?

- Tak, ale myślę, że to było nie zamierzone. Zrobił to pod wrażeniem chwili, gdy spędzał tu z nami weekend. Był to jedyny weekend, na jaki tu, do Kingsville, przyjechał, bardzo niedobry dla mnie... najgorszy. Z przykrością o nim myślę.

- Czemu?

- Jeśli już pan musi wiedzieć, właśnie wtedy dał mi kosza. W niedzielę rano pojechaliśmy na przejażdżkę. Oczywiście prowadziłam ja. On nigdy nie chciał dotknąć kierownicy mego samochodu. Taki był zawsze w stosunku do mnie, bardzo dumny, a ja nigdy nie byłam dumna wobec niego. Porwał mnie widok kwiatów, pszczoł czy czego tam jeszcze i powiedziałam, żeby się ze mną ożenił. Odmówił bez ogródek.

Musiał spostrzec, jak mnie to zabolowało, bo poprosił, żebym go zawiozła do Pitt. Byliśmy dość blisko tej miejscowości i chciał mi tam coś pokazać. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, kazał mi jechać ulicą biegnącą wzdłuż rzeki skrajem dzielnicy murzyńskiej. Była to okropna dzielnica; brudne dzieci najrozmaitszych kolorów skóry bawiły się w błocie, a niechlujne kobiety wrzeszczały na nie. Zatrzymaliśmy się naprzeciwko starego czerwonego domu z cegły, gdzie na schodkach siedzieli mężczyźni w podkoszulkach i pili wino z dzbana.

John powiedział, żebym się dobrze temu przyjrzała, bo on właśnie stąd pochodzi. Powiedział, że wychował się w tej okolicy, w tym czerwonym domu. Na ganek wyszła kobieta,

żeby zawołać mężczyzn na obiad. Miała skrzekliwy głos i była tłusta jak maciora. John powiedział, że to jego matka.

Nie uwierzyłam mu. Myślałam, że mnie nabiera, poddaje jakiejś głupiej próbie. Owszem, była to swego rodzaju próba, ale nie taka, jak sobie wyobrażałam. Chciał, żebym wiedziała, o nim wszystko. Chciał, żebym przyjęła go, jakim był w istocie. Ale nim to zrozumiałam, było już za późno. Zamknął się w sobie. - Dotknęła swych pełnych żalu ust koniuszkami długich palców.

- Kiedy to się stało?

- Wiosną. Pewnie na początku marca, bo na ziemi wciąż miejscami leżał śnieg.

- Widziała pani później Johna?

- Kilka razy, ale nic z tych spotkań nie wychodziło. Myślę, że żałował później, że tyle mi powiedział o sobie. Nawet wiem na pewno, że żałował. Ta niedziela w Pitt przekreśliła wszelką możliwość porozumienia między nami. Było tak wiele rzeczy, o których nie mogliśmy rozmawiać, że w końcu w ogóle przestaliśmy. Ostatnie nasze spotkanie było dla niego upokarzające, dla mnie zresztą też. Prosił, żebym nie mówiła o jego pochodzeniu, gdyby mnie kiedykolwiek o nie zapytano.

- A kto według niego miał panią zapytać? Policja?

- Władze imigracyjne. Okazało się, że w jego przejściu granicy Stanów Zjednoczonych było coś nielegalnego. I to się zgadza z tym, co później powiedziała jego matka. Że kiedy miał szesnaście lat, uciekł z jednym z jej pensjonariuszy i najwidoczniej przekradł się do Stanów.

- Czy mówiła pani, jak się ten pensjonariusz nazywał?

- Nie. I tak się dziwię, że powiedziała mi aż tyle. Wie pan, jacy ci ludzie bywają podejrzliwi. Ale dałam jej trochę pieniędzy i to rozwiązało jej język. - W głosie dziewczyny brzmiała pogarda i pewnie zdała sobie z tego sprawę. - Wiem, że jestem właśnie taka, jak John mówi, nadziana snobka. Cóż, dostałam w końcu za swoje. Włóczyłam się po slumsach Pitt w upalny letni dzień jak suka, która się goni. Równie dobrze-mogłam nie ruszać się z domu. Jego matka nie widziała go od ponad pięciu lat i nawet nie spodziewała się go kiedykolwiek zobaczyć. Zdałam sobie

wtedy sprawę, że straciłam go na dobre.

- Łatwo go było stracić - powiedziałem - ale to strata niewielka.

Spojrzała na mnie wrogo.

- Pan go nie zna. John jest w gruncie rzeczy wspaniałym człowiekiem, wspaniałym i głębokim. To ja zawiodłam w naszych wzajemnych stosunkach. Gdybym potrafiła go w tamtą niedzielę zrozumieć, powiedzieć to, co akurat należało, nie zaczęłby tego oszukańczego życia. To ja jestem do niczego.

Zrobiła małą grymas i potargała sobie włosy, żeby brzydko wyglądać.

- Jestem zwyczajną jędzą.

- Cicho.

Spojrzała na mnie niedowierzająco, z ręką przyłożoną płasko do skroni.

- Co pan sobie myśli, do kogo pan mówi?

- Do Ady Reichler. Pani jest warta pięciu takich jak on.

- Nie jestem. Jestem do niczego. Zdradziłam go. Nikt nie mógłby mnie kochać. Nikt.

- Powiedziałem, żeby pani była cicho. - Nigdy w życiu nie byłem bardziej wściekły.

- Jak pan śmie tak do mnie mówić? Jak pan śmie! Jej oczy były błyszczące i ciężkie jak rtęć. Pobiegła na oślep w koniec ogrodu, uklękła na skraju trawnika i ukryła twarz w kwiatkach.

Plecy miała smukłe i kształtne. Poczekalem, aż się uspokoi, i podniosłem ją. Odwróciła do mnie twarz.

Ostatnie blaski dnia spelzły z kwiatów i jeziora. Nadciągnęła noc ciepła i wilgotna. Trawa była mokra.

## **Rozdział 25**

Miasto Pitt było pogrążone w mroku, jeśli nie liczyć z rzadka świecących latami i słabej poświaty od rozgwieźdzonego nieba. Jadąc ulicą, o której mówiła Ada Reichler, widziałem rzekę płynącą między domami. Wsiadłszy z samochodu poczułem jej zapach. Chór rozśpiewanych żab sprawiał, że letnia noc

tętniła życiem na jej brzegach.

Na piętrze starego domu z czerwonej cegły przyćmione światło wypełniało zarys okna. Deski werandy zajęczały pod moim ciężarem. Zapukałem do drzwi, pokrytych złuszczoną farbą. Za szybą okna obok drzwi tkwiła kartka oferująca pokoje do wynajęcia.

Nad moją głową zapłonęło światło. Ćmy zawirowały wokół niego jak płatki śniegu. Drzwi otworzył stary zgięty wpół człowiek, który zadarł do mnie wąską siwą głowę.

- Pan czegoś potrzebuje? - Mówił ochryplym szeptem.

- Chciałbym się widzieć z panią Fredericks, gospodynią.

- Ja jestem Fredericks. Jeżeli potrzebuje pan pokoju, ja mogę wynająć panu pokój tak samo jak ona.

- Wynajmujecie pokoje na jedną noc?

- A czemu nie, mam dla pana ładny, frontowy. Będzie pana kosztował... zaraz, zaraz. - Podrapał się po szczecinie na brodzie wywołując chrobotliwy odgłos. Jego zamglone oczy obejrzały mnie z tępą chytrą. - Dwa dolary?

- Chciałbym przedtem obejrzeć pokój.

- Jak pan sobie życzy. Niech pan tylko nie robi za wiele hałasu. Stara... to jest pani Fredericks śpi.

Sam też się już widać kładł. Koszulę miał rozchełstaną, tak że mógłbym mu policzyć żebra, a szerokie szelki w prążki zwisały u pasa. Poszedłem za nim po schodach. Poruszał się niezwykle ukradkowo, a kiedy znalazł się na górze, obrócił się i położył palec na ustach. Światło z sieni w dole rzucało na ścianę jego cień przypominający nastroszonego kondora.

W głębi domu zabrzmiał kobiecy głos:

- Czego ty się tam skradasz?

- Nie chcę pobudzić gości - odrzekł swoim donośnym szeptem.

- Wiesz przecież, że goście jeszcze nie wrócili. Jest tam z tobą ktoś?

- Nie, nie. Tylko ja i mój cień.

Ukazał żółte zęby w uśmiechu, jakby oczekując, że ten żart i mnie uraduje.

- Więc chodź do łóżka - zawołała.

- Za chwilę.

Przeszedł na palcach w głąb korytarza, kiwnął na mnie, żebym wszedł przez otwarte drzwi, i zamknął je cicho za mną. Przez chwilę staliśmy w ciemnościach jak konspiratorzy. Słyszałem jego podniecony oddech.

Potem sięgnął ręką w górę, żeby zapalić lampę. Bujała się na przewodzie rzucając kręgi blasku i cienia na wysoki sufit i umeblowanie pokoju. Składało się ono z biureczka, umywalki z dzbankiem i miednicą oraz łóżka wygniecionego przez niezliczonych gości. Umeblowanie to przypominało mi pokój, który John Brown wynajmował w Luna Bay.

John Brown? John Nikt.

Przyjrzałem się twarzy starego. Trudno było sobie wyobrazić, by jakikolwiek kaprys jego genów mógł stworzyć tego chłopca. Jeżeli Fredericks był kiedykolwiek przystojny, czas nie pozostawił ani śladu dawnej urody. Jego twarz była płatem nierówno zarośniętej skóry naciągniętej na suche kości i przyszpilonej czarnymi ćwiekami oczu.

- Odpowiada panu? - zapytał z niepokojem.

Spojrzałem na kwieciste tapety na ścianach. Słownie powoje wiły się po brązowych kratkach do oznaczonego zaciekami sufitu. Nie wydawało mi się, abym mógł spać w pokoju, w którym powoje wiją się przez całą noc.

- Jeżeli boi się pan pluskiew - rzekł - to niech pan będzie spokojny, bo na wiosnę robiliśmy tu odkażanie.

- Och. Dobrze.

- Wpuszczę trochę świeżego powietrza. - Otworzył okno i przysunął się do mnie bokiem. - Zapłaci pan zaraz gotówką, to dam panu ten pokój za półtora.

Nie zamierzałem spędzić tu nocy, ale postanowiłem dać mu te pieniądze. Wyjąłem portfel i dałem mu dwa dolary. Ręka mu drżała, kiedy je brał.

- Ja nie mam reszty.

- Nie trzeba. Panie Fredericks, pan ma syna.

Obrzucił mnie powolnym, ostrożnym spojrzeniem.

- Mam, a bo co?

- Chłopca imieniem Theodore.

- To już pie chłopiec. Dorosły.

- Dawno go pan widział?

- A ja wiem. Cztery, pięć lat temu. Może dawniej. Uciekł z domu, jak miał szesnaście lat. Ciężko tak mówić o własnym dziecku, ale dobrze, że pozbyłem się tego łobuza.

- Czemu pan tak mówi?

- Bo to prawda. Pan zna Thea?

- Trochę.

- Znowu jest w tarapatach? Dlatego pan przyjechał?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi się nagle otworzyły. Niska, tęga kobieta w szlafroku z flaneli minęła mnie i natarła na Fredericksa:

- Co ty sobie wyobrażasz? Chcesz za moimi plecami wynajść pokój?

- Wcale nie.

Stary wciąż trzymał pieniądze w rękę. Próbował je zmiąć i ukryć w dłoni. Wyciągnęła po nie rękę.

- Oddaj mi pieniądze.

Przycisnęła drogocenną pięść do piersi, przypominających tarę.

- To są tak samo moje pieniądze jak twoje.

- O nie, wcale nie. Ja na nos upadam, żeby zarobić. A ty co? Wszystko przepijasz.

- Od tygodnia nic nie piłem.

- Kłamiesz. - Tupnęła bosą nogą. Ciało zatrzęsło się pod szlafrokiem i siwe warkocze zakołysały się jak sznury wzdłuż pleców. - Wczoraj wieczorem piłeś na dole wino z chłopakami.

- To było za darmo - powiedział, dotknięty w swojej niewinności. - Nie masz prawa tak do mnie mówić przy obcym człowieku.

Wówczas po raz pierwszy zwróciła się do mnie:

- Proszę nam wybaczyć. To nie pana wina, ale jemu nie można dawać pieniędzy. - I dodała niepotrzebnie: - On pije.

Korzystając z tego, że żona na niego nie patrzy, Fredericks ruszył chyłkiem ku drzwiom. Złapała go. Szarpał się bezsilnie w jej uchwycie. Ramiona miała grube jak konary. Rozwarła jego kościstą pięść i schowała banknoty za stanik. Fredericks patrzył na znikające pieniądze jak na uchodzącą nadzieję zbawienia.

- Daj mi choć pięćdziesiąt centów. Nie zbankrutujesz od tego.  
- Ani centa - powiedziała. - Jeżeli myślisz, że ja ci pomogę znów dostać delirium tremens, to się mylisz.

- Chcę tylko jednego drinka.

- Tak, a potem drugiego i trzeciego. Aż będzie ci się wydawało, że szczury łażą pod ubraniem, i znowu będę musiała cię z tego wyciągać.

- Są rozmaite szczury. Żona, która nie chce dać ślubnemu mężowi pięćdziesiąt centów, żeby sobie wyleczył żołądek, jest najgorszym szczurem.

- Odszczekaj to.

Ruszyła na niego wzięwszy się pod boki.

- Dobra, już dobra, odszczekuję. Ale popiję sobie i tak. Mam jeszcze przyjaciół w tym mieście, oni wiedzą, co jestem wart.

- A pewnie. Dają ci śmierdzący samogon tam za rzeką, a potem przychodzą do mnie, żebym im płaciła. Żebyś mi nie śmiał wychodzić dziś wieczorem z domu.

- Nie będziesz mi rozkazywała, traktowała mnie jak szmatę. Nie moja wina, że przez tę dziurę w brzuchu nie mogę pracować. Nie moja wina, że nie mogę zasnąć bez drinka na znieczulenie.

- Zjeżdżaj - powiedziała. - Do łóżka, staruchu.

Odszedł powłócząc nogami i wlokąc za sobą szelki.

Gruba kobieta zwróciła się do mnie:

- Przepraszam za męża. To nie ten sam człowiek, odkąd mu się to przytrafiło.

- Co mu się przytrafiło?

- Był ciężko zraniony.-Jej odpowiedź wydawała się rozmyślnie niejasna. Pod zwałami tłuszczu jej twarz zdradzała oznaki tej samej pełnej uporu inteligencji, co u syna. Zmieniła temat: - Widzę, że zapłacił pan amerykańskimi dolarami. Pan ze Stanów?

- Przed chwilą przyjechałem z Detroit.

- Mieszka pan w Detroit? Nigdy tam nie byłam, ale podobno to ciekawe miasto.

- Prawdopodobnie tak. Ja tylko przejeżdżałem przez Detroit w drodze z Kalifornii.



- Co pana tu sprowadza aż z Kalifornii?

- Kilka tygodni temu został tam zamordowany człowiek nazwiskiem Peter Culligan. Zadźgany nożem na śmierć.

- Zadźgany nożem?

Kiwnąłem głową. Ona też poruszyła głową, jakby mnie do wtóru. Nie odrywając wzroku od mojej twarzy, pani Fredericks wyminęła mnie i usiadła na skraju łóżka.

- Pani go znała, prawda, pani Fredericks?

- Mieszkał tu przez jakiś czas, wiele lat temu. Zajmował właśnie ten pokój.

- Co on tu robił, w Kanadzie?

- Niech mnie pan o to nie pyta. Ja nie żądam od moich gości, aby mi mówili, skąd biorą pieniądze. Przeważnie siedział w tym pokoju i studiował wyniki totalizatora. - Spojrzała na mnie przenikliwie spod ściągniętych brwi. - Pan może z policji?

- Nie, ale współpracuję z policją. Na pewno pani nie wie, po co Culligan tu przyjechał?

- Myślę, że to było dla niego równie dobre miejsce jak każde inne. Culligan był samotnikiem i włączęgå... miewam tu sporo takich. Musiał swego czasu przemierzyć kawał świata. - Podniosła wzrok na cienie na suficie. Lampa już się nie bujała, cienie były koncentryczne, rozszerzały się jak kręgi na wodzie. - Panie, a kto go zadźgał?

- Młody opryszek.

- Mój syn? Mój syn to zrobił? Czy dlatego pan do mnie przyjechał?

- Myślę, że pani syn jest w to zamieszany.

- Wiedziałam. - Policzki jej drżały. - Jeszcze zanim skończył średnią szkołę, rzucił się z nożem na ojca.

O mało go nie zabił. A teraz jest prawdziwym mordercą. - Wparła zaciśnięte pięści głęboko w ciało, które wylewało się wokół jej kulek jak rosnące ciasto. - Jakbym miała za mało w życiu kłopotów. Jeszcze musiałam urodzić mordercę.

- Nic o tym nie wiem, proszę pani. Popęnił oszustwo. I nie sądzę, aby popęnił morderstwo. - W chwili, gdy to wypowiadałem, zastanowiłem się, czy przypadkiem nie mógł być wówczas w pobliżu Culligana i czy ma alibi na ten dzień. -

Ma pani fotografię swego syna?

- Mam, z czasów, kiedy był w szkole średniej. Uciekł przed ukończeniem.

- Mogę zobaczyć tę fotografię, pani Fredericks? Możliwe, że rozmawiamy o dwóch różnych ludziach.

Moje nadzieje okazały się bezpodstawne. Chłopiec na zdjęciu, które przyniosła, był tym samym chłopcem, którego znałem, tylko o sześć lat młodszym. Stał na brzegu rzeki, plecami do wody, i uśmiechał się, świadom swego uroku, do kamery.

Zwróciłem pani Fredericks zdjęcie. Podniosła je do światła i przyglądała mu się, jakby mogła odtworzyć przeszłość z tego jednego obrazu.

- Theo był przystojnym chłopcem - rzekła ze smutkiem. - Dobrze spisywał się w szkole i w ogóle, dopóki nie zaczęły się te jego pomysły.

- Jakie pomysły?

- Głupie pomysły, na przykład że jest synem angielskiego lorda i Cyganie go ukradli, jak był niemowłkiem. Już kiedy był takim małym brzdącem, nazywał siebie Percival Fitzroy, jak z jakiejś książki. Zawsze się tak zachowywał... uważał się za lepszego od swojej rodziny. Martwiłam się, dokąd go te jego mrzonki zaprowadzą.

- Nadal nie przestał marzyć - powiedziałem. - Teraz właśnie twierdzi, że jest wnukiem pewnej bardzo bogatej kobiety z południowej Kalifornii. Wie pani coś o tym?

- Nie miałam od niego żadnych wiadomości. Skąd mogę wiedzieć?

- Pewnie Culligan go do tego namówił. Podobno on uciekł stąd z Culliganem?

- Tak. Ten piekielny łotr namawiał go do tego, nastawiał przeciwko własnemu ojcu.

- Mówi pani, że Theo pchnął ojca nożem?

- Tego samego dnia. - Jej oczy rozszerzyły się i stały się szkliste. - Pchnął go nożem rzeźnickim, ciężko ranił. Fredericks musiał przeleżeć wiele tygodni w łóżku. Nigdy już nie stanął z powrotem na nogi. Ani ja, i pomyśleć, że zrobił to mój własny syn.

- A o co poszło, pani Fredericks?

- Rozwydrzenie i samowola - odparła. - Chciał wyjechać z domu i zacząć własne życie. Ten Culligan go do tego namówił. Udawał, że ma na względzie dobro Thea, a ja wiem, co pan sobie teraz myśli: że Theo dobrze zrobił uciekając z domu od ojca pijaka i tych gości, których tu miewam. Ale życie pokazało, że jest inaczej. Sam pan widzi, na kogo się wy kierował.

- Właśnie tak myślałem, pani Fredericks.

- Wiedziałaś, że źle skończy - powiedziała. - Był pozbawiony naturalnych uczuć. Przez cały ten czas nie napisał do mnie ani razu. Co on robił przez te wszystkie lata?

- Chodził na uniwersytet.

- Na uniwersytet? Chodził na uniwersytet?

- Pani syn jest ambitnym chłopcem.

- Och, on zawsze miał ambicje, jeśli pan to tak określa. Czy właśnie tego nauczył się na uniwersytecie? Jak oszukiwać ludzi?

- Nie, tego nauczył się gdzie indziej.

Może w tym pokoju, myślałem, gdzie Culligan snuł swoje fantazje i postawił na przypadkowe podobieństwo do zamordowanego. Ten pokój miał w sobie piętno Culligana.

Kobieta drgnęła niespokojnie, jakbym wysunął pod jej adresem niejasne oskarżenie.

- Nie twierdzę, że byliśmy dla niego dobrymi rodzicami. Żądał więcej, niż mogliśmy mu dać. Zawsze był marzycielem.

Jej twarz poruszyła się niemrawo, próbując znaleźć kształt prawdy i uczucia. Oparła się na rękach i spuściła wzrok na zwały swego ciała, na wielkie, obwisłe piersi, rozdęty brzuch, z którego wyszedł na świat jej syn. Nad jej głową krążyły wokół wiszącej żarówki owady, prowokując śmierć przez spalanie.

Udało jej się znaleźć w tej sytuacji element optymizmu.

- Przynajmniej nikogo nie zamordował, co?

- Nie.

- A kto zadźgał Culligana? Mówił pan, że jakiś młody opryszek.

- Nazywa się Tommy Lemberg. Tommy i jego brat Roy podobno ukrywają się w Ontario...

- Hamburg, pan powiedział?

- Mogą posługiwać się i tym nazwiskiem. Zna pani Roya i Tommy'ego?

- A jakże. Od dwóch tygodni wynajmują u mnie pokój na dole. Powiedzieli, że się nazywają Hamburg. Skąd miałam wiedzieć, że się ukrywają?

## Rozdział 26

Zaczekałem na Lembergów na ciemnej werandzie. Wrócili do domu po północy; widziałem, jak idą trochę chwiejnym krokiem. Mój zaparkowany samochód wzbudził ich ciekawość, przeszli więc na drugą stronę ulicy, żeby go obejrzeć. Zszedłem ze schodków werandy i ruszyłem za nimi.

Odwrócili się i stanęli tak blisko siebie, że przypominali jedno ciało o dwóch bladych, przerażonych twarzach. Tommy, zwalisty, koślawy, rzucił się do mnie. Rękę miał wciąż na białym temblaku pod marynarką.

Roy uniósł głowę z jakąś rozpaczliwą czujnością.

- Spokojnie, mały.

- Do diabła. Ten znów szuka guza. - Podszedł do mnie szybko i splunął w pył ulicy pod moimi stopami.

- Uspokój się, Tommy. - Roy podszedł do niego. - Porozmawiaj z nim.

- Pewnie, że porozmawiam. — Zwrócił się do mnie: — Mało dostałeś od pana Schwartza? Zrobiłeś taki kawał drogi, żeby dostać jeszcze?

Bez zastanowienia zaparłem się w ziemię piętami i trzasnąłem go z całej siły pięścią w koniuszek brody. Upadł i leżał nie ruszając się. Brat ukląkł przy nim wydając ciche odgłosy oburzenia, które za chwilę przybrały kształt słów:

- Nie miał pan prawa go uderzyć. On chciał z panem rozmawiać.

- Słyszałem, co mówił.

- Bo jest pijany i się boi. Po prostu bluffował.

- Wyłącz się. To kwilenie nie pasuje do wymachiwania nożem.

- Tommy nikogo nie pchnął nożem.

- Jasne, został wrobiony. Culligan zrobił z niego kozła ofiarnego rzucając się na nóż. Tommy tylko stał sobie niewinnie z boku.

- Nie mówię, że jest niewinny. Schwartz go tam posłał, żeby trochę porozrabiał dla strachu. Ale nikomu nie przyszło do głowy, że Tommy nadzieje się na Culligana z nożem i rewolwerem. Tommy dostał kulę próbując zabrać Culliganowi rewolwer. Potem trzasnął Culligana w łeb i to wszystko, jeśli chodzi o Tommy'ego.

- I właśnie w tej chwili ze wzgórz nadjechali Apacze.

- Myślałem, że pana zainteresuje, jak było naprawdę - powiedział Roy roztrzęsionym głosem. - Ale pan myśli tak samo jak inni. Jak człowiek raz upadnie, to już nie ma żadnych ludzkich praw.

- Słusznie, jestem niesprawiedliwy wobec organizacji przestępczych.

Ten dowcip zabrzmiał fałszywie nawet w moich własnych uszach. Roy chrząknął z niesmakiem. Jakby w odpowiedzi na to Tommy jęknął. Oczy miał wciąż wywrócone do góry; pożyłkowane białka były widoczne spod na wpół przymkniętych powiek. Roy wsunął ramię pod głowę brata i unióś ją.

Patrząc na tę bladą twarz, nieprzytomną i tak z pozoru niewinną, doznałem zwątpienia. Wiedziałem, że moja zaciekłość nie dotyczy wyłącznie Tommy'ego Lemberga. Uderzając go, odgrywałem się również na tamtym drugim. Była to moja reakcja na świat drobnych podstępnych opryszków.

Zebrałem do kupy odrobinę nie wiem czego - wiary czy łatwowierności - jaka mi została, i powiedziałem:

- Lemberg, wierzysz w tę bajkę, którą ci brat opowiedział?

- Tak.

- Chcesz poddać ją próbie?

- Nie rozumiem. - Ale jego blada twarz uniosła się nieco lekko. - Jeśli pan myśli o tym, żeby pojechał do Kalifornii, to nie. Z miejsca by się znalazł w komorze gazowej.

- Jeżeli jego wersja jest prawdziwa, na pewno mu to nie

grozić A mógłby zrobić bardzo wiele, by ją udowodnić, gdyby pojechał ze mną z własnej woli.

- On nie może. Siedział już w więzieniu. Jest notowany.

- I to dla ciebie tak wiele znaczy; co? Może nawet więcej niż dla innych ludzi.

- Nie kapuję.

- Czemu nie rozwiążesz tej braterskiej spółki? Zajmij się czymś, co ma jakąś przyszłość. Twojej żonie przydałoby się, żebyś się nią zajął. Źle się z nią dzieje, Lemberg.

Nie odpowiedział. Zachłannie przyciskał do piersi głowę brata. W świetle gwiazd wyglądali jak bliźniacy, zwierciadlane odbicia siebie wzajem. Roy patrzył na Tommyego z zaskoczeniem, jakby nie wiedział, kto z nich jest prawdziwym człowiekiem, a kto tylko odbiciem. Albo kto tu przez kogo jest oświadczył.

Na drodze za mną rozległy się kroki. Była to pani Fredericks, ubrana w płaszcz kąpielowy i z miską wody w rękach.

- Proszę - powiedziała.

Podła mi miskę i schowała się. Nie chciała brać udziału w żadnych awanturach na ulicy. Dość miała kłopotów w domu.

Pryśnąłem wodą Tommy'emu w twarz. Prychnął i usiadł mrugając powiekami.

- Kto mnie uderzył? - A potem zobaczył mnie i przypomniał sobie. - To ty mnie podstępnie uderzyłeś. Uderzyłeś kalekę.

Spróbował wstać. Roy przytrzymał go obiema dłońmi za ramiona:

- Sam się o to prosiłeś, wiesz dobrze. Rozmawiałem z panem Archerem. Wysłucha, co masz do powiedzenia. .

- Chętnie wysłucham prawdy - powiedziałem. - Wszystko inne to tylko strata czasu.

Z pomocą brata Tommy podniósł się na nogi.

- No dalej - zachęcał Roy. - Powiedz panu. I dość tej dziecinady.

- Całą prawdę, pamiętaj - powiedziałem. - Włącznie z rolą Schwartz.

- Dobra, dobra. - Tommy był wciąż oszołomiony. - To Schwartz mnie do tej roboty najał. Przysłał jednego z

chłopaków, żeby mnie odnalazł, i obiecał mi sto dolarów, jak napędzę jednej osobie stracha.

- I jak ją przy okazji zaciukasz?

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- Nic podobnego, miałem tylko napędzić stracha.

- Czym Culligan naraził się Schwartzowi?

- Culligan? Niczym. Jego tam wcale nie miało być, pan rozumie? On się tam zaplątał przez pomyłkę.

- Mówiłem panu - rzekł Roy.

- Cicho. Niech Tommy sam mówi.

- No pewnie - powiedział Tommy. - Ja miałem dać lekki wycisk tej dziwce. Broń Boże żadnej krzywdy, tylko napędzić jej stracha, żeby wreszcie oddała, co była winna Schwartzowi. Jak komornik, pan rozumie? Legalnie.

- Jak ona się nazywa?

- Alice Sable. Posłali mnie, bo wiedziałem, jak ona wygląda. Ubiegłego lata w Reno włóczyła się z Peterem Culliganem. Ale na miłość boską, kto mógł się spodziewać, że on u niej będzie? W jej domu? Mówili mi, że ma przez cały dzień siedzieć sama. A jak z drzwi wyszedł Culligan, uzbrojony po zęby, to jakby mnie kto trzasnął w łeb.

Skoczyłem na niego błyskawicznie, bo ja mam bardzo szybki refleks, ale cały czas go zagadywałem. Chwyciłem za rewolwer, tylko że rewolwer wypalił i dostałem w łapę, ale jednocześnie rewolwer upadł na ziemię. Podniosłem go, a tymczasem Culligan wyciągnął nóż. Co miałem robić? Czekać, aż mnie wybebeszy? Trzasnąłem go rewolwerem w kark i znokautowałem. Potem dałem nogę.

- Widziałeś Alice Sable?

- Widziałem, przybiegła pędem i wrzeszczała na mnie. Właśnie zapuszczałem silnik jaguara, więc warkot zagłuszył jej słowa. Nie czekałem na nic i nie oglądałem się za siebie. Odechciało mi się dawać wycisk jakimś tam dziwkom.

- Czy przed odejściem pchnąłeś Culligana nożem?

- Skądże. Po co miałbym to robić? Człowieku, byłem ranny. Chciałem tylko wiać.

- A co Culligan robił, kiedy odjeżdżałeś?

- Leżał nieruchomo. - Tommy spojrział na brata. - Leżał.  
- Kto cię pouczył, że właśnie tak masz mówić?  
- Nikt.  
- To prawda - rzekł Roy. - Tak samo opowiadał mnie. Pan musi mu uwierzyć.  
- Czy ja mu uwierzę, to nieważne. On musi przekonać szeryfa Traska z powiatu Santa Teresa. A samoloty odlatują w tamtą stronę co chwila.  
- Och, nie! - Tommy popatrywał rozpaczliwie to na mnie, to na Roya. - Jak tam wrócę, postawią mnie przed sądem.  
- Prędzej czy później musisz wrócić. Albo pojedziesz ze mną spokojnie teraz, albo będziemy zmuszeni do wystąpienia o ekstradycję i odbędziesz tę samą drogę w kajdankach i ze skutymi łańcuchem nogami. Jaki wybierasz sposób, łatwy czy trudny?  
Po raz pierwszy w swoim młodym życiu Tommy Lemberg obrał łatwiejszą drogę.

## **Rozdział 27**

Zadzwoiłem do szeryfa Traska do Santa Teresa. Zgodził się przetelegrafować mi zezwolenie na bezpłatny przejazd dla braci Lembergów. Podjąłem je w Willow Run i wsiedliśmy we trzech w poranny samolot. Trask przysłał służbowy samochód na lotnisko w Santa Teresa.

Jeszcze przed południem byliśmy w pokoju przesłuchań sądu powiatowego Santa Teresa. Roy i Tommy złożyli oświadczenia, które zostały zanotowane przez stenotypistę i na taśmie magnetofonowej. Tommy był wyraźnie pod wrażeniem wielkiej sali z okratowanymi oknami, spokojnej siły cechującej szeryfa, powagi prawa, którą zarówno ów człowiek, jak i budynek reprezentowali. Nie było żadnych sprzeczności w części jego oświadczenia, którą słyszałem.

Nim jeszcze Tommy ukończył zeznania a, Trask dał mi ręką znak, żebym z nim wyszedł. Udałem się za nim przez korytarz do jego biura. Zdjął marynarkę i rozpiął kołnierzyk koszuli. Pod



pachami miał wielkie plamy od potu. Napełnił papierowy kubek wodą z kranu, wypił i zgniótł kubek w garści.

- Jeśli w to uwierzemy - rzekł w końcu - znajdziemy się znów w punkcie, z którego wyszliśmy. Pan wierzy w to, Archer?

- Przyjąłem możliwość, że to jest prawda. Uważam, naturalnie, że trzeba rzecz zbadać. Ale można z tym poczekać. Czy pytał pan Frederickxa o zabójstwo Culligana?

- Nie.

- Czy Theo Frederickx w ogóle coś mówi?

- Jeżeli tak, to nie do mnie.

- Ale ujął go pan wczoraj wieczór?

Twarz Traska gwałtownie poczerwieniała. Z początku myślałem, że jest o krok od ataku sercowego. Potem zdałem sobie sprawę, że jest boleśnie zawstydzony. Odwrócił się do mnie plecami, podszedł do ściany i zaczął się przyglądać własnej fotografii, na której ściska dłoń gubernatora.

- Ktoś go ostrzegł - rzekł. - Uciekł na pięć minut przed moim przyjazdem. - Odwrócił się do mnie twarzą. - A najgorsze, że zabrał z sobą Sheilę Howell.

- Siłą?

- Pan żartuje? To prawdopodobnie właśnie ona go ostrzegła. Popeniłem błąd dzwoniąc do doktora Howella, zanim przyskrzyniłem tego szczura. W każdym bądź razie ona zabrała się z nim z własnej woli... po prostu wyszła z domu i odjechała z Fredericksem w środku nocy. Od tego czasu Howell nie złazi mi z karku.

- Howell bardzo kocha swoją córkę.

- Tak, wiem, co musi czuć, ja także mam córkę. Przez chwilę się bałem, że ruszy za nimi z dubeltówką, dosłownie. Howell jest świetnym strzelcem do rzutek, jednym z najlepszych w powiecie. Ale uspokoilem go. Jest w naszej centrali łączności, czeka na jakąś wiadomość.

- Pojechali samochodem?

- Tym, który pani Galton mu kupiła.

- Czerwony thunderbird jest łatwy do wyśledzenia.

- Tak by się wydawało. Ale szukają go bez skutku już od ośmiu godzin. Oni mogą już być w Meksyku. Albo leżeć

spleceni w uścisku w jednym z moteli Los Angeles, zameldowani pod jednym z jego fałszywych nazwisk. - Trask skrzywił się na myśl o tym. - Czemu tak wiele miłych panienek traci głowę dla takich zimnych drani?

Nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi na to pytanie, i bardzo dobrze. Bo nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Trask usiadł ciężko za biurkiem.

- Tylko jak wielki z niego drań? Kiedy wczoraj rozmawialiśmy przez telefon, powiedział pan, że on pchnął kogoś nożem przed ucieczką z Kanady.

- Swego ojca. Najwyraźniej chciał go zabić. Stary też nie jest święty. Prawdę mówiąc, ten pensjonat Fredericksów to istna jaskinia złodziei. Wtedy, kiedy Theo pchnął ojca nożem, mieszkał tam Peter Culligan. Chłopak właśnie z nim uciekł.

Trask wziął ołówek i złamał na pół w roztargnieniu, po czym rzucił połówki na blat biurka.

- Skąd wiemy, czy ten chłopak, Fredericks, nie zabił Culligana? Miał motyw: Culligan mógł go zdemaskować, powiedzieć wszystkim, kim Fredericks naprawdę jest. Sposób działania zgadza się z jego poprzednim wyczynem nożowniczym.

- Myślmy tak samo, szeryfie. Istnieje nawet duże prawdopodobieństwo, że Culligan był współnikiem w znowie. -To by dawało Fredericksowi jeszcze lepszy motyw do uciszenia Culligana. Zakładaliśmy, że Fredericks był tego dnia w Luna Bay. Ale czy jego alibi zostało sprawdzone?

- Nie ma czasu do stracenia.

Trask podniósł słuchawkę telefonu i poprosił centralę o połączenie go z biurem szeryfa powiatu San Mateo w Redwood City.

- Przyszła mi na myśl jeszcze jedna możliwość - powiedziałem. - Alice Sable miała w zeszłym roku romans z Culliganem w Reno, a może nawet do ostatniej chwili. Pamięta pan, jak zareagowała na jego śmierć. Kładliśmy to na karb wstrząsu nerwowego, ale to mogło być coś więcej.

- Sugeruje pan, że to ona go zabiła?

- To tylko hipoteza.

Trask potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

- To jest trudne do przeknięcia nawet jako hipoteza w związku z tą panią.

- A co to za pani? Zna ją pan?

- Widziałem ją raz, i to wszystko. Ale, do diabła, Gordon Sable jest jednym z najwybitniejszych adwokatów w mieście.

Drzemiące w Trasku, jak w każdym z obieralnych urzędników, ambicje polityczne zaczynały dawać znać o sobie, zacierając twarde, wyraźnie określone podejście do sprawy.

- To jeszcze nie stawia jego żony poza wszelkim podejrzeniem - odparłem. - Czy pan ją przesłuchiwał?

- Nie. - Trask zaczął się tłumaczyć, jakby czuł, że coś przeoczył. - Nie mogłem do niej dotrzeć. Sable się temu sprzeciwił, a konowały go poparły. Mówią, że nie wolno jej przesłuchiwać w przykrych dla niej sprawach. Od śmierci Culligana jest na krawędzi załamania nerwowego i wszelki dodatkowy stres może sytuację pogorszyć.

- Jej osobistym lekarzem jest Howell?

- Tak. Prawdę mówiąc, próbowałem do niej dotrzeć właśnie przez Howella. Był stanowczo temu przeciwny, a ponieważ sprawa, wyglądała wówczas dosyć prosto, nie wywierałem na niego presji.

- Howell pewnie już dojrzał do zmiany zdania. Powiedział pan, że on tu gdzieś jest?

- Tak, w centrali łączności. Ale niech pan zaczeka chwilę, Archer. - Trask wstał i obszedł biurko. - To bardzo delikatna sprawa i niech pan nie przykładą zbytnej wagi do zeznań braci Lembergów. Oni nie są bezinteresownymi świadkami.

- Są za głupi, żeby coś takiego zmyślić.

- Ale Schwartz i jego adwokaci nie są.

- Wracamy z powrotem na ten trop?

- To przecież pan mnie sam na ten trop zaprowadził. Był pan przekonany, że Culligan padł ofiarą gangsterskich porachunków.

- Myliłem się.

- Być może. O tym zadecydują fakty, kiedy już wszystkie wyjdą na jaw. Ale jeśli się pan wtedy mylił, to może i teraz się pan myli. - Trask szturchnął mnie żartobliwie pięścią w brzuch.

- Co pan na to, Archer?

Zacwierał telefon i Trask podniósł słuchawkę. Nie mogłem zrozumieć słów, które w niej skrzeczały, ale widziałem efekt, jaki wywarły na Trasku. Zesztywniał cały i twarz zrobiła mu się jakby większa.

- Włączę do akcji swoją eskadrę lotniczą - rzekł w końcu - i będę tam za jakieś dwie godziny. Ale nie siedźcie beczynn timer czekając na mnie. - Odłożył z trzaskiem słuchawkę i sięgnął po marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła.

- Znaleźli tego czerwonego thunderbirda - powiedział. - Fredericks porzucił go w San Mateo. Właśnie chcieli mi przekazać tę wiadomość dalekopisem, kiedy dostali mój telefon.

- Gdzie w San Mateo?

- Na parkingu przed stacją linii kolejowej South Pacific. Fredericks prawdopodobnie pojechał z dziewczyną pociągiem do San Francisco.

- Leci pan samolotem?

- Tak, mam tu od rana pilota-ochotnika z samolotem. Niech pan leci z nami, jeżeli pan chce. To czteroosobowy beechcraft.

- Dziękuję bardzo, mam dość latania na dłuższy czas. Nie poprosił pan, żeby sprawdzili alibi Fredericksa?

- Zapomniałem - odparł Trask beztriosko. - Porozmawiam o tym z Fredericksem osobiście.

Był wyraźnie rad, że zostawia Alice Sable na mojej głowie.

## **Rozdział 28**

Centrala łączności sądu powiatowego była pozbawionym okien pomieszczeniem w suterenie, pełnym świergotu i pisków sygnałów krótkofalowych. Doktor Howell siedział ze zwieszoną głową przed milczącym dalekopisem. Uniósł głowę szybko, gdy do niego przemówiłem. Twarz miał szarą w białym świetle lampy nad głową.

- A więc jest pan. Kiedy pan hulał sobie po świecie na mój koszt, ona z nim uciekła. Czy pan rozumie, co to znaczy?

Nie panował nad swoim głosem. Dwaj policjanci obsługujący aparaturę radiową spojrzeli na niego, a potem na siebie wzajem. Jeden z nich powiedział:

- Jeżeli chcecie sobie, panowie, porozmawiać, to tu nie jest miejsce.

- Niech pan wyjdzie ze mną - powiedziałem do Howella. - Nic pan tu nie zdziała. Niedługo ich złapią, niech pan się nie martwi.

Siedział w bezradnym milczeniu. Chciałem go odciągnąć od dalekopisu, zanim przyjdzie wiadomość z San Mateo. Natychmiast by ruszył do San Francisco, a był mi potrzebny tutaj.

- Doktorze, czy Alice Sable jest pod pana opieką?

Podniósł na mnie pytający wzrok.

- Tak.

- Czy ona jest nadal w klinice?

- Tak. Powinienem tam dziś pojechać. - Potarł czoło koniuszkami palców. - Zaczynam zaniedbywać swoich pacjentów.

- Niech pan pojedzie tam ze mną teraz.

- A po co? ,

- Pani Sable może nam pomóc zakończyć tę sprawę i dotrzeć do pana córki.

Podniósł się z krzesła i stał niezdecydowany przy dalekopisie. Ucieczka Sheili wyzuła go z sił. Wziąłem go za łokieć i wyprowadziłem na korytarz. Gdy już zaczął iść, szedł dalej dziarsko po żelaznych schodkach w biały żar południa.

Jego Chevrolet stał na urzędowym parkingu. Włączając silnik zapytał:

- W jaki sposób pani Sable może nam pomóc znaleźć Sheilę?

- Nie jestem całkowicie pewien, że może. Ale była związana z Culliganem, prawdopodobnie współnikiem Fredericka. Ona może więcej wiedzieć o tym chłopaku niż ktokolwiek inny.

- Nigdy nie wspomniała o nim ani słowem.

- Czy rozmawiała z panem o tej sprawie?

Po chwili wahania odparł:

- Nie będąc praktykującym psychiatrą nie zachęcałem jej do

rozmowy na ten temat. Jednakże sprawa ta wypłynęła w naszej rozmowie. Było to nieuniknione, gdyż wiąże się ona w sposób istotny z jej stanem psychicznym.

- Czy mógłby pan to powiedzieć jaśniej?

- Wolę nie mówić. Zna pan zasady etyki mego zawodu. Sprawa stosunku lekarz-pacjent jest rzeczą świętą.

- Tak samo ludzkie życie. Niech pan nie zapomina, że zamordowano człowieka. Mamy dowody, że pani Sable знаła Culligana, nim jeszcze przyjechał do Santa Teresa. Była też świadkiem jego śmierci. Wszystko, co ma do powiedzenia na ten temat, może mieć wielkie znaczenie.

- Ale jej pamięć w związku z tym wydarzeniem jest iluzoryczna.

- Ma jakieś urojenia na ten temat?

- Tak jest. Jej wersja nie ma jednak nic wspólnego ze znanymi nam faktami. Rozmawiałem o tym z Traskiem i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Culligana pchnął nożem zbir nazwiskiem Lemberg.

- Przeciwnie, jest bardzo wiele wątpliwości-powiedziałem. - Szeryf właśnie zaprotokołował zeznanie Lemberga. Pewien szuler z Reno przysłał Lemberga po pieniądze, które Alice Sable była mu dłużna, i kazał mu ją trochę postraszyć. Ale akurat się napatoczył Culligan. Lemberg ogłuszył go, sam przy okazji dostając kulę, i nieprzytomnego pozostawił na trawniku. Twierdzi, że to ktoś inny musiał pchnąć Culligana nożem, już po jego odejściu.

Twarz Howella zaczęła ulegać dziwacznym przemianom. Jego oczy stały się zarazem surowsze i jaśniejsze. Nie patrzył na mnie ani na nic, co nas otaczało. Zmarszczki wokół jego oczu i kącików ust pogłębiły się i zakrzywiły, jakby go zmuszano do oglądania czegoś potwornego.

- Ale Trask powiedział, że wina Lemberga jest niezaprzeczalna.

- Trask się mylił. Wszyscy się myliliśmy.

- Uczciwie pan sądzi, że Alice Sable cały czas mówiła prawdę?

- Ja nie wiem, co ona mówiła, doktorze. To pan wie.

- Ale Trenchard i inni psychiatrzy byli przekonani, że jej

samooskarżenia są czystym urojeniem. Przekonali również mnie.

- O co ona się oskarża, doktorze? Czy wini siebie za śmierć Culligana?

Howell siedział za kierownicą w milczeniu. Był wstrząśnięty i dzięki temu otwarty przez kilka minut. Teraz znów zamknął się w sobie.

- Nie ma pan prawa wypytywać mnie o najskrytsze sprawy moich pacjentów.

- Obawiam się, że jednak muszę, doktorze. Jeżeli Alice Sable zamordowała Culligana, nie zdoła jej pan osłonić. Dziwię się nawet, że pan próbuje. Nie tylko bowiem łamie pan w ten sposób prawo, ale też zadaje pan gwałt etyce swojego zawodu.

- Pozwoli pan, że sam będę oceniał własną etykę - odrzekł nienaturalnym tonem.

Siedział i zmagał się z jakimś problemem. Jego spojrzenie było gniewne i skierowane do wewnątrz. Pot wystąpił mu na czoło. Czuję, jak utożsamia się z przeżyciami pacjentki. Zapomniał nawet o córce.

- Przyznała się panu do morderstwa, doktorze?

Powoli jego oczy przypominały sobie o mnie.

- Co pan powiedział?

- Czy pani Sable przyznała się do zamordowania Culligana?

- Proszę, aby mnie pan więcej nie wypytywał w tej sprawie.

Nagłym ruchem zwolnił ręczny hamulec. Przez całą drogę do kliniki milczałem, w nadziei, że może dzięki temu będę miał okazję zapytać o to samą panią Sable.

Drzwi otworzyła nam siwowłosa pielęgniarka, która powitała Howella szczególnie miłym uśmiechem:

- Dzień dobry doktorze. Jesteśmy dziś trochę spóźnieni.

- Będę musiał zrezygnować ze zwykłych wizyt. Chcę tylko zobaczyć panią Sable.

- Przykro mi, doktorze, ale już wyjechała.

- Jak to, wyjechała, na miłość boską?

- Pan Sable zabrał ją rano do domu, nie wiedział pan o tym? Mówił, że pan nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Będę, na pewno. Nie wypuszcza się z kliniki pacjentów z

zaburzeniami psychicznymi bez wyraźnego zezwolenia lekarza. Pani się tego jeszcze nie nauczyła?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Howell obrócił się na pięcie i poszedł do samochodu. Musiałem biec, żeby go dogonić.

- Co za głupiec! - rzekł przekrzykując warkot silnika. - Nie można mu pozwolić narażać bezpieczeństwa żony. Ona jest niebezpieczna dla otoczenia i dla siebie samej.

Podczas jazdy powiedziałem:

- Czy była również niebezpieczna dla Culligana, doktorze?

Odpowiedział mi głębokim westchnieniem. Z wolna przedmieścia Santa Teresa ustąpiły otwartej przestrzeni. Przed nami wyrosły wzgórza Arroyo Park. Ze wzrokiem utkwionym w zielone zbocza, Howell rzekł:

- Ta biedaczka powiedziała mi, że go zabiła. A ja byłem taki głupi, że jej nie uwierzyłem. Jakoś jej słowa nie brzmiały prawdopodobnie. Byłem przekonany, że to czcza fantazja, maskująca prawdziwe zdarzenie.

- Czy dlatego nie pozwalał pan szeryfowi jej przesłuchiwać?

Tak. Przy obecnym stanie prawa lekarz ma obowiązek ochraniać swoich pacjentów, zwłaszcza na pół psychopatów. Nie możemy biegać na policję z każdym ich urojeniem. Ale w tym przypadku - dodał z niechęcią - wygląda na to, że się pomyliłem.

- Ale nie jest pan tego pewien?

- Nie jestem już niczego pewien.

- A co dokładnie panu powiedziała?

- Że usłyszała odgłosy walki. Dwóch mężczyzn biło się i obrzucało wyzwiskami. Padł strzał. Była oczywiście przerażona, ale zmusiła się, żeby podejść do frontowych drzwi. Culligan leżał na trawniku. Drugi mężczyzna właśnie odjeżdżał jaguarem. Kiedy znikł jej z oczu, podeszła do Culligana. Chciała mu pomóc, ale zobaczyła nóż leżący na trawie. Wzięła go do ręki i... użyła.

Dojechaliśmy do stóp wzgórza, na którym stał dom Sable'a. Howell skierował samochód na wijącą się do góry stromą drogę. Opony chrobotwały i piszczały jak dusze potępieńców.



## Rozdział 29

Sable musiał usłyszeć samochód i czekać za drzwiami na Howella. Otworzył bowiem natychmiast. Jego przekrwione oczy zaczęły łzawić w silnym słońcu; kichnął.

- Gdzie pańska żona? - spytał Howell.

- Tam, gdzie powinna być, u siebie w pokoju. W klinice jest taki hałas i zamęt...

- Chcę się z nią zobaczyć.

- Żałuję, ale to niemożliwe, doktorze. Wiem, że dręczył ją pan pytaniami o tę nieszczęsną zbrodnię, jaka się zdarzyła na terenie naszej posiadłości. To bardzo Alice wytrąciło z równowagi. Zresztą sam mi pan mówił, że nie należy jej zmuszać do rozmowy na ten temat.

- Ona go poruszyła z własnej woli. Żądam, aby mnie pan do niej wpuścił.

- Żąda pan, doktorze? Na jakiej podstawie? Widzę, że muszę powiedzieć wyraźnie, że od tej chwili rezygnuję z pana usług. Zamierzam zaangażować nowy zespół lekarzy i poszukać miejsca, gdzie Alice będzie mogła znaleźć prawdziwy spokój.

Zdanie to wywołało szepczące echa, przez które przebił się głos Howella:

- Nie angażuje się lekarzy, Sable, i nie zwalnia ich według własnej zachcianki.

- Pańska znajomość prawa jest przestarzała. Może powinien pan zaangażować adwokata. Przyda się panu z całą pewnością, jeśli będzie pan próbował wtargnąć do mego domu siłą. - Głos Sable'a był opanowany, ale dziwnie nienaturalny.

- Mam do spełnienia obowiązek wobec pacjentki. Nie miał pan prawa zabierać jej z kliniki.

- Spoza zasięgu pańskich niedozwolonych metod śledczych, chciał pan powiedzieć? Przypomnę panu, jeżeli muszę, że wszystko, co Alice panu powiedziała, jest sprawą poufną. Zatrudniłem pana i innych ludzi jako jej adwokat, abyście pomogli mi ustalić pewne fakty. Jasne? Jeżeli przekażecie owe fakty, albo inne domniemane fakty, komukolwiek, czy to osobie

prywatnej, czy urzędowej, oskarżę was o zniesławienie.

- Gadasz bzdury - powiedziałem. - Nikogo nie oskarżysz.

- Nie oskarżę? Jesteś w podobnej sytuacji co doktor Howell. Zatrudniłem cię, żebyś przeprowadził określone dochodzenie, i poleciłem, abys mi przekazał jego wyniki ustnie. Wszystko inne będzie pogwałceniem tej umowy. Spróbuj to zrobić, a jak mi Bóg miły, spowoduję, że stracisz licencję.

Nie wiedziałem, czy z punktu widzenia prawa ma rację. Nie dbałem o to. Wsunąłem stopę między drzwi, gdy chciał je zamknąć.

- Wchodzimy, Sable.

- Nie wejdziecie - powiedział jakimś dziwnym głosem.

Sięgnął za drzwi i zobaczyłem w jego rękach sztucer. Był to długi, ciężki sztucer na jelenie, z lunetą. Uniósł go powoli. Miałem przed oczyma wylot lufy, czyściutką, lśniącą spiralę gwintu wewnątrz.

Sable zakrzywił palec na języczku spustu i przycisnął wypolerowaną kolbę do policzka. Jego twarz miała leciuteńki połysk jak porcelana. Zdałem sobie sprawę, że gotów jest mnie zabić.

- Odłóż sztucer - powiedział Howell.

Wysunął się przede mnie, zajmując moje miejsce na linii strzału.

- Odłóż sztucer, Gordon. Nie panujesz nad sobą, jesteś zdenerwowany, boisz się bardzo o Alice. Ale my przecież jesteśmy twoimi przyjaciółmi, jesteśmy też przyjaciółmi Alice. Chcemy ci pomóc.

- Nie mam przyjaciół - rzekł Sable. - Wiem, po co tu przyszliście, wiem, dlaczego chcecie rozmawiać z Alice. Nie pozwolę na to.

- Nie bądź głupi, Gordon. Nie potrafisz się opiekować chorą kobietą. Wiem, że nie dbasz o własne bezpieczeństwo, ale musisz mieć na względzie bezpieczeństwo Alice. Ona wymaga opieki. Odłóż sztucer i pozwól mi się z nią zobaczyć.

- Cofnij się. Będę strzelał.

Sable wypowiedział te słowa wysokim, przenikliwym głosem. Musiała to usłyszeć jego żona, bo z głębi domu dobiegł jej

krzyk:

- Nie!

Sable mrugał powiekami w blasku słońca. Wyglądał jak lunatyk budzący się na skraju przepaści. Gdzieś spoza niego rozlegały się wciąż krzyki jego żony, przerywane głuchym łomotaniem, a potem brzękiem szkła.

Wzięty w dwa ognie Sable zrobił pół obrotu w stronę dolatujących hałasów. Sztucer przesunął się w bok. Wyminąłem Howella i chwyciłem jedną ręką za lufę, a drugą za węzeł krawata Sable'a. Szarpnąłem lufę. Puścił sztucer.

Sable wyrznął w ścianę i omal nie upadł. Dyszał ciężko. Włosy opadły mu na oczy. Przypominał wyglądem staruszkę patrzącą zza grzywki splątanej siwej peruki.

Otworzyłem zamek sztucera. Kiedy go rozładowywałem, usłyszałem odgłos biegnących bosych stóp na wewnętrznym dziedzińcu. W końcu korytarza ukazała się Alice Sable. Jej jasne włosy były zmierzwione, a koszula nocna przylegała ciasno do szczupłego ciała. Na bosą stopę spływała krew z rany w nodze.

- Skaleczyłam się o szybę - powiedziała cicho. - Rozcięłam sobie nogę szklą.

- Musiałaś ją rozbić? - Sable wykonał nagły groźny ruch w jej stronę. Potem przypomniał sobie o nas i rzekł łagodnie: - Wracaj do swego pokoju, kochanie. Nie będziesz chyba biegać przy gościach po domu na wpół naga.

- Doktor Howell to nie gość. Przyszedł opatrzyć moje skaleczenie, prawda?

Skierowała się niepewnie w jego stronę. Howell wyszedł jej na spotkanie z wyciągniętymi rękami.

- Oczywiście, moje dziecko. Chodźmy do twego pokoju, zaraz ci je opatrę.

- Ale ja tam nie chcę wracać. Ja nienawidzę tego pokoju, on mnie przygnębia. Peter mnie tam odwiedzał.

- Cicho bądź! - wykrzyknął Sable.

Schowała się za doktora, jakby starała się zmniejszyć, aby móc korzystać z dziecinnej taryfy ulgowej. Spojrzała ze smutkiem zza ramienia Howella na męża.

- Nic innego mi nie mówisz, tylko ciągle: „cicho bądź”. Cicho bądź, nikomu nie mów. Ale na co to się przyda, Gordon? Wszyscy wiedzą o mnie i o Peterze. Doktor Howell też. Zwierzyłam mu się z tego. - Uniosła rękę do piersi i dotknęła palcami różyczek wyhaftowanych na koszuli nocnej. Jej ociężałe spojrzenie spoczęło na mnie. - Ten człowiek też wie o mnie wszystko, widzę to z jego twarzy.

- Czy pani go zabiła, pani Sable?

- Nie odpowiadaj - rzekł Sable.

- Ale ja chcę się przyznać. Wtedy mi ulży, prawda? - Jej uśmiech był jasny, ale pełen udręki. Za chwilę spełził, pozostawiając po sobie pusty kształt w rysach twarzy i obnażonych zębach: - Zabiłam go. Ten człowiek w czarnym samochodzie go ogłuszył, a ja wyszłam i pchnęłam Petera nożem.

Jej dłoń opadła, zaciśnięta na rękojeści wyimaginowanego noża. Mąż patrzył na nią z nieprzeniknioną twarzą.

- Czemu pani to zrobiła? - zapytałem.

- Nie wiem. Chyba miałam go już dosyć. Przyszedł czas, żeby spotkała mnie kara. Zabiłam i zasłużyłam na śmierć.

Te tragiczne słowa miały w sobie coś nierealnego. Wypowiedziała je jak naturalnej wielkości marionetka, poruszana za pomocą sznurków i zaopatrzona w cudzy głos. Tylko oczy miała własne, one zaś świadczyły z uporem o jej niewinności.

- Zasłużyłam na śmierć - powtórzyła - prawda, Gordon?

Poczerwieniał silnie.

- Nie włączaj mnie w to.

- Ale przecież powiedziałaś...

- Nic takiego nie mówiłem.

- Kłamiesz, Gordon - skarciła go. Być może w jej tonie było trochę złośliwości. - Powiedziałaś, że zasłużyłam na śmierć tymi wszystkimi swoimi występkami. Miałeś rację. Przegrałam wszystkie twoje uczciwie zapracowane pieniądze, poszłam sobie od ciebie i żyłam z innym mężczyzną, a teraz na dodatek jestem jeszcze morderczynią.

Sable uciekł się do autorytetu Howella:

- Czy nie możemy położyć temu kresu? Moja żona jest chora i skaleczona. To niepojęte, że pozwalasz na takie przesłuchanie. Ten człowiek nie jest nawet policjantem...

- Sam ponoszę odpowiedzialność za swoje czyny - powiedziałem. - Czy pani dokładnie pamięta, że pchnęła pani nożem Petera Culligana?

Uniosła rękę do czoła odgarniając włosy, jakby jej zawadzały w myśleniu.

- Nie pamiętam dokładnie, ale musiałam go pchnąć.

- Dlaczego pani mówi, że musiała, skoro pani nie pamięta?

- Gordon to widział.

Spojrzałem na Sable'a. Nie patrzył na mnie. Stał oparty o ścianę, jakby usiłował się w nią wcisnąć.

- Gordona tu nie było - powiedziałem. - Był u pani Galton, kiedy pani telefonowała.

- Ale przyjechał. Podszedł od razu. Peter już od dłuższego czasu leżał na trawie. Wydawał takie śmieszne dźwięki, jakby chrapanie. Rozpięłam mu koszulę, żeby mu było łatwiej oddychać.

- Wszystko to pani pamięta, tylko nie to, że go pani pchnęła nożem?

- Muszę mieć lukę w pamięci. Zawsze miewam takie luki, niech pan zapyta Gordona.

- Ja pytam panią.

- Zaraz, pomyślę. Pamiętam, że włożyłam Peterowi rękę pod koszulę, żeby zobaczyć, czy serce równo bije. Czułam, jak skacze i łomocze. Zupełnie jak małe zwierzątko, które się chce dostać na zewnątrz. Włosy na piersi miał szorstkie jak druty.

Sable wydał gardłowy dźwięk.

- I co wtedy pani zrobiła? - spytałem.

- Ja... nic. Posiedziałam tak chwilę patrząc na niego i na jego biedną pokancerowaną twarz. Objęłam go rękami i próbowałam zmusić, żeby się ocknął. Ale on ciągle tylko chrapał. Chrapał jeszcze, kiedy przyjechał Gordon. Gordon był zły, kiedy mnie tak z nim zobaczył. Uciekłam do domu. Ale patrzyłam przez okno.

Nagle jej twarz się rozjarzyła.

- Ja go nie zabiłam. To nie ja tam byłam. To Gordon. Ja tylko patrzyłam przez okno. Wziął nóż Petera i pchnął go w brzuch. - Zaciśniętą dłonią zilustrowała ten ruch uderzając we własny miękki brzuch. - Trysnęła krew i zalała trawę. Trawa była cała czerwono-zielona.

Sable wysunął głowę w przód. Reszta jego ciała, nawet ramiona i dłonie, były wciąż przyciśnięte do ściany.

- Nie możecie jej wierzyć. Znów ma przywidzenia.

Żona jakby go nie słyszała. Być może całą jej uwagę pochłaniał śpiew wybawienia brzmiący w jej uszach. Łzy płynęły jej z oczu.

- Nie zabiłam go.

- Cicho już. - Howell przytulił ją do piersi.

- To chyba prawda? - powiedziałem.

- Na pewno. Jestem co do tego przekonany. Więc to jej samooskarżenia okazały się w końcu fantazją. Ta relacja jest dużo szczegółowsza. Powiedziałbym, że zrobiła wielki krok w stronę rzeczywistości.

- Jest bardziej zwariowana niż kiedykolwiek-rzekł Sable. - Jeśli sądzicie, że możecie to wykorzystać przeciwko mnie, to jesteście jeszcze więksi wariaci niż ona. Nie zapominajcie, że jestem adwokatem...

- Że jesteś... adwokatem? - Howell odwrócił się plecami do Sable'a i powiedział do jego żony: - Chodź, Alice, opatrzmy tę ranę i ubierzesz się. A potem zrobimy sobie małą przejażdżkę z powrotem do tego miłego domu, gdzie jest tyle innych pań.

- To wcale nie jest miły dom - odparła Alice.

Howell uśmiechnął się do niej.

- To mi się podoba. Mów, co naprawdę wiesz i myślisz, a zabierzemy cię stamtąd na zawsze. Ale jeszcze nie zaraz, co?

- Jeszcze nie zaraz.

Podtrzymując ją jedną ręką Howell wyciągnął drugą do Sable'a.

Klucz od pokoju twojej żony. Nie będzie ci już potrzebny.

Sable podał mu płaski, mosiężny klucz, który Howell wziął od niego bez słowa. Doktor poprowadził Alice Sable korytarzem w stronę wewnętrznego dziedzińca.

## Rozdział 30

Gordon Sable spoglądał za nimi z czymś w rodzaju ulgi. Jego oczy utraciły blask. Był jak wyżęty.

- Nie zrobiłbym tego - rzekł - gdybym wiedział to, co wiem teraz. Są czynniki niemożliwe do przewidzenia... na przykład, zmiany zachodzące w człowieku. Myślisz, że potrafisz dać sobie radę ze wszystkim, że twoje siły są niezniszczalne. A tymczasem pod nawalem spraw zaczynasz te siły tracić. Kilka dni, czy kilka tygodni, i wszystko zaczyna wyglądać inaczej. Nic nie wydaje się warte tych wysiłków. Wszystko się rozłazi w palcach. - Pyknął ustami. - Wszystko idzie w diabły. Tak się to kończy.

- Czemu go zabiłeś?

- Słyszałeś, co mówiła. Kiedy tu przyjechałem, płakała, zawodziła nad nim i próbowała go obudzić pocałunkami. Bebechy mi się wywracały, jak na to patrzyłem.

- Nie mów mi, że to była nagła zbrodnia dokonana w afekcie. Musiałeś wiedzieć o nich od dawna.

- Nie zaprzeczam. - Sable zmienił pozycję, jakby szykując się do zmiany swojej opowieści. - Ubiegłego lata Culligan poderwał ją w Reno. Pojechała tam, żeby się ze mną rozwieść, ale wpadła w szal hazardu, do czego on się walenie przyczynił. Niewątpliwie brał procent od przegranych przez nią sum. Straciła mnóstwo pieniędzy, całą gotówkę, jaką miałem. Kiedy przegrała wszystko i wyczerpała kredyt, Culligan pozwolił jej zamieszkać u siebie. Musiałem tam jechać i błagać ją, żeby wróciła ze mną do domu. Nie chciała. Musiałem mu zapłacić, żeby ją odesłał.

Nie wątpiłem w prawdziwość jego słów. Nikt nie zmyśliłby podobnej opowieści wymierzonej przeciwko sobie samemu. To Sable - wydawało się - nie wierzy w to, co mówi. Słowa padały z jego ust nieważkie, jak wyuczony na pamięć raport z jakiegoś wypadku, którego nie rozumiał, który przydarzył się ludziom w jakimś obcym kraju.

- Po tej historii nigdy już nie zdołałem całkowicie przyjść do

siebie. Ani ja, ani ona. Żyliśmy w tym domu, który dla niej zbudowałem, jakby zawsze nas dzieliła ściana ze szkła. Mogliśmy się wzajemnie widzieć, ale nie mogliśmy właściwie rozmawiać. Musieliśmy udawać, że mamy dla siebie jakieś uczucia, jak błazny albo małpy w oddzielnych klatkach. Jej gesty stały się coraz bardziej fałszywe, moje niewątpliwie też. Role, które graliśmy przed sobą, były coraz ohydniejsze. Alice rzucała się na ziemię i biła pięściami, aż twarz jej siniąła i puchła. A ja śmiałem się z niej i obrzucałem ją wyzwiskami.

Takie rzeczy robiliśmy sobie nawzajem - ciągnął. - Myślę, że na swój sposób byliśmy oboje radzi, kiedy zimą przyjechał Culligan. Właśnie odkopano szczątki Antoniego Galtona i Culligan przeczytał o tym w gazecie. Wiedział, do kogo należały, i przyjechał z tą wieścią do mnie.

- Dlaczego wybrał właśnie ciebie?

- To dobre pytanie. Często je sam sobie zadawałem. Oczywiście Alice powiedziała mu, że jestem adwokatem pani Galton. Być może właśnie dlatego się nią zainteresował. Wiedział, że przegrana Alice postawiła mnie w trudnej sytuacji finansowej. Poza tym potrzebował fachowej pomocy do przeprowadzenia swoich planów; nie był dostatecznie bystry, aby móc je samemu zrealizować. Był jednak na tyle bystry, że wiedział, że jestem od niego nieskończenie bardziej bystry.

Wiedział jeszcze inne rzeczy o tobie, pomyślałem, że byłeś człowiekiem nie kochanym przez nikogo, człowiekiem, którego łatwo ugiąć i w końcu złamać.

- A jak Schwartz wszedł do tej transakcji?

- Otto Schwartz? On nie miał z nią nic wspólnego. - Sable wydawał się urażony tą insynuacją. - Jego jedyny związek ze sprawą polegał na tym, że Alice była mu winna sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Schwartz domagał się ich spłaty i w końcu doszedł do tego, że groził obojgu nam pobiciem. Musiałem skądś zdobyć te pieniądze. Byłem zrozpaczony. Nie wiedziałem, w którą się zwrócić stronę.

- Nie dramatyzuj, Sable. Nie wszedłeś w tę znowę pod impulsem chwili. Pracowałeś nad tym miesiącami.

- Ja temu nie zaprzeczam. Trzeba było wiele zrobić. Pomysł



Culligana nie wyglądał początkowo zbyt obiecująco. Nosił się z nim od chwili, odkąd zetknął się z tym młodym Fredericksem w Kanadzie przed pięciu czy sześciu laty. Znał Antoniego Galtona w Luna Bay i uderzyło go podobieństwo chłopaka do niego. Przewiózł go nawet do Stanów w nadziei, że zarobi jakoś na tym podobieństwie. Ale zadarł z prawem i zgubił ślad chłopaka. Ufał jednak, że jeśli ja poprę plan, uda mu się jakoś go odnaleźć.

Culligan istotnie odnalazł chłopaka, jak wiesz, w Ann Arbor na uczelni. Wybrałem się tam w lutym osobiście i zobaczyłem go w jednym z przedstawień studenckich. Był niezłym aktorem, posiadającym miły rys szczerości. Po rozmowie z nim zdecydowałem, że jeśli w ogóle ktokolwiek, to tylko on zdoła tę rzecz przeprowadzić. Przedstawiłem się jako producent filmowy z Hollywood, urzeczony jego talentem. Kiedy dał się na to nabrać i wziął ode mnie pieniądze, nietrudno przyszło mi go namówić na obmyślaną przez nas rolę.

Sam mu przygotowałem dzieje jego losów, oczywiście. Wymagało to sporo zachodu. Najtrudniej było zwerksłować jego rzeczywiste kanadyjskie pochodzenie w jakąś ślepą uliczkę. Ta sprawa z sierocińcem w Cristal Springs była moim pomysłem. Ale wiedziałem, że sukces przedsięwzięcia zależał w głównej mierze od samego chłopca. Gdyby się powiodło, otrzymałby lwią część zysku. Ja byłem skromny w swoich roszczeniach. Zadowolilem się po prostu obietnicą możliwości kupna, po cenach nominalnych, pewnych terenów roponośnych.

Obserwowałem go, próbując zrozumieć, jak człowiek o tak wielkich zdolnościach przewidywania mógł tak skończyć. Coś musiało mu uniemożliwić wykorzystanie tych zdolności w celach konstruktywnych. Być może tym czymś była płytka duma z własnych knowań, jaką odczuwał nawet teraz.

- Mówi się o przestępstwach stulecia - rzekł. - To byłoby największe ze wszystkich... wielomilionowe przedsięwzięcie bez czyjejkolwiek krzywdy. Chłopak miał tylko pozwolić się odkryć i dać faktom mówić samym za siebie.

- Faktom? - zapytałem ostro.

- Faktom pozornym, jeżeli wolisz. Nie jestem filozofem. My,

prawnicy, nie zgłębiały podstawowych prawd. Kto wie, czym one są? My zajmujemy się pozorami. W tym przypadku było niewiele fałszowania faktów i żadnego podrabiania dokumentów. To prawda, chłopiec musiał powiedzieć kilka kłamstw o swoim dzieciństwie i rodzicach. Cóż znaczy kilka drobnych kłamstw? One uczyniły panią Galton równie szczęśliwą, jakby był jej rzeczywistym wnukiem. A jeśli postanowiła zapisać mu swój majątek, to tylko jej sprawa.

- Czy zmieniła już testament?

- Chyba tak. Ja nie przyłożyłem ręki do tej zmiany. Poradziłem, żeby sobie wzięła innego adwokata.

- Czy to nie było ryzykowne?

- Nie, jeśli się zna Marię Galton, jak ja ją znam. Ona jest tak konsekwentna w swoich negatywnych reakcjach na czyjeś rady, że można na niej śmiało polegać. Skłoniłem ją do zmiany testamentu gorąco namawiając, by tego nie robiła. Wzbudziłem w niej chęć wszczęcia poszukiwań Antoniego twierdząc, że są one beznadziejne. Doprowadziłem nawet do zaangażowania ciebie, nie dopuszczając nawet myśli o jakimś detektywie.

- Czemu właśnie mnie?

- Schwartz mnie przyciskał i musiałem wreszcie pchnąć sprawę naprzód. Nie mogłem sam ryzykować odnalezienia chłopca. Musiał to za mnie zrobić kto inny, ktoś, komu mógłbym zaufać. Myślałem też, że jeśli uda mi się wywieść w pole ciebie, zdołam wywieść w pole wszystkich innych. A jeśli nie wywiodeę cię w pole, liczyłem na to, że może okażesz się... bardziej, nazwijmy to, elastyczny?

- A może bardziej, nazwijmy to, nieuczciwy?

Sable skrzywił się na dźwięk tego słowa. Słowa znaczyły dla niego więcej niż stojące za nimi fakty.

Drzwi w końcu korytarza otworzyły się i pojawili się w nich Alice Sable i doktor Howell. Wisiała u jego ramienia, ubrana i świeżo uczesana, z twarzą pozbawioną wyrazu pod makijażem. Doktor niósł w wolnej ręce białą skórzaną walizkę.

- Sable uczynił pewne wyznanie - powiedziałem Howellowi. - Niech pan zadzwoni do biura szeryfa, doktorze.

- Już to zrobiłem. Zaraz powinni tu być. Zabieram panią

Sable tam, gdzie znajdzie prawdziwą opieką. - I dodał półgłosem: - Mam nadzieję, że będzie to w jej chorobie punkt zwrotny.

- Oby tak było - powiedział Sable. - Oby tak było.

Howell nie odezwał się do niego. Sable spróbował jeszcze raz:

- Żegnaj, Alice. Wiesz, że ci naprawdę dobrze życzę.

Mięśnie jej szyi się napięły, ale nie popatrzyła w jego stronę. Poszła dalej, wspierając się na ramieniu Howella. Jej jasne, wyszczotkowane włosy lśniły jak złoto w blasku słońca. Sztuczne złoto. Miałem odruch współczucia dla Sable'a. Nie dał jej rady. W rosnącą lukę między jej słabością a jej potrzebami Culligan wbił klin i cała konstrukcja się rozpadła.

Sable był człowiekiem bystrym i musiał zauważyć jakąś zmianę w wyrazie mojej twarzy:

- Zdziwiasz mnie, Lew. Nie spodziewałem się, że natrzesz tak gwałtownie. Masz opinię człowieka powściągliwego.

- Pchnięcie Culligana nożem też nie było czynem powściągliwym.

- Ja go musiałem zabić. Zdaje się, że ty tego nie rozumiesz. ,

- Z powodu żony?

- Sprawa z moją żoną to dopiero początek. On się posuwał coraz dalej. Nie zadowolił się dzieleniem ze mną żony i domu. Był nienasycony, wciąż chciał więcej. W końcu zrozumiałem, że chciał zagarnąć dla siebie wszystko. Bez reszty. - Jego głos dygotał z oburzenia. - Po tylu moich staraniach, ryzyku, na jakie się narażę, zamierzał mnie z tego wymanewrować.

- W jaki sposób?

- Poprzez chłopca. Wiedział coś o Fredericksie. Nie zdołałem się dowiedzieć, co to było, nie mogłem tego wydobyć ani z jednego, ani z drugiego. Ale Culligan twierdził, że to mogło całkowicie zrujnować mój plan. Był to oczywiście i jego plan, ale on, jako człowiek nieodpowiedzialny, mógł ów plan unicestwić, gdyby coś się stało nie po jego myśli.

- Więc go zabiłeś.

- Okazja nadarzyła się sama, i skorzystałem z niej. To nie było zaplanowane.

- Po tym, co zrobiłeś żonie, żaden sąd przysięgłych w to nie

uwierzy. Będzie to dla nich morderstwo z premedytacją. Poczekales na okazję zgładzenia człowieka bezbronnego, a potem próbowałeś zwalić winę na chorą kobietę.

- Sama mi to podsunęła - rzekł zimno. - Sama chciała uwierzyć, że go zabiła. Była już o tym na wpół przekonana przed rozmową ze mną, taka się czuła winna z powodu romansu, który z nim miała. Zrobiłem tylko to, co każdy by zrobił na moim miejscu. Widziała, jak pchnąłem go nożem. Musiałem się postarać, żeby o tym zapomniała.

- I właśnie to robiłeś podczas swoich długich wizyt w klinice, podtrzymywałeś w niej poczucie winy?

Trzasnął rozwartą dłonią w ścianę.

- To ona była przyczyną wszystkich kłopotów. Przez nią wszedł w nasze życie. Zasługiwała na karę. Dlaczego ja miałbym płacić za wszystko?

- Wcale nie musisz. Możesz sobie ten dług rozłożyć na raty. Powiedz, jak dotrzeć do tego Fredericksa.

Spojrzał na mnie kątem oka.

- Chciałbym jakiejś rekompensaty. - Myśl o tym tchnęła w niego ducha. Zaczął mówić coraz szybciej i szybciej, aż jego głos przeszedł niemal w terkot: - Prawdę mówiąc, to on ponosi winę za ten cały paskudny galimatias. Jeżeli to pomoże wyjaśnić sprawę, mogę być świadkiem oskarżenia. Alice nie wolno zmusić do świadczenia przeciwko mnie. Nie wiesz nawet, czy to, co mówi, jest prawdą. Skąd wiesz, czy mówi prawdę? Ja mogę po prostu ją osłaniać. - Głos mu się unióśł w maniackiej nadziei.

- A skąd wiesz, że żyjesz, Sable? Chcę mieć twojego wspólnika. Dziś rano był w San Mateo. Co on zamierza?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Kiedy go ostatni raz widziałeś?

- Nie wiem, dlaczego miałbym z tobą współdziałać, skoro ty nie chcesz współdziałać ze mną.

Nadal jeszcze trzymałem rozładowany sztucer w ręku. Odwróciłem go kolbą do góry i uniosłem jak maczugę. Byłem tak wściekły, że byłbym go uderzył, gdybym musiał.

- Dlatego.

Cofnął głowę tak szybko, że stuknął nią w ścianę.

- Nie możesz używać takich metod. To nielegalne.

- Przestań puszczać bańki, Sable. Czy Fredericks był tutaj wczoraj w nocy?

- Tak. Chciał, żebym zainkasował za niego czek. Dałem mu całą gotówkę, jaką miałem w domu. Ponad dwieście dolarów.

- Na co mu była potrzebna?

- Nie mówił mi. W ogóle mówił niezbyt sensownie. Wyglądało na to, że nie wytrzymał już nacisku.

- Co powiedział?

- Nie mogę powtórzyć tego słowo w słowo. Sam byłem zdenerwowany. Zadał mi mnóstwo pytań, na które nie mogłem odpowiedzieć, wszystkie dotyczyły Antoniego Galtona i tego, co się z nim stało. To oszustwo musiało mu pomieszać w głowie. Robił wrażenie przekonanego, że jest istotnie synem Galtona.

- Czy była z nim Sheila Howell?

- Tak, była. Teraz rozumiem, o co ci chodzi. To była gra na jej użytek; ona to z całą pewnością wzięła za dobrą monetę. Był bardzo podniecony i groził mi użyciem siły, jeśli mu nie powiem, kto zamordował Galtona. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. W końcu przyszło mi na myśl nazwisko tej kobiety z Redwood City... dawnej pielęgniarki Galtonów.

- Pani Matheson?

- Tak. Musiałem mu coś powiedzieć, żeby się go w jakiś sposób pozbyć.

Radiowóz policyjny wjechał z wyciem syreny na wzgórze i zatrzymał się przed domem. Wsiadł z niego Conger z drugim policjantem. Sable'a czekał nie lada wysiłek, żeby się ich pozbyć.

## Rozdział 31

Podrzucili mnie na lotnisko i wsiadłem do samolotu. Było to to samo stare pudło z dwoma silnikami, które wiozło mnie na północ przed trzema tygodniami. Nawet stewardesa była ta sama. Tyle że wyglądała młodziej i bardziej niewinnie. Czas

zatrzymał się dla niej, mnie natomiast prznosił błyskawicznie w przedwczesny wiek średni.

Pocieszyła mnie dropsami i kawą w papierowym kubku. Wkrótce zobaczyłem niebieską zatokę i słone równiny.

Dom Mathesonów był szczelnie zamknięty, z pozasłanianymi oknami, jakby panowała w nim choroba. Poprosiłem taksówkarza, żeby zaczekał, i zapukałem do drzwi. Otworzyła mi sama Marian Matheson.

Żyła w podobnym tempie co ja i starzała się szybko. W jej włosach było więcej siwizny, twarz była bardziej koścista. Ale ten proces zmian złagodził jej rysy. Nawet głos miała łagodniejszy.

- Można by powiedzieć, że spodziewałam się pana. Miałam dziś rano gościa.

- John Galton?

- Tak, John Galton... ten mały chłopczyk, którym się opiekowałam w Luna Bay. To było duże przeżycie, takie spotkanie po tylu latach. Była też dziewczyna. Przywiózł z sobą swoją dziewczynę. - Zawahała się, po czym otworzyła szerzej drzwi. - Proszę wejść.

Zaprowadziła mnie do zaciemnionego salonu i posadziła na fotelu.

- Po co do pani przyjechali?

- Po to, co pan. Po informacje.

- O czym?

- O tamtej nocy. Sądziłam, że ma prawo wiedzieć całą prawdę, więc mu powiedziałam to samo, co panu, o Culliganie i Siłaczku. - Jej odpowiedź wydała mi się niejasna, być może nie chciała odnawiać w pamięci tego wydarzenia.

- Jak on zareagował na to?

- Był bardzo przejęty. A już specjalnie nastawiał uszu, kiedy mu powiedziałam o rubinach.

- Czy wyjaśniał, czemu się tak interesuje tymi rubinami?

- Nie wyjaśniał nic. Wstał i wyszedł w pośpiechu. Wsiadł do małego czerwonego samochodu i pomknęli jak szaleni. Nie zaczęli nawet, żeby wypić kawę, którą im parzyłam.

- Czy byli przyjaźnie nastawieni?

- Do mnie? Bardzo. Dziewczyna była dla mnie bardzo miła. Zwierzyła mi się, że jak tylko dla Johna przejaśni się horyzont, mają zamiar się pobrać.

- Co ona rozumiała przez to przejaśnienie horyzontu?

- Nie wiem, powtarzam jej słowa. - Ale zerknęła na promienie słońca przedostające się przez zasłony, jak ktoś, kto dobrze rozumie, co to znaczy. - Był bardzo przejęty tą opowieścią o śmierci ojca.

- Czy mówił, co zamierza dalej robić, dokąd się udać?

- Nie. Ale zapytał mnie, jak się dostać na lotnisko... czy tam jeżdżą autobusy. Zdziwiło mnie trochę, że pyta o autobusy mając nowiutki sportowy samochód przed domem.

- On ucieka przed aresztowaniem, proszę pani. Wiedział, że natychmiast dostrzeżono by ten samochód, gdyby zajechał nim na lotnisko.

- Kto go chce zaaresztować?

- Ja, na przykład. On nie jest synem Galtona czy Browna. Jest oszustem.

- To niemożliwe. Toż to wykapany ojciec.

- Wygląd bywa zwodniczy i nie pierwsza pani dała się na to nabrać. On się naprawdę nazywa Theo Fredericks. Jest drobnym łotrzykiem z Kanady, z wyczynem nożowniczym na koncie.

Podniosła rękę do ust:

- Z Kanady, pan powiedział?

- Tak. Jego rodzice mają pensjonat w Pitt, w Ontario.

- Ależ oni właśnie tam się wybierali, do Ontario. Słyszałam, jak do niej mówił, byłam wtedy w kuchni, że nie ma bezpośrednich lotów do Ontario. To było tuż przed ich odjazdem.

- O której tu byli?

- Wczesnym rankiem, tuż po ósmej. Czekali na mnie przed domem, kiedy wróciłam po odwiezieniu Rona na stację.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła piąta. Mieli więc prawie dziewięć godzin. Przy pomyślnych połączeniach mogli już być w Kanadzie.

I przy pomyślnych połączeniach mogłem i ja tam być za

jakieś osiem, dziewięć godzin.

Pani Matheson odprowadziła mnie do drzwi.

- Czy te kłopoty będą trwały wiecznie?

- Właśnie już widać ich kres - odparłem. - Przykro mi, że w końcu nie udało mi się pani z nich wyłączyć.

- Nie szkodzi. Powiedziałam wszystko Ronowi. Cokolwiek się stanie - czy będę musiała występować w sądzie, czy nie - damy sobie z tym radę. Mój mąż jest bardzo dobrym człowiekiem.

- I ma dobrą żonę.

- Nie. - Ruchem palców jak gdyby strzepnęła ten komplement. - Ale kocham jego i syna, a to już coś znaczy. Cieszę się, że powiedziałam Ronowi. Spadł mi bardzo ciężki kamień z serca. - Uśmiechnęła się z powagą. - Mam nadzieję, że i tej dziewczynie wszystko się jakoś ułoży. Trudno mi uwierzyć, że chłopak jest oszustem. Ale wiem, że w życiu różnie bywa.

Spojrzała w słońce.

W drodze na lotnisko międzynarodowe przejeżdżałem taksówką koło sądu Redwood City. Chciałem zatrzymać się i skontaktować z Traskiem. Ale się rozmyśliłem. To była moja sprawa i chciałem ją zakończyć sam.

Być może doznałem przebłysku prawdy.

## Rozdział 32

Wjechałem wynajętym samochodem do Pitt o trzeciej, w najciemniejszej porze nocy. Ale w czerwonym domu nad rzeką paliły się jeszcze światła. Drzwi otworzyła mi pani Fredericks w pełni ubrana w zrudziałą czerń. Jej otyła twarz przybrała wyraz uporu na mój widok.

- Nie ma pan po co tu przychodzić. Czego pan tu szuka? Ja nie wiedziałam, że tych Hamburgów ściga policja.

- Nie tylko ich. Był tu pani syn?

- Theo? - Jej oczy i usta rozwarły się szeroko w poszukiwaniu odpowiedzi. - Nie widziałam go od lat.

Z cienia poza nią rozległ się ochryply szept:



- Niech pan jej nie wierzy. - Opierając się ręką o ścianę wystąpił przed nią mąż. Wyglądał na bardzo pijanego. - Ona dla niego gotowa załgać się na śmierć.

- Trzymaj język za zębami, stary.

Ciemny gniew wypełnił jej oczy, jakby się nasączyły atramentem: widziałem to samo zjawisko u jej syna. Natarła na męża, który się prędko wycofał. Jego twarz przypominała jakąś porowatą, wilgotną, topniejącą substancję. Ubranie miał zakurzone.

- Widział go pan, panie Fredericks?

- Nie. Na szczęście dla niego nie było mnie w domu, bobym mu pokazał, czym jest. - Jego podobny do tasaka profil przeciął powietrze. - Ale ona go widziała.

- Gdzie on jest, proszę pani?

Ale odpowiedział za nią mąż:

- Powiedziała mi, że zameldował się w hotelu, z tą dziewczyną.

Jakieś niejasne uczucie, winy czy oburzenia, kazało jej powiedzieć:

- Wcale nie musieli iść do hotelu, Zaproponowałam im miejsce w moim domu. Ale pewnie mój dom nie jest dostatecznie dobry dla tej dziewczyny.

- Czy jej się nic nie stało?

- Chyba nic. Ale Theo mnie martwi. Po co przyjechał tu po tylu latach? Nie mogę go zrozumieć.

- Zawsze miał zwariowane pomysły - rzekł Fredericks, - Ale to chytry lis. Niech pan uważa, jak pójdzie go pan aresztować. On pięknie gada, ale jest niebezpieczny.

- Gdzie jest ten hotel?

- W śródmieściu. Hotel Miejski... trudno tam nie trafić. Tylko niech pan zostawi nas w spokoju. On będzie się starał wciągnąć nas w swoje kłopoty, ale ja jestem człowiekiem przyzwoitym...

- Zamknij się, ty!... - krzyknęła jego żona. - Ja chcę go jeszcze zobaczyć.

Zostawiłem ich w starciu, które należało u nich do .zjawisk normalnych.

Hotel był dwupiętrowym budynkiem z czerwonej cegły z

oświetlonym narożnym oknem pierwszego piętra. Drugie światło rozjaśniało hall. Nacisnąłem przycisk dzwonka na biurku. Z ciemnego pokoju w głębi wyszedł ziewając mężczyzna w średnim wieku, z zielonym daszkiem na czole.

- Wcześniej pan wstaje - powiedział.

- Nie, późno się kładę. Może mi pan wynająć pokój?

- Pewnie, że tak. Mam więcej pustych pokoi niż włosów na głowie. Z łazienką czy bez?

- Z łazienką.

- To będzie kosztować trzy dolary. - Otworzył wielką księgę ze skórzanymi rogami i pchnął ją w moją stronę. - Niech się pan wpisze na tej linii.

Wpisałem się. Linijkę wyżej zobaczyłem wpis: Johnowie Galtonowie, Detroit, Michigan.

- Widzę, że ma pan tu jeszcze innych Amerykanów.

- Tak. Mili młodzi ludzie, zameldowali się wczoraj wieczorem. Pewnie spędzają miodowy miesiąc i są w drodze do wodospadów Niagara. W każdym razie umieściłem ich w apartamencie nowożeńców.

- To ten narożny na pierwszym piętrze?

Obrzucił mnie ostrym, nieprzyjemnym spojrzeniem.

- Nie chce im pan chyba przeszkadzać?

- Nie, chciałem tylko wpaść do nich z rana.

- To niech pan to lepiej zrobi nie za wcześnie. - Zdjął klucz z haczyka i rzucił na biurko. - Daję panu pokój dwieście dziesięć, w przeciwnym końcu korytarza. Zaprowadzę pana, jak pan chce.

- Nie, dziękuję, sam trafię.

Wszedłem na schody, które mieściły się w głębi hallu. Nogi miałem ciężkie. Wyjąłem z torby pistolet automatyczny kaliber 7,2 mm i włożyłem magazynek. Chodnik w mgliście oświetlonym korytarzu był wytarty, ale dostatecznie gruby, aby stłumić moje kroki.

W pokoju w rogu wciąż płonęło światło sącząc się na korytarz przez otwarte okienko nad drzwiami. Słychać też było ciężki oddech śpiącego, długie westchnienia, które się nagle urywały. Spróbowałem drzwi. Były zamknięte.

Rozległ się donośny głos Sheili Howell:

- Kto tam?

Czekałem.

- John. Obudź się.

- Co się stało? - Jego głos rozległ się nieco bliżej.

- Ktoś próbuje wejść.

Usłyszałem skrzypnięcie sprężyn łóżka, odgłos jego stóp. Obróciła się mosiężna gałka.

Szarpnął gwałtownie drzwi i wyskoczył z prawą . pięścią gotową do ciosu. Na mój widok chciał się zamachnąć, ale spostrzegł rewolwer w mojej dłoni i zastygł bez ruchu. Był nagi do pasa. Pod jasną skórą widniały naprężone mięśnie.

- Spokojnie, chłopcze. Ręce do góry.

- To niepotrzebny nonsens. Niech pan schowa rewolwer.

- Ja tu rozkazuję. Załóż ręce na tył głowy, odwróć się i wejdź wolno do pokoju.

Robił, co mu kazałem, opornie, jak kamień zmuszony do ruchu. Gdy się odwrócił, zobaczyłem białe blizny na jego plecach, setki blizn, jak klinowate nacięcia.

Sheila stała koło zmiętoszonego łóżka. Była w znacznie za dużej dla siebie męskiej koszuli. Ta koszula i rozmazana szminka nadawały jej wulgarny wygląd.

- Kiedy zdążyliście się pobrać?

- My się nie pobraliśmy. Jeszcze nie. - Rumieniec przeszedł jak ogień z jej szyi na policzki. - Wcale nie jest tak, jak pan myśli. John jest ze mną w jednym pokoju, ponieważ go o to prosiłam. Bałam się. I spał w nogach łóżka.

Chłopak zrobił uciszający gest uniesionymi rękami.

Nie mów mu nic. On jest po stronie twego ojca. Wszystko, co powiesz, przekręci i użyje przeciwko nam.

- To nie ja jestem specjalistą od kręcenia, Theo.

Obrócił się w moją stronę tak gwałtownie, że mało go nie postrzeliłem.

- Niech mnie pan tak nie nazywa.

- Przecież tak się właśnie nazywasz.

- Ja się nazywam John Galton.

- Daj spokój. Twój współnik, Sable, przyznał mi się wczoraj

do wszystkiego.

- Sable nie jest moim wspólnikiem. Nigdy nie był.

- Sable mówi co innego, i mówi do rzeczy. Nie myśl, że cię osłania. Wystąpi jako świadek oskarżenia w sprawie waszej zмовы, bo dzięki temu będzie mógł zyskać we własnej sprawie o morderstwo.

- Chce pan powiedzieć, że Sable zamordował Culligana?

- To dla ciebie nic nowego, co? Wiedziałeś o tym i nic nie mówiłeś, kiedy my traciliśmy tygodnie idąc fałszywym tropem.

- Proszę pana - wkroczyła między nas Sheila. - Pan nie rozumie sytuacji. To prawda, John podejrzewał Sable'a, ale nie mógł w żaden sposób pójść ze swoimi podejrzeniami na policję. Sam był podejrzany. Niech pan odłoży tę straszną broń. Niech pan pozwoli mu się wytłumaczyć.

Jej ślepa wiara w niego zezłościła mnie.

- On się nie nazywa John. On jest Theo Fredericks, pochodzi stąd i wyjechał z Pitt kilka lat temu, pchnąwszy wpierw nożem własnego ojca.

- Ten okropny Fredericks nie jest jego ojcem.

- Mam na to słowo jego matki.

- Ona kłamie - rzekł chłopak.

- Wszyscy kłamią, oprócz ciebie, co? Sable mówi, że jesteś oszustem, a on powinien wiedzieć.

- Pozwoliłem mu tak sądzić. Rzecz w tym, że kiedy go pierwszy raz spotkałem, jeszcze nie wiedziałem, kim jestem. Przystąpiłem do układu, który mi zaproponował, częściowo w nadziei, że właśnie się dowiem.

- Pieniądze nie miały z tym nic wspólnego?

- Istnieją rzeczy ważniejsze od pieniędzy. Ja chciałem się przede wszystkim upewnić, kim jestem.

- I już się upewniłeś?

- Tak. Jestem synem Antoniego Galtona.

- A kiedy spadło na ciebie to szczęśliwe objawienie?

- Pan nie traktuje moich słów poważnie, ale mimo to panu powiem. To narastało stopniowo. Myślę, że się zaczęło wtedy, kiedy Gabe Lindsay zobaczył we mnie coś, o czym nie wiedziałem. A potem doktor Deneen rozpoznał we mnie syna

mego ojca. Kiedy zaś i babka uznała mnie za swego wnuka, pomyślałem, że może to prawda. Ale dopiero w ciągu tych ostatnich dni dowiedziałem się, że to jest rzeczywiście prawda.

- Co się stało w ciągu tych ostatnich dni?

- Sheila mi uwierzyła. Opowiedziałem jej wszystko, całe moje życie, i ona mi uwierzyła.

Popatrzył na nią niemal wstydliwie. Wzięła go za rękę. Poczulem się jak intruz w ich pokoju. Być może wyczuł we mnie tę zmianę, bo zaczął mówić o sobie już pewniejszym, spokojniejszym tonem:

- W rzeczywistości sprawa sięga znacznie głębiej.

Podejrzałem tę prawdę o sobie, albo jej część, jeszcze gdy byłem małym chłopcem. Nelson Fredericks nigdy mnie nie traktował jak swoje własne dziecko. Bijął mnie sprzączką od pasa. Nigdy nie miał dla mnie dobrego słowa. Wiedziałem, że nie może być moim prawdziwym ojcem.

- Wielu chłopców odczuwa to samo wobec prawdziwych ojców.

Sheila przysunęła się do niego bliżej, pełnym tkliwej opiekuńczości ruchem przyciskając nieświadomie jego dłoń do piersi.

- Proszę go wysłuchać. Wiem, że jego opowieść brzmi niesamowicie, ale jest tylko tak niesamowita jak życie. John opowiada panu szczerą prawdę na tyle, na ile ją zna.

- A na ile owa prawda jest mu znana? Niektórzy nawet bardzo poważni ludzie myślą, że są Bóg wie kim i że Bóg wie co im się od życia należy.

Myślałem, że znowu wybuchnie, zaskoczył mnie więc tym, co powiedział:

- Wiem, tego się właśnie bałem, że mam na tym punkcie fioła. Naprawdę miałem lekkiego chyzia, kiedy byłem mały. Wyobrażałem sobie, że jestem księciem, który się znalazł w przytułku dla ubogich, i tak dalej. Matka mnie w tym utwierdzała. Ubierała mnie w aksamitne ubranka i mówiła, że jestem inny niż wszyscy.

A wcześniej, nawet dużo wcześniej, opowiadała mi taką jedną historyjkę. Była wtedy młoda. Pamiętam, że twarz miała

szczupłą i ani jednego siwego włosa. Byłem zaledwie szkrabem i myślałem, że to bajka. Zdaję sobie teraz sprawę, że była to opowieść o mnie. Chciała, abym dowiedział się o swoich losach, ale bała się je opowiedzieć wprost.

Opowiadała, że byłem synem króla i mieszkaliśmy w pałacu pełnym słońca. Ale młody król zmarł i jakiś potwór nas porwał i zamknął w lodowych jaskiniach, gdzie wszystko było brzydkie. Zrobiła z tego rodzaj rymowanki. Pokazywała mi też złoty pierścionek z czerwonym oczkiem, który ten młody król dał jej na pamiątkę.

Skierował na mnie dziwne pytające spojrzenie. Po raz pierwszy nasze oczy naprawdę się spotkały.

- Z rabinem? - zapytałem.

- Chyba tak. Rozmawiałem wczoraj w Redwood City z pewną kobietą nazwiskiem Matheson. Pan ją zna, prawda? Słyszał pan, co opowiadała. Wyjaśniło mi to wiele rzeczy, które dotychczas były dla mnie zagadką, i potwierdziło to, co dużo wcześniej mi powiedział Culligan. Że mój ojczym jest byłym skazańcem, który naprawdę nazywa się Fred Nelson. Poznał moją matkę w miejscu, które się nazywało „Gospoda pod Czerwonym Koniem” i zrobił z niej swoją... kochankę. Gdy Nelson poszedł do więzienia, matka wyszła za mąż za mojego ojca. Ale Fred Nelson uciekł z więzienia, odnalazł ich i zamordował ojca. - Głos jego przeszedł w ledwie słyszalny szept.

- Kiedy Culligan ci to powiedział?

- Tego dnia, kiedy z nim uciekłem. Właśnie pobili się z Fredericksem o rachunek za pobyt Culligana w pensjonacie. Przysłuchiwałem się temu ze schodów do piwnicy. Zawsze się bili. Fredericks był starszy od Culligana, ale strasznie go pobił, gorzej niż zwykle, i zostawił nieprzytomnego w kuchni na podłodze. Nalałem Culliganowi wody na twarz i oprzytomniał. Właśnie wtedy mi powiedział, że Fredericks zabił mojego ojca. Wziąłem nóż rzeźnicki z szuflady i schowałem w swoim pokoju na górze. Kiedy Fredericks chciał mnie tam zamknąć, pchnąłem go tym nożem w brzuch.

Myślałem, że go zabiłem. Nim zobaczyłem gazetę i

dowiedziałem się, że on żyje, byłem już za granicą. Przejechałem przez tunel Detroit, ukryty pod workami w pustej ciężarówce. Straż graniczna nie znalazła mnie, ale złapała Culligana. Zobaczyłem go dopiero ostatniej zimy. Powiedział mi wtedy, że mi nakłamał, że Fredericks nie miał nic wspólnego ze śmiercią mego ojca, że on po prostu tak powiedział, aby mnie nastawić przeciwko niemu.

Rozumie pan teraz, dlaczego postanowiłem przystąpić do spisku Culligana. Nie wiedziałem, kiedy Culligan mi skłamał, a kiedy powiedział prawdę, i czy prawda nie leży gdzieś indziej. Podejrzywałem nawet, że Culligan sam zabił mego ojca. Bo skąd by w ogóle wiedział o morderstwie?

- On był w to morderstwo zamieszany - powiedziałem. - Dlatego właśnie odwołał poprzednie słowa, kiedy chciał się tobą posłużyć. To była właśnie przyczyna, dla której nie mogłem powiedzieć innym, nawet Sable'owi, że wie, kim jesteś.

- W jaki sposób był zamieszany?

W jaki nie był? - myślałem. Jego życie przewijało się przez tę całą sprawę jak-kawałek brudnego sznurka. Naznaczył Antoniego Galtona pod topór, tak samo jak jego mordercę z kolei pod nóż. Pomógł na wpół chorej psychicznie kobiecie stracić wszystkie pieniądze, a potem zaszczepił jej mężowi szaleńcze marzenie o bogactwie. Co w końcu doprowadziło go do pełnego ironii finału, kiedy to wszystko zbiegło się razem w jedną ostateczną rzeczywistość i Gordon Sable go zabił dla podtrzymania kłamstwa.

- Nie rozumiem - rzekł John. - Co Culligan miał wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

- Był organizatorem całej sprawy. Rozmawiałeś z matką o okolicznościach morderstwa? Była prawdopodobnie jego świadkiem.

- Była czymś więcej. - Mało nie zadławił się tymi słowami.

Sheila spojrzała na niego z niepokojem.

- John? Johnny?

Nie odpowiedział. Spojrzenie miał ciemne i zwrócone do wewnątrz.

- Jeszcze nawet wczoraj mi kłamała, udawała, że Fredericks

jest moim ojcem, że nigdy nie miałem innego. Już i tak ukradła mi pół życia. Czy to jej nie wystarcza?

- Nie widziałeś Frederickksa?

- Frederickks gdzieś wyjechał, nie chciała mi powiedzieć gdzie. Ale znajdują go.

- Nie może być daleko. Był w domu przed godziną.

- A niech to! Czemu pan mi nie powiedział?

- Właśnie powiedziałem, i zastanawiam się, czy nie popełniłem błędu.

Zrozumiał. Nie mówił nic, póki nie znaleźliśmy się o kilka przecznic od domu jego matki. Obrócił się na siedzeniu i powiedział do mnie ponad Sheila, która siedziała między nami:

- Niech się pan o mnie nie martwi. Dość już było śmierci i przemocy. Nie chcę więcej.

Domy nad rzeką odcinały się ciemnymi sylwetkami od błędnego nieba. Popatrzyłem na chłopca, kiedy wysiadał z samochodu. Twarz miał ściągniętą i bladą jak upiór. Sheila trzymała go za rękę hamując jego gwałtowność.

Zapukałem do frontowych drzwi. Po długiej chwili drzwi się otworzyły. Wyrzła zza nich pani Frederickks.

- O co znowu chodzi?

John wysunął się przede mnie i stanął na progu.

- Gdzie on jest?

- Wyjechał.

- Kłamiesz. Kłamałaś mi całe życie. - Głos mu się załamał i ucichł, a potem znów zabrzmiał odmienną, wyższą nutą: - Wiedziałaś, że zabił mego ojca, pewnie mu nawet w tym pomogłaś. Wiem, że pomogłaś mu zatuszować sprawę. Wyjechałaś z kraju, zmieniłaś razem z nim nazwisko.

- Nie zaprzeczam - powiedziała beznamiętnie.

Jej ciało poruszyło się, jakby zebrało ją na mdłości. Obrzucił ją brzydkimi słowami. Mimo danej mi obietnicy był o krok od rękoczynu. Położyłem ciężko dłoń na jego ramieniu.

- Nie bądź dla matki za surowy. Nawet prawo stosuje ulgę, kiedy kobieta jest zdominowana albo sterroryzowana przez mężczyznę.

- Ale tutaj nie ma o tym mowy. Ona wciąż usiłuje go osłaniać.



- Czyżby? - powiedziała. - Przed czym?

- Przed karą za morderstwo.

Potrząsnęła głową z powagą.

- Za późno już na to, synu. Fredericks już poniósł karę. Powiedział, że woli oddać się w ręce grabarza, niż wrócić za mury więzienia. Fredericks się powiesił, a ja nie próbowałam mu w tym przeszkodzić.

Znaleźliśmy go w pokoju na tyłach, w starym mosiężnym łóżku, w pozycji półsiedzącej. Do poręczy łóżka był przywiązany gruby przewód elektryczny i owinięty kilka razy wokół jego szyi. Drugi koniec przewodu Fredericks trzymał w mocno zaciśniętej prawej ręce. Nie było wątpliwości, że sam się pozbawił życia.

- Wyprowadź stąd Sheilę - powiedziałem do Johna.

Stała tuż przy nim.

- Nic mi się nie stanie. Ja się nie boję.

W drzwiach stanęła pani Fredericks, ciężka i zadyszana. Spojrzała na syna z podniesioną w górę głową.

- I to już koniec. Powiedziałam mu, że teraz już albo on, albo ty, i kto to ma być. Nie mogłam więcej kłamać i pozwolić, aby cię zaaresztowano zamiast niego.

John zwrócił się do niej z oskarżeniem w twarzy.

- Czemu tak długo kłamałaś? Żyłaś z nim, kiedy zabił ojca.

- Nie masz prawa mnie sądzić. Wysłałam za niego za męża, aby ocalić ci życie. Widziałam, jak odrąbał głowę twemu ojcu, obciążył kamieniami i rzucił w morze. Powiedział, że jeśli komukolwiek o tym powiem, zabije ciebie tak samo. Byłaś wtedy malutka, ale nawet to by go nie pohamowało. Trzymał zakrwawioną siekierę nad twoją kołyską i kazał mi przysiąc, że wyjdę za niego i będę milczała. Milczałam aż do tej chwili.

- Musiałaś spędzić z nim resztę życia?

- Tak chciałam - odparła. - Szesnaście lat stałam między nim a tobą. Potem ty uciekłeś i zostawiłeś mnie z nim samą. Nie miałam nikogo innego na świecie. Czy ty rozumiesz, co to znaczy nie mieć nikogo na świecie, synu?

Chciał przemówić, stanąć na wysokości zadania, ale ta okropna przeszłość mu nie pozwoliła.

- Jedyne, czego w życiu pragnęłam - powiedziała - to mieć męża, rodzinę i dom, który mogłabym nazwać własnym.

Sheila zrobiła impulsywny ruch w jej stronę.

- Ma pani nas.

- O, nie. Ja wam nie jestem potrzebna. Powiedzmy to sobie szczerze. Im rzadziej będziecie mnie widywali, tym lepiej dla was. Za wiele wody upłynęło. Wcale nie winię mego syna, że mnie nienawidzi.

- Ja cię nie nienawidzę, mamó - rzekł John. - Mnie tylko ciebie żal. Żałuję, że powiedziałem to, co powiedziałem.

- Ty i jeszcze kto? - odparła szorstko. - Ty i kto jeszcze?

Objął ją ramieniem, nieporadnie, usiłując ją pocieszyć. Ale w jej przypadku pociecha już była na nic, może nawet żal był na nic. Cokolwiek odczuwała, kryło się pod grubą, nieczułą warstwą tłuszczu. Sztywny, czarny jedwab, którym była okryta, chronił jak zbroja jej pierś.

- Nie martw się o mnie. Troszcz się tylko dobrze o swoją dziewczynę.

Gdzieś na zewnątrz zaśpiewał ptak i . zaraz umilkł speszony. Podeszedłem do okna. Rzeka była biała. Drzewa i domy na jej brzegach nabierały barw i kształtów.

W jednym z domów zabłysło światło. Jakby na ten ludzki znak, ptaszek znowu zaczął śpiewać.

Sheila powiedziała:

- Słuchajcie!

John nastawił ucha. Nawet martwy zdawał się nasłuchiwać.

Redaktor  
ZOFIA UHRYNOWSKA

Redaktor techniczny  
ANNA ŻOŁĄDKIEWICZ

Korektor  
JOLANTA SPODAR

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1980 r.  
Wydanie I. Nakład 100000 + 300 egz.  
Ark. wyd. 12,4. Ark., druk. 16.  
Papier offset kl. VII, 60 g, 93 cm rola.  
Druk ukończono w lutym 1980 r.  
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”.  
Zam. nr 6114/K/79 C-39 Cena zł 45,-



Jest to kolejna powieść sensacyjna amerykańskiego pisarza Rossa Macdonalda, którego prawdziwe nazwisko brzmi Kenneth Millar. W „Iskrach” ukazały się dotychczas trzy książki tego autora: „Pasiasty karawan”, 1974, „Lewe pieniądze”, 1976 i „Z tamtej strony dolara”, 1978.

„Lęk przed ślepotą jest najgorszym z lęków. Wpełził mi na twarz i wdarł się w usta. Chciałem ich błagać, żeby ratowali mi oczy. Uporczywa jasna plamka gdzieś za oczami, w głębi, zawstydziła mnie i kazała trwać w milczeniu”.

Oto cena, jaką przyszło zapłacić prywatnemu detektywowi Lew Archerowi za wyjaśnienie zagadki: czy młody John Brown jest zwykłym oszustem, czy prawowitym dziedzicem milionowej fortuny.

ISBN 83-207-0149-X

Cena zł 45.-